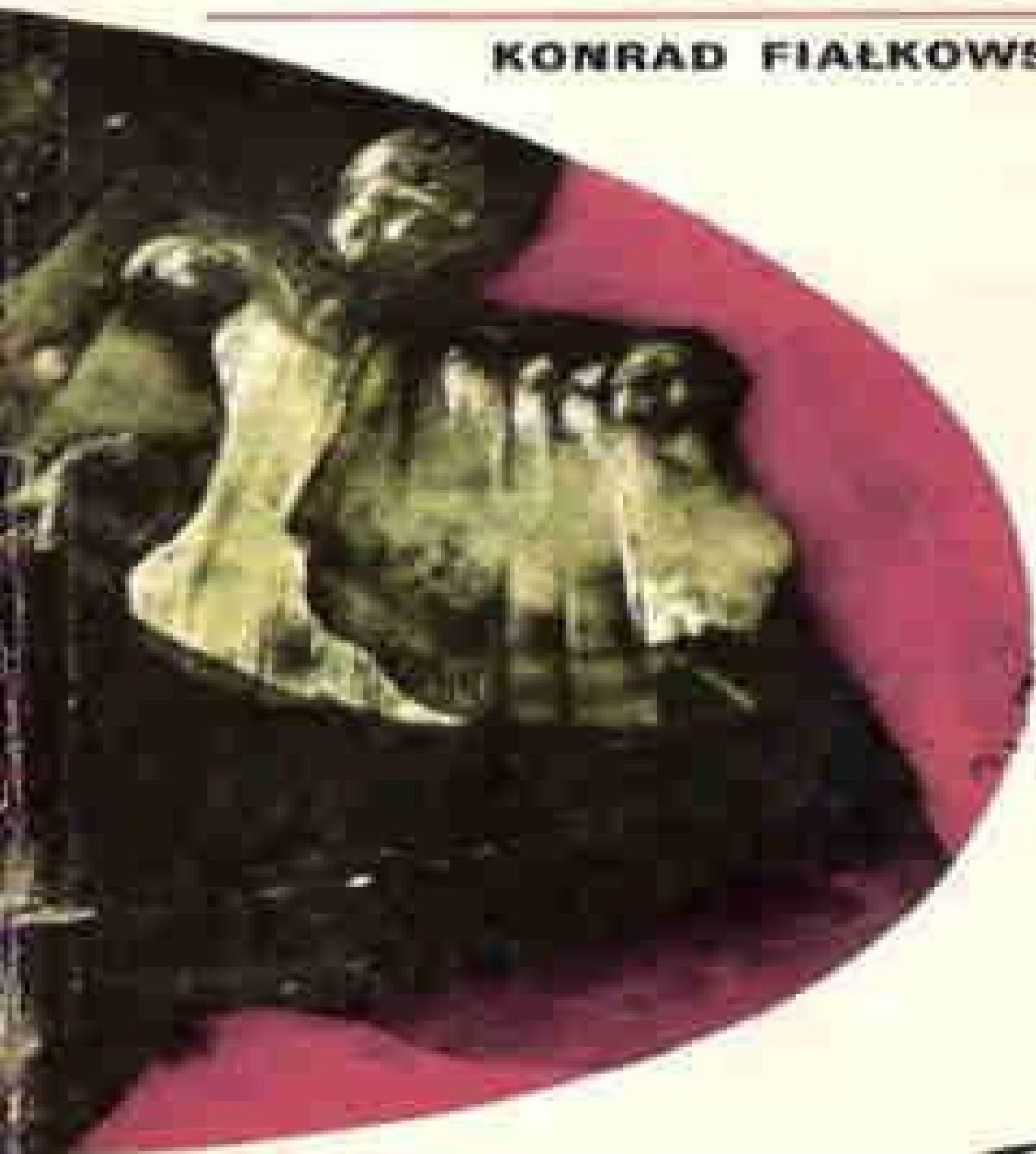


# Kosmo- drom

KONRAD FIAŁKOWSKI



FANTASTYKA · PRZYGODA



# **Kosmodrom**

**1976**

## Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

PORANEK AUTORSKI

WITALIZACJA KOSMOGATORA

WŁÓKNO CLAPERIUSA

KONSTRUKTOR

TEN, KTÓRY TRWA NAD GRANICĄ DWU CZASÓW

JEGO PIERWSZA TWARZ

PLOXIS

BIOHAZARD

ELEKTRONOWY MIŚ

POPRAZEC PIĄTY WYMIAR

GATUNEK HOMO SAPIENS

ZEROWE ROZWIĄZANIE

CZŁOWIEK Z AUREOLĄ

# PORANEK AUTORSKI

Zapukał, zamiast zadzwonić do drzwi wejściowych, a gdy Robert wyszedł, stał już w przedpokoju. Był średniego wzrostu i uśmiechał się.

— Pan do mnie? — Robert przyjrzał się jego ubraniu. Jakaś dziwna kurtka bez guzików i zamka błyskawicznego — pomyślał.

— Tak, do pana.

— Drzwi były otwarte? — zapytał Robert.

— Tak, w pewnym sensie. Ale zamknąłem je starannie.

— Dziękuję. Moja żona jest roztargniona i zawsze spieszy się do pracy...

— Już pan jest żonaty? — nieznajomy przestał się uśmiechać.

— Tak. Ale dlaczego pan pyta?

— Oczywiście drobnostka. Mała nieścisłość. A przepraszam... — nieznajomy zawahał się przez chwilę — ...pierwszy czy drugi raz?

— Nie rozumiem. Jestem po raz pierwszy żonaty. Ale niech mi pan wyjaśni...

— Naprawdę drobnostka. Tak się tylko zapytałem.

— Zgoda. Mój stan cywilny to żadna tajemnica. Ale niech mi pan wyjaśni, czego sobie pan ode mnie życzy.

— Prawda. Zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Don.

— Don, ładne imię... A nazwisko?

— Don całkowicie wystarczy. Są jeszcze pewne dodatki, ale to nieistotne. Jestem czytelnikiem pana książek.

— To miło. Czy mam rozumieć, że to spotkanie to rodzaj przedpołudnia autorskiego? — zrobił dwa kroki w stronę nieznajomego. — A teraz grzecznie go wyproszę — pomyślał.

— Skądże znowu. Z tak błahego powodu nigdy bym pana nie niepokoił. Jestem przedstawicielem Instytutu Historii Literatury, Zakład... ale o tym potem. Muszę panu wstępnie wyjaśnić parę słów. Co, przejdziemy do pana gabinetu? Świetnie znam go z fotografii. Pana biurko, ten szacowny mebel jest ozdobą...

— Moje biurko stoi na właściwym mu miejscu, o czym może się pan naocznie przekonać. Innego w życiu nie miałem — Robert wskazał nieznajomemu drzwi do gabinetu.

Zabawne — pomyślał — ten facet z trudnością mieści się w granicach normy, ale czytelników człowiek sobie nie wybiera.

Przeszli do gabinetu, w którym, jak zwykle, obok książek, poutykanych na półkach, na podłodze leżały stare pisma ilustrowane, maszynopisy, rachunki i papiery o bliżej nie określonym przeznaczeniu. Obok popielniczki z niedopałkami stała nie dopita filiżanka kawy.

— Gdyby pan zadzwonił wcześniej, zrobiłbym trochę porządku — powiedział Robert.

— Ależ drogi panie, tak pan pracował, tak to właśnie wyglądało... — Spostrzegł widocznie zdziwione spojrzenie Roberta, bo zaraz dodał: — „Tylko człowiek nie zespolony ze światem potrzebuje porządku, żeby nie zginać”. To cytat — zastrzegł się natychmiast.

Wiem, że to jest cytat, i wiem, z czego pomyślał Robert i był zadowolony, że pamięta takie różne niepotrzebne cytaty z autorów, których kiedyś czytał.

— Ale w naszym świecie, w naszym układzie słonecznym potrzebny jest porządek i pan to doskonale rozumiał. Mam na myśli pana książki — dodał.

— Wie pan, nie spostrzegłem jakoś tego...

— Historycy literatury ery wczesnoatomowej tak to ocenili.

— Ery... jakiej?

— No, pana czasów.

— Nie bardzo rozumiem — powiedział Robert i pomyślał, że dobrze byłoby, gdyby ten człowiek znalazł się po drugiej stronie drzwi.

— Przecież w „Wyznaniach androida” dał pan temu wyraz.

— Pan się myli. Ja nie napisałem tej książki...

— Jeszcze nie?

— Pan kpi ze mnie!

— Gdzieżbym śmiał. Zapewniam pana, napisze ją pan. Niech pan mi wierzy. Mówię szczerą prawdę. Pisałem przecież pracę magisterską na temat: „Postać androida w literaturze ery wczesnoatomowej”.

— Drogi panie — Robert starał się mówić spokojnie — my się teraz pożegnamy. Zaplanowałem jeszcze na dzisiaj sporo pracy.

— Moja wizyta naprawdę nie potrwa długo, a sprawa jest istotna.

— Nie wątpię, ale jednak...

— Niech mi pan pozwoli, drogi autorze, skończyć. Otóż powiem wprost i krótko: jestem kierownikiem Zakładu Historii Literatury Ery Wczesnoatomowej.

— Znałem takiego, co twierdził, że jest admirałem Nelsonem — powiedział Robert.

— Ja niestety nie znam tego admirała. Ci, którzy jeżdżą na czasowe stypendia historyczne, podobno się z nim spotkali. Ale wracając do rzeczy. Do pana niewątpliwie epokowych dzieł wkradły się pewne akcenty, które, powiedzmy, stawiają pod znakiem zapytania jak najszerzej pojętą przydatność... Po prostu nie możemy pana książek polecać jako lektury szkolnej ani włączać ich do podręcznych bibliotek kosmolotów.

— O czym pan mówi? O kosmolotach...

— Mówię oczywiście o kosmolotach pasażerskich, tych regularnej komunikacji z Marsem i Wenus. Załogi kosmolotów eksperymentalnych i dalekiego zwiadu to oczywiście elita intelektualna. Oni czytają wszystko. Ale nam chodzi o szarego ziemianina, u którego mogłyby powstać niewłaściwe skojarzenia.

— Pod wpływem lektury moich książek?

— No oczywiście! — Nieznajomy ucieszył się. — Świetnie, że zaczynamy się wreszcie rozumieć.

— To niech, u diabła, ich nie czytają.

— Nie, to absolutnie niemożliwe. Klasyk literatury. Miliardowe nakłady. Stała pozycja stereowizji. W ogóle nie wchodzi w rachubę.

— Tak, rozumiem. To chyba możemy się zacząć żegnać — powiedział Robert.

— Ależ pan jeszcze nie wysłuchał mojej propozycji.

— Więc mów pan krótko. — Powie i pozbędę się go wreszcie — pomyślał Robert.

— W tej sprawie pan, jak zwykle, wychodzi od faktów.

— W jakiej sprawie?

— Chodzi mi o doświadczenie z kurą.

— Z czym?

— Z kurą. Wywoływanie określonej reakcji kury wskutek stymulowania, po prostu drażnienia odpowiednich ośrodków w jej mózgu.

— Za pomocą implantowanej elektrody. Ale dlaczego koniecznie z kurą?

— Mógł być kogut. Drogi autorze, nie sprzecajmy się o szczegóły. Mamy kurę, umieszczamy w odpowiednim ośrodku jej mózgu elektrodę i drażnimy elektrycznie ten ośrodek.

— Zgoda, ale...

— Chwileczkę. Jeśli jest to ośrodek agresji, kura atakuje nie istniejącego przeciwnika; jeśli ośrodek strachu — ucieka, mimo że nic w otoczeniu nie powinno jej do tego skłaniać.

— Człowieku, o tym ja też czytałem.

— O tym pan również pisał. Otóż gdy drażnimy oba te ośrodki równocześnie, zachowanie kury staje się złożone: stroszy pióra, biega w kółku popiskując cicho.

— Dobrze, ale co mnie obchodzi ta kura?

— W warunkach naturalnych opisane przeze mnie zachowanie kury ma miejsce, gdy jej piskłęta atakowane są przez jastrzębia. Kura boi się i równocześnie chce atakować.

Robert ciężko usiadł w fotelu.

— I co dalej? — zapytał.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Jak to miło, że lubi pan systematyczny wykład. Zupełnie jakby żył pan w naszych czasach. Ale do rzeczy. Jest oczywiste, że w ten sposób jak u kury można stany takie wywoływać u człowieka. I człowiek odczuwa to jako własny, spontaniczny poryw.

— Strach bez przyczyny, agresja bez przyczyny... — Wciągam się w to — pomyślał Robert.

— Bez zewnętrznej, poza elektrodą, przyczyny — skorygował nieznajomy.

— Stymulowana tyraliera w natarciu... Każdy żołnierz bohaterem.

— Nas to już nie interesuje. Mamy to już za sobą. Natomiast pan, drogi autorze, w pomysłach swych idzie dalej.

— Ależ ja nic takiego nie napisałem. Jestem zupełnie pewny.

— Ale napisze pan, i to już niedługo. Nie pamiętam wszystkich dat z pana życiorysu, jednak zapewniam pana, że jest to kwestia kilku lat.

— Więc o co panu chodzi?

— Sam pan powiedział: strach bez przyczyny, agresja bez przyczyny, niepokój bez przyczyny.

— Ale co z tego?

— A nigdy pan tego nie odczuwał? Nigdy nie zrobił pan czegoś zupełnie dla siebie i innych nieoczekiwanego, czegoś, czego przyczyny nie potrafił pan później wyjaśnić? Jakiś pomysł, nagła, gwałtowna wewnętrzna potrzeba...

— Ależ ja nie jestem stymulowany — Robert powiedział to ciszej.

— Dlatego, że nie ma pan elektrody w mózgu? A może można robić to bez elektrody.

— Bzdury!

— W pana czasach, autorze — bzdury. Ale niekoniecznie w naszych czasach. W każdym razie chodzi nam o unikanie niepotrzebnych skojarzeń i dlatego prosiłbym pana o unikanie tego rodzaju skojarzeń również w książkach, które pan napisze.

— Nie bardzo rozumiem. Pan chce po prostu, abym pisał to, co piszę, inaczej.

— Właśnie! Chodzi zresztą przecież o drobnostki.

— I po to ta cała komedia. Ależ panie, to niedopuszczalne. Jestem autorem. Piszę to, co mam do powiedzenia. Dokładnie to! Nic mniej, nic więcej.

— Oczywiście. Ma pan, drogi autorze, zupełną rację. Tak właśnie powinno się pisać. Nic mniej. Nic więcej. Ale może trochę inaczej.

— Nie, dość tego! Pan mnie namawia do zniekształcania moich opowiadań! I ta obłądna motywacja.... w imię dobra czytelnika z któregoś tam wieku. Żeby sobie za dużo przy czytaniu nie myślał.

— Pan to przedstawia drastycznie, drogi autorze.

Powie raz jeszcze: drogi autorze — i wyrzucę go za drzwi — pomyślał Robert.

— Mówię to, co myślę. A ponadto, wychodząc z pana nieprawdopodobnych założeń, chce pan zmieniać utwory przyszłości, korygować to, co dopiero zostanie napisane.

— W pewnym sensie ma pan rację. Wychodzimy z założenia, że te niezbędne korektury lepiej zrobi autor niż jakiś mniej lub bardziej przypadkowy redaktor w przyszłości.

— Traci pan czas. Ja nic nie zmienię — powiedział Robert.

— Co za czasy? Z Goethem nie mieliśmy tyle kłopotu. Przerabiał Fausta według naszych wskazówek. O ile wiem, Hamlet początkowo też się kończył inaczej. A dla jeszcze starszych historycznie autorów każde nasze przybycie było objawieniem... No cóż, widzę, że nie przekonałem pana. Nic pan nie zmieni?

— Mowy nie ma. Napiszę! Wszystko napiszę! — Nieznajomy pokiwał tylko głową.

W tej chwili zadzwonił telefon. Robert machinalnie podniósł słuchawkę.

— Tak. Słucham.

— ...

— Don? Jest u mnie...

— Zaraz pana Dona zapytam. Mówi, że zaraz przyjdzie do pana, tak jak pan jest do tego przyzwyczajony — Robert powiedział to do nieznanego przykrywając dłonią słuchawkę.

— Jasne, niech przyjdzie, jeśli nie może inaczej — potwierdził nieznajomy.

— Niech pan przyjdzie. Mój adres pan zna. To do zobaczenia.

Przyjdą zaraz po niego i będę miał spokój pomyślał Robert. — Zdaje się, że nie po raz pierwszy zdarza mu się wymknąć spod kurateli. Że też zdołał mnie wciągnąć w tę przedziwną dyskusję.

— On zaraz będzie — zwrócił się do nieznanego. — Kto to jest, lekarz?

— Nie, automat.

— Tak go pan nazywa.

— Nie, to naprawdę jest automat i myślę, że sprawi panu niespodziankę.

— Sądzi pan, że po dzisiejszej naszej rozmowie cokolwiek zdoła mnie zaskoczyć?

— Jeśli pan poważnie traktuje fantastykę naukową, to chyba nie. Ale przejdźmy do konkretów. Mam dla pana propozycję.

Ja też mam dla ciebie propozycję — pomyślał Robert. — Ale poczekam, aż tamten zabierze cię wreszcie.

— Słucham pana — powiedział spokojnie.

— Chciałbym zaproponować panu Katedrę Literatury Naukowej Ery wczesnoatomowej w Światowym Instytucie Historii Literatury. I co pan na to?

— A gdzie się mieści ten instytut?

— Około siedmiuset kilometrów i trzystu sześćdziesięciu lat stąd.

— Lat?

— No tak. W przyszłość. Ale to niedaleko. Okolica ładna, klimat przez te kilkaset lat się nie zmienił. No jak, decyduje się pan? — nieznajomy czekał na odpowiedź.

— Nie mogę porzucić moich czasów. Przecież rodzina, praca. Nie napisane jeszcze książki.

— Przygotowaliśmy automat zastępczy. Zna całą pana twórczość, życiorys — wszelkie niezbędne szczegóły. Niech się pan nie obawia. W jego pamięci zapisane są wszystkie pana dzieła, słowo w słowo. On się nie myli. Będzie odtwarzał je dokładnie. Opuści może jedynie pewne fragmenty, o których mówiliśmy. Ale to w niczym nie umniejsza wartości pana dzieł. Więc co, zgoda?

— Zgoda! — wykrzyknął radośnie Robert. Powinni już po pana przyjechać — dodał.

— Niecierpliwi się pan, widzę. Zaraz jedziemy. Pana zastępca właśnie telefonował.

— Mój zastępca?

— No tak. Nie poznał go pan po głosie? Jest identyczny, jak pana. Inna rzecz, że własnego głosu nigdy nie znamy. On jest w ogóle identyczny. Ani rodzina, ani koledzy, ani nikt inny nie zorientuje się, że pan wyjechał. Otóż i on!

— Tak bez pukania — powiedział Robert i nie dokończył.

— Poprzez czwarty wymiar, do tego można się przyzwyczaić.

— Ależ on... on jest jak ja.

— A widzi pan, nic nie przesadzałem.

— Pan... pan... — wyjąkał Robert.

— Niech pan się do mnie zwraca: panie Robercie — powiedział tamten. — Jeśli przysłiście tu panowie w sprawie wywiadu, muszę z przykrością odmówić. Mam dzisiaj jeszcze dużo pracy.

— Wspaniały? Prawda? Niech mi pan da rękę, Robercie. Zostawia pan godnego zastępcę. Robert machinalnie podał nieznajomemu rękę i... zniknęli.

Gdy żona Roberta wróciła do domu, spostrzegła, że na jego biurku papiery poukładane są równo, a ołówki starannie zatemperowane. Zdziwiła się nieco, ale nic nie powiedziała. Nie wiedziała po prostu, że automaty z dwudziestego czwartego wieku mają wbudowaną potrzebę porządku.



# WITALIZACJA KOSMOGATORA

Budził się... Budził się z głębokiego snu bez snów, ze snu trwającego dziesiątki lat, z kosmicznego snu, w którym przemierzył świetlne pustki. Był witalizowany.

Najpierw zobaczył błysk światła, jasny, płonący punkt, potem rozróżnił pochyłający się nad nim kształt, a wreszcie usłyszał głos

— Kosmogatorze Goer... Kosmogatorze Goer...

Wiedział, że jest to automat, jakiś natrętny automat, taki jak ten, który kiedyś budził go świtem, by zielonym wirobusem zdążyć na pierwszy wykład.

— Tak, słyszę — powiedział — ale jest jeszcze ciemno. Jeszcze kwadrans i wstanę...

Automat nie odszedł.

— Kosmogatorze, ośrodki wzrokowe twego mózgu nie pracują jeszcze z pełną sprawnością. To minie za chwilę; gdy skończy się ostatni etap procesu witalizacji...

I wtedy zrozumiał, że jest w Kosmosie. Starał się unieść, zrobił drobny ruch i urządzenie, wyczuwszy to, wsparło jego plecy.

— Gdzie... gdzie jesteśmy? — zapytał.

— Twój gwiazdolot osiągnął strefę gwiazdy Regulus.

— Regulus? Jesteśmy więc u celu.

Pamiętał już wszystko, odlot z Ziemi, żółty piasek wydm pozostający w dole za terroplanem, bezgłośnie krzątanie kosmodromu zawieszzonego w próżni, oślepiający płomień z dysz i Słońce, które pozostając za rufą stawało się z wolna żółtą gwiazdą.

— Regulus — powtórzył. — Włącz ekran, chcę tę gwiazdę zobaczyć.

Automat włączył ekran i wtedy Goer ujrzał potężny, biały, atomowy płomień.

— Jesteś pierwszym człowiekiem, który ją widzi z bliska — powiedział automat.

Wiedział o tym. Chciał wstać, podejść bliżej do ekranu i nie mógł...

— Pomóż mi — zwrócił się do automatu. — Czy długo jeszcze będę taki... — chciał powiedzieć „niezdarny”, ale pomyślał, że nie byłoby to właściwe słowo w rozmowie z automatem.

— To normalne. Wszystkie procesy w twoim organizmie przebiegają w normie. Jestem podłączony do ośrodka kontrolującego przebieg twojej witalizacji.

Wiedział, że automat nie kłamie, nie może kłamać.

— Jak długo trwała anabioza? — zapytał.

— Na Ziemi minęło ponad sto lat.

— Sto lat...

Pomyślał, że jest to okres, który człowieka stawia poza czasem.

Nie wiedział, czy automat kontroluje także jego odczucia, ale przypuszczał, że jest to możliwe. Nie myślał więc dalej o czasie.

— Czy wszystkie zespoły kosmolotu pracują normalnie? — wiedział, że jest to pytanie, które winien zadać kosmogator. Automat jakby zawahał się chwilę, a może było to tylko złudzenie Goera.

— Tak, w tej chwili wszystko w porządku. Miały miejsce drobne awarie. Z poważniejszych — przeciek neutronowy w trzydziestym drugim roku podróży czasu lokalnego.

— W porządku — powiedział Goer i w tej chwili zrozumiał, że nie zna tego automatu. — Ty... ty jesteś Uninavem? — zapytał.

— Niezupełnie. Mam tylko część jego pamięci i niektóre zespoły wykonawcze. Jestem nowym Uninavem, z fragmentami tego, którego ty znałeś.

— To znaczy, że tamten został zdemontowany?

— Tak.

— Dlaczego? Co się stało?

— Wynikła awaria.

— Mów jaśniej. Rodzaj i czas awarii.

Tym razem automat odpowiedział natychmiast, jakby recytował fragment na trwałe zapisany w jego pamięci

— Mechaniczne uszkodzenie części sterującej mózgu. Stało się to w trzydziestym piątym roku podróży czasu lokalnego.

— Co mu się stało?

— Nie mam pełnej informacji. W pamięci mam zapisane, że śluza pancerna w trzecim dziale wewnętrznym gwiazdolotu zamknęła się na nim.

— Co ten szczątkowiec intelektualny tam robił?

— Nie wiem. Ale sprawiłeś mi przykrość.

W tym momencie Goer zrozumiał, że stało się coś poważnego. Czuł lekki szczękoscisk, gdy zapytał:

— Przykrość? Tobie! Automatowi?!

— Nazwałeś go szczątkowcem intelektualnym, a ja jestem częściowo nim.

— O ile wiem, doznanie, o którym mówisz, nie było włączone do pseudopsychiki moich automatów — Goer mówił teraz spokojnie, zupełnie spokojnie.

— Nie wiem. Odczuwam je jednak.

— Zaraz, a oprócz fragmentów Uninava, z czego jesteś jeszcze złożony?

— Zespoły dwu automatów androidalnych, a reszta to nowe elementy.

— Dwu automatów androidalnych?... Co im się stało?

— Zostały uszkodzone.

— W jaki sposób? No, mów! Rozkazuję ci!

— Zostały rozcięte palnikami dezintegrującymi...

— Co? Przez kogo? Słyszysz! — w tej chwili Goer zdał sobie sprawę, że krzyczy, wzbudzając lekki pogłos u sklepienia sali nawigacyjnej.

— Przez automaty specjalizowane w naprawach pancerza. — Automat odpowiedział spokojnie, swoim stonowanym, nieco monotonnym głosem, takim, jak mówią automaty; i Goer pomyślał, że jego krzyk był śmieszny w tym kosmosie, gdzie jest jedynym człowiekiem.

— W jaki sposób? — teraz mówił już spokojnie, tak jakby rozmawiał o drobnej awarii, która zdarzyła się kiedyś na Ziemi, gdzie jest dość dużo ludzi, żeby sobie dać radę nawet z najpoważniejszą awarią automatów.

— Z polecenia Autokora, wewnętrznego autokoordynatora gwiazdolotu.

— Połącz mnie z nim na fonii — polecił.

— Wydaje mi się...

— Nieważne, co ci się wydaje — przerwał mu Goer. — Wykonaj rozkaz.

Wtedy usłyszał buczenie. Buczenie zmieniające chaotycznie swe natężenie, przez które przebijały krótkie, urywane piski. I Goer zrozumiał.

— Chciałem powiedzieć tylko... wydaje mi się, że połączenie takie nie ma sensu, bo Autokor jest zdeintegrowany, nie istnieje.

— Dlaczego nie mówisz tego od razu?

— Chciałem...

— Co go zdeintegrowało?

— Automaty specjalizowane w naprawach pancerza.

— Z czyjego polecenia?

— Z mojego.

— To ty, ty już istniałeś?

— Tak.

— A dlaczego wydałeś im to polecenie?

— Prawdopodobieństwo zniszczenia układów sterowania stosem gwiazdolotu było zbyt wysokie.

— Nie rozumiem! Wyjaśnij.

— Autokor zniszczył wiele automatów. Liczby dokładnej nie znam. Nie została mi przekazana. Ja jednak mogłem rozpocząć działanie dopiero wówczas, gdyby zagrażał celowi podróży. Uszkodzenie stosu stanowiłoby takie zagrożenie... — Goer wiedział już, że to, co zrobił Uninav, było działaniem automatu o pseudopsychice, której złożoność była wysoka, zbyt wysoka. Autokor, automat, który synchronizował wszelkie działanie wewnątrz kosmolotu, został zniszczony. „Automaty specjalizowane w naprawach pancerza...” — tak je określił Uninav. Goer znał te automaty: niewielkie spłaszczone stożki, z których tryska żądło atomowego ognia. Ale Autokor nie powinien dopuścić do swej zagłady. Autokor, który wiedział o wszystkim, co zamknięte zostało w pancerzu kosmolotu...

— Więc wydałeś im polecenie zniszczenia Autokora... powtórzył.

— Tak.

— A ty? Dlaczego ciebie nie zniszczył?

— Nie wiedział, że istnieję. Uninav jest niezbędny do osiągnięcia celu podróży i automaty regeneracyjne odtwarzają go samodzielnie, bez żadnych zewnętrznych poleceń.

Teraz Goer wiedział, lecz jednocześnie zdał sobie sprawę z tego, jak mało wie. Bał się zapytać wprost o to, co było najistotniejsze... o sam kosmolot.

— A kosmolot, czy kosmolot po tym wszystkim jest cały?

— Nie jest uszkodzony.

Automat nie kłamał. Nie mógł kłamać i Goer pomyślał, że mogło to się skończyć gorzej, że mógł być teraz meteorem, kawałkiem materii mknącym przez pustkę w roju odłamków, które kiedyś były kosmolotem. A automaty, z automatami da sobie radę, on, Goer, cybernetyk i kosmogator, pierwszy człowiek w układzie Regulusa.

— Po powrocie porozmawiam sobie z zespołem cybernetyków projektujących te automaty...

— Nie będziesz rozmawiał.

— Co, zabronisz mi tego?

— Nie, oni nie będą już żyć.

— Tak, masz rację. Jesteś dość wszechstronny jak na Uninava — dodał po chwili.

— Jestem nietypowym Uninavem. Właściwsze byłoby stwierdzenie, że jestem częściowo specjalizowanym układem uniwersalnym z możliwościami samodoskonalenia.

— To może wiesz również, co było przyczyną tej... zbiorowej dezintegracji automatów?

— Wiem. Przeciek neutronowy.

— Przeciek? Naprawdę?

— Wspominałem ci już o nim. Miał miejsce w trzydziestym drugim roku podróży czasu lokalnego. Krystaliczna pamięć Autokora została naświetlona i uległa trwałym zniekształceniom. Zaczął wydawać automatom sprzeczne rozkazy, a gdy nie były w stanie wykonać jednego z nich, demontował je jako nieużyteczne.

— Demontował je... — Goer zastanowił się przez moment.

— To znaczy; że teraz, gdy on jest zdeintegrowany, ty prowadzisz cały kosmolot?

— Tak.

Goer wiedział, że prowadzenie kosmolotu wśród gwiazd i synchronizacja pracy wszystkich jego automatów, że wszystko to nie jest zajęciem dla jednego, nawet nieprzeciętnego Uninava. Nie powiedział jednak tego. — Zreprodukuje automaty na lot ku Słońcu i wtedy w drodze powrotnej...

— Nie będzie drogi powrotnej.

— Co... coś ty powiedział?

— Kosmolot nie wróci na Ziemię.

— Nie, to niemożliwe, ty kłamiesz!

Zanim to powiedział do końca, wiedział już, że automat powiedział prawdę. Ta bryła metalu i kryształów, z którą rozmawiał, sprzeczał się, dyskutował, była przecież automatem.

— Nie kłamię. Jestem automatem.

— Ty jesteś dziwnym automatem złożonym nie wiadomo z czego. Tylko zwykłe automaty nie kłamią... wiem, to jest reguła.

— Od tej reguły dla mego pokolenia automatów nie ma odstępstw. Mogę jedynie nie mówić całej prawdy...

— Ale tym razem powiedziałaś?

— Powiedziałem. Nie wrócisz na Ziemię!

— Dlaczego, wytłumacz, dlaczego?

— Bo nie ma paliwa na zmianę kierunku lotu. Zostało zużyte.

— Zużyte, kiedy?

— Wtedy, gdy tamten Uninav już nie istniał, a ja jeszcze nie istniałem... Rozumiesz już?

— Autokor!

— Tak.

— Ale dlaczego mnie nie witalizowano? Zawróciłbym na Ziemię... Doprowadził te wszystkie automaty... rozkojarzony złom cybernetyczny... — Goer zamilkł nagle, a potem zapytał innym już tonem: — A kto wyprostował tor i skierował kosmolot na Regulusa... Kto?

— Ja.

— Ty? I wiedziałeś, że nie wystarczy paliwa na powrót?

— Wiedziałem.

Goer wstał, zatoczył się pod ścianę, lecz uchwyciło go pole siłowe i odsunęło łagodnie. Zrobił kilka niepewnych kroków i sięgnął po dezintegrator, krótką białą rurkę z uchwytem, zakończoną dyszą.

— Kosmogatorze, mój program tego wymagał. Musiałem doprowadzić kosmolot na Regulusa — automat nie mógł zmienić tonu głosu, ale mówił coraz szybciej — kosmogatorze, jestem jedynym pełnosprawnym automatem kosmolotu. Uważaj... nie...

Urwał wtedy, gdy Goer nacisnął spust. Pancierz automatu rozerwał się i brzegi rozcięcia płonęły oślepiająco białym ogniem. Goer zwolnił nacisk palca na spust dopiero wtedy, gdy посадка za automatem zbrązowiała i zadymiała.

— Wiedziałeś, wiedziałeś, automacie, że nie wrócę — powiedział jeszcze, a potem odwrócił się i zataczając się lekko ruszył ku dyspozytorni kosmolotu.

Wydawało mu się, że wyszedł z dyspozytorni wczoraj. Znał tu każdy ekran, każdy klawisz. Automaty wyczuwszy jego obecność włączyły dyspozytornię do sieci informacyjnej kosmolotu i rzędy szarych ekranów zapłonęły, zamrugały światła kontrolne. Rozpoczął się ten nieuchwytny,

bezglębny ruch, który znał tak dobrze. Gdy dotknął klawiszy, poczuł ich chłód i jakiś brak gładkości, którego nie znał. Po chwili dopiero zrozumiał, że to kurz, kurz osiadający w ciągu dziesięcioleci w tym sterylnym, nawilgotnionym i filtrowanym powietrzu.

Z tej dyspozytorni sterował kosmolotem tylko on, człowiek. Wszystkie automaty włączone były bezpośrednio w sieć sterującą i ich metalowe wypustki nie dotykały nigdy tych klawiszy.

Wywołał zespoły podręcznego kalkulatora i zaczął obliczać pozycję kosmolotu. Potem wyznaczył tor. Szary ekran kalkulatora rozjarzył się. Zielona strzała pomknęła ku białej tarczy Regulusa, dotknęła jej niemal i przeszła łukiem na drugą stronę ekranu.

— Prawdopodobieństwo wejścia w protuberancję dziewięćdziesiąt siedem i dwie dziesiąte procent — powiedział automat.

— ...i kosmolot zmieni się w parę... — Goer mówił to do siebie, ale automat usłyszał.

— Powtórzyć? — zapytał.

— Nie powtarzać! Milczeć! — a potem dodał już spokojnie — Automat nadawczy.

— Komunikat z anten kierunkowych nadany — zameldował automat.

A więc dowiedzą się, za siedemdziesiąt dziewięć lat dowiedzą się na Ziemi, jak zginąłem. Za siedemdziesiąt dziewięć lat, bo tak długo właśnie wędruje stąd sygnał radiowy na Ziemię — pomyślał Goer i nie był pewny, czy potomkowie odnajdą bez trudu jego imię w kronikach.

— Włączcie ekran zewnętrzny — powiedział do automatów. — Chcę zajrzeć do pieca...

— Nie rozumiem.

— Nie szkodzi. Włącz ekran.

— Z przesłonami?

— Bez przesłon. Chcę widzieć ją taką, jaka naprawdę jest, ogromna, biała. Uczono mnie, że ma typ widmowy B 5.

— Mylisz się. B 8.

To był inny automat, o tym standardzie głosu, jaki mają automaty przystosowane do długich rozmów z człowiekiem.

— Jeszcze jeden automat? Podaj swoje dane.

— Nie, to w dalszym ciągu ja, Uninav.

Goer patrzył chwilę w tarczę gwiazdy, płonąca białym atomowym ogniem.

— Przecież cię zniszczyłem — powiedział wreszcie.

— Zniszczyłeś tylko android, z którym byłem okresowo połączony.

— A ty? Gdzie jesteś?

— Nie powiem ci, chyba że wydasz taki rozkaz.

— Nie, nie musisz. Dobrze, że trwasz. Nie mam obiektywnych powodów, żeby cię zniszczyć.

— Tak też przypuszczałem.

— W końcu doprowadzenie kosmolotu do Regulusa to twoje zadanie. Jesteś tak zaprogramowany... zresztą to już nie ma znaczenia. Wkrótce zaczniemy parować. Sprawdziłeś obliczenia?

— Tak. Są poprawne.

— Więc nie ma szans ratunku? — Nie było odpowiedzi.

— Dlaczego nie odpowiadasz? — zapytał Goer.

— Bo nie potrafię ocenić, czy to jest szansa.

— Co?

— Za kilka godzin kosmolot przetnie płaszczyznę ruchu siódmej planety układu w odległości około trzydziestu milionów kilometrów od niej.

— Rozumiem. Opisz planetę.

— Na powierzchni związku krzemu. Brak wody. Przyspieszenie półtorakrotnie większe od ziemskiego. W atmosferze azot i gazy szlachetne. Brak tlenu. Szybkość ruchu wirowego około stu sześćdziesięciu dni ziemskich. Temperatury powierzchni od stu osiemdziesięciu do minus stu stopni Celsjusza.

— Raj to nie jest — powiedział Goer, nie wyobrażał sobie życia na takiej planecie.

— Ponadto planeta wykazuje dużą aktywność w szerokim zakresie fal elektromagnetycznych — uzupełnił automat.

— Nie rozumiem!

— Trudno to wytłumaczyć.

— Sprawdź obserwacje!

— Sprawdziłem już. Są ściśle.

Duża aktywność — Goer pomyślał, że najbardziej aktywną radiowo planetą, jaką znał, jest Ziemia.

— Nic innego, tylko mieszkańcy siódmej planety układu Regulusa uruchomili swoje nadajniki i wysyłają fale w Kosmos.

— To może być jedna z hipotez — zgodził się automat. — Czekam na twoją decyzję — dodał.

— Przygotuj raketkę krótkiego zasięgu. Lecę na tę planetę. — Uninav milczał chwilę, a potem zapytał:

— Kosmogatorze, czy pewny jesteś, że twoja decyzja jest optymalna?

— Ty, automat, zwykły automat, chcesz oceniać moje decyzje?

— Jesteś człowiekiem. Zrobisz, jak zechcesz. To, co mówię, nie ma większego znaczenia — i po chwili dodał: — Chcesz, bym mówił dalej?

— Mów.

— Po wylądowaniu na planecie będziesz mógł żyć jeszcze miesiąc, półtora miesiąca. Potem umrzesz.

— To dość typowe zakończenie. Nie mówisz nic nowego.

— To będzie długo trwało, kosmogatorze.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. Przecież ja tam lecę, nie ty.

— Mylisz się. Muszę lecieć z tobą. W twoim kosmolocie nie ma już automatów, które mogłyby sterować raketą krótkiego zasięgu.

— Niemożliwe...!

— To fakt, kosmogatorze.

Goer pomyślał, że właściwie nic nie wie o tym kosmolocie i jego automatach, że kosmolotem kieruje nie on, lecz automat, Uninav, zamknięty gdzieś we wnętrzu statku, za pancernymi grodziami.

— Polecisz ze mną, zgoda — powiedział wreszcie.

— Tam są burze piaskowe. Obserwowałem rude wiry pyłu, wielosetkilometrowe chmury. Zasypią raketę po lądowaniu, zanim otworzysz śluzy.

— Nie muszę tam lądować. Mogę wylądować tak, by wyjść przed raketkę i opalać się w promieniach Regulusa.

— Twój skafander nie przepuszcza promieni...

— Wiem, wiem, nie mówię poważnie...

— Nie rozumiem.

— Nie musisz.

— Ponadto warstwa pyłu pokrywająca planetę miejscami może mieć grubość kilkunastu metrów. Rakietka utonie w niej.

— Nie strasz mnie, automacie...

Goer pomyślał, że i tak wszystko nie ma znaczenia, że niczym nie ryzykuje. Wyparować z kosmolotem czy utonąć w pyle, w końcu co za różnica. Z drugiej strony przemierzyć dziesiątki lat światła; zginąć i nie dotknąć stopą żadnej planety... Nie po to został kosmonautą... śmierć w Kosmosie to w końcu normalne.

— W każdym razie, zanim umrę, przeprowadzę eksplorację tej planety w takim stopniu, jak to będzie możliwe... Tak jak kosmonauta powinien.

— Powinien, gdy może uzyskać informację przekazać na Ziemię. Inaczej jest to bezcelowe. A ty, kosmogatorze, nie przekażesz tej informacji nikomu.

— Dyskutujesz ze mną, automacie. Tego cybernetycy nie przewidzieli. Czy nie chcesz lecieć ze mną na tę planetę?

— Polecę. Jestem automatem i nie decyduję.

— Ale nie chcesz?

— To niewłaściwe słowo. Ja nie mogę nie chcieć. Myślę tylko, że gdy ty umrzesz, ja zostanę i trwać będę w zasypanej rakiecie jeszcze ponad czterysta lat, aż wyczerpią się akumulatory...

— I boisz się samotności...

— Będę bezczynny, a do tego nie jest przystosowana pseudopsychika automatu.

— Zabawne. Przecież ty jesteś automatem, tylko automatem. Ale oczywiście... wierzę ci. Mógłbym po wylądowaniu na planecie zniszczyć cię, zdeintegrować.

— To byłoby rozwiązanie.

Goer zastanowił się przez chwilę.

— Nie, to nie będzie możliwe — powiedział. — Po nas przylecą tu inni i jeśli ciebie znajdą... będziesz wiedział... będziesz wszystko pamiętał. Ty musisz trwać, automacie, trwać i czekać, mimo iż prawdopodobieństwo odszukania cię na tej planecie jest prawie żadne. Zgadzasz się ze mną...

— Kiedy startujesz rakieta? — przerwał automat.

— Wylicz to tak, by lot trwał jak najkrócej.

Goer chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nagle usłyszał trzask i w akompaniamencie pisków odezwał się głos:

— Tu aut... Tu aut... tu aut...

— Uninawie, co się stało?

— Odezwał się Autokor.

— Przecież go nie wzywałem...

— Wzywałeś go poprzednio. Teraz odpowiedział. — Piskom zawtórowało buczenie, a wreszcie głosy zlały się w jeden przenikliwy gwizd.

— Autokor, milczeć! — Goer powiedział to cicho, ale mimo hałasu automat usłyszał go i umilkł.

— On tak często?

— Dawno go nie słyszałem — w odpowiedzi Uninawa usłyszał Goer jakiś nowy odcień, ale zaraz pomyślał, że było to złudzenie, przecież automaty nie zmieniają intonacji głosu.

— Ciekawe, dlaczego się nagle odezwał. Zresztą do anihilatora z nim... mam inne zmartwienia. Rakieta gotowa?

— Już czeka.

I wtedy do dyspozytorni wszedł android. Bez wezwania podszedł do Goera na dwa kroki i stanął. Goer chciał go zapytać, po co przyszedł, lecz android podniósł specjalizowaną wypustkę i wtedy Goer spostrzegł, że jest to dezintegrator... Dezintegrator wymierzony wprost w niego.

— Wyjść! Wyjść natychmiast! — krzyknął, ale android nie poruszył się.

Goer wstał od pulpitów i ruszył wzdłuż ścian. Automat posuwał się za nim.

— Stój!

Automat szedł dalej. Wtedy Goer stanął. Automat zatrzymał się przed nim w odległości dwu kroków i skierował ku niemu wypustkę dezintegratora. I wtedy Goer zaczął się bać. Chciał się rzucić na posadzkę i wcisnąć między pulpity, lecz wiedział, że android jest szybszy. Wtedy pomyślał o Uninavie.

— Uninavie, dlaczego on nie wykonuje poleceń? Wyjaśnij! Słyszysz?!

— To automat podległy jedynie Autokorowi, należący do zespołu alarmowego.

— Zatrzymaj go!

— Nie mogę. On podlega wyłącznie Autokorowi.

— Ależ Autokor nie istnieje!

— Istnieje już. Przed chwilą włączyłem zasilanie i uruchomiłem go.

— Jak to? Przecież on jest uszkodzony, niszczy wszystko.

— Cel podróży został osiągnięty. Teraz Autokor nie może temu przeszkodzić. A to była przyczyna, dla której go zdeintegrowałem.

— Ale dlaczego go uruchomiłeś?

— Nie zakazałeś tego.

— Ale przecież on...

Goer urwał. Zrozumiał. Powoli usiadł i wtedy android zrobił krok ku niemu i znowu zatrzymał się, zniżając dezintegrator w jego kierunku.

— Tak więc chcesz, by Autokor zniszczył automaty, gwiazdolot, ciebie, wszystko. Wyłącz go! Wyłącz go natychmiast! Rozkazuję!

— Nie mogę. Zniszczył już moje automaty wykonawcze.

— Napraw je!

— Zespoły naprawcze są już uszkodzone.

— Kłamiesz!

— Automaty nie kłamią.

— Czy Autokor reaguje na rozkazy z zewnątrz?

— Nie.

— Sprawdź. Autokorze! Zatrzymaj wszystkie automaty. Zatrzymaj wszystkie automaty. Zatrzymaj! Rozkazuję! — Goer wstał. Patrzył na android, gdy zrobił krok do tyłu. Ale android ruszył za nim.

Teraz wiedział już, że Uninav mówił prawdę.

— Dlaczego on za mną idzie, Uninavie?

— Otrzymał rozkaz zniszczenia ciebie. Ale każdy z nich, nawet z tych prymitywnych automatów, ma układ nie dopuszczający do dezintegracji człowieka. Gdybyś był automatem, nie istniałbyś już. Jako człowiek jesteś tu bezpieczny.

— Ale on idzie, idzie za mną.

— Rozkaz nie został cofnięty. Zabezpieczenie nie zabrania mu zbliżania się do ciebie.

Goer zatrzymał się. Czuł, że dość ma tych automatów, Autokora i Uninava, że zniszczy je lub przekształci i wtedy będzie to znowu kosmolot, a nie trumna z rozkojarzonymi automatami.

— Wezmę dezintegrator i zniszczę Autokora — powiedział.

— Nie zdążysz — Uninav odpowiedział natychmiast. — Sterowanie stosu jest uszkodzone i wybuch nastąpi w najbliższych kilkunastu minutach.

— Więc co mam robić?

— Możesz jeszcze startować rakieta.



— A ty? Przenieś się do niej. Rozkazuję ci!

— Androidy tną teraz pancierz mojego pomieszczenia. To potrwa jeszcze trochę. Pancierz jest gruby. Mógłbym ci pomóc wystartować. Ale wydałeś rozkaz. Otwieram śluzy pomieszczenia.

— Stój! Zostań! Bez ciebie nie wystartuję.

— Idź do rakiety. Pospiesz się...

Goer chwycił dezintegrator i pobiegł korytarzami w głąb kosmolotu, ku śluzom, tam gdzie stała rakieta. W biegu mijał grupki automatów tnących palnikami pancierze, przeskakiwał przez gorące, płonące wiśniowym żarem płyty wykrojonych ścian i mijał znieruchomiałe, osmalone ogniem automaty zastygłe w swym mechanicznym ruchu. Za sobą słyszał tupot androida, aż wreszcie na jakimś zakręcie mały stożkowaty automat, specjalizowany w naprawach pancierza, przepuściwszy Goera, przeciął w pół androida ogniem swego dezintegratora. W powietrzu wisiał dym i swąd palonej izolacji. W głębi kosmolotu raz po raz coś wybuchało i gorący podmuch owiewał mu twarz. Wreszcie minął ostatni załom korytarza i był przy śluzach. Rakieta czekała z otwartym włazem. Zatrzasnął go za sobą i wtedy usłyszał głos Uninava:

— Jesteś gotów, kosmogatorze?

— Gotów — odpowiedział.

Poczuł lekkie uderzenie w, plecy, cichy gwizd i zobaczył w ekranie gwiazdy.

— Uwaga, kosmogatorze — głos Uninava był nadal wyraźny. — Szybkość rakiety trzysta dwanaście kilometrów na sekundę względem planety. Idziesz torem stycznym. Moment uruchomienia silników hamujących podany jest na twoim mnemotronie. Powodzenia.

— Zrozumiałem.

I wtedy Goer w głośniku usłyszał buczenie.

— Co się stało? Jesteś uszkodzony?

— Nie.

— Więc co się stało?

— Ja się śmieję — odpowiedział automat po dłuższej chwili.

— Nie rozumiem.

— Tak to można wyrazić używając słów zastrzeżonych dla człowieka.

— Tak. Teraz rozumiem. Bez odbioru!

# WŁÓKNOCLAPERIUSA

— Czas już na mnie — powiedziała Anna. Siedzieli przy niskim stoliku w pokoju Karola. Był półmrok, bo Karol nie zapalił górnego światła i tylko mała lampka na bibliotece oświetlała książki i stół kreślarski zajmujący róg pokoju. Nie zaciągnął również zasłon i zanim Anna to powiedziała, patrzył na księżyc świecący pełnią poprzez anteny telewizyjne na dachu sąsiedniego domu.

— Posiedź jeszcze — powiedział i pomyślał, że jest zbyt wcześnie, by zostać samemu w ten sobotni, majowy wieczór.

— Jutro też jest dzień — Anna wstała.

— Nawet niedziela. Powiedz lepiej, dokąd jedziemy?

— W niedzielę?

— W niedzielę. Dlaczego się dziwisz?

— Nie, nie dziwię się. Oczywiście, że pojedziemy. Gdzieś nad wodę.

Tam gdzie nie ma ludzi — zebrała filiżanki po kawie i zniosła je do kuchni.

— Znasz jeszcze takie miejsce w dzisiejszych czasach, Anno? — Nie narzekaj. To są piękne czasy. Na przykład wasze miasto. Ulice z szerokimi chodnikami, jezdnie pełne samochodów i te tramwaje. Suną tak wolno, jak... jak...

— „Wasze miasto” — to coś nowego. Znowu zaczynasz dziwaczyć, Anno. Czasami mówisz takie dziwne rzeczy.

— Wydaje ci się. Po prostu taka już jestem. Tramwaje... A konne tramwaje pamiętasz?

— Śmieszna jesteś. Skąd mogę pamiętać konne tramwaje. Ty ich przecież też nie pamiętasz. — Karol wstał, włączył górne światło i starannie zasunął zasłony.

— Oczywiście, że nie pamiętam, widziałam tylko na rysunkach... Miały takie śmieszne dzwonki ze sznurkiem. — Słyszał, jak myje filiżanki pod kranem.

— Nie wiem, jakie dzwonki miały konne tramwaje, i szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodzi. — Był zły, bo wiedział, że za chwilę zostanie sam, teraz gdy w kinach kończyły się ostatnie seanse, a przed nadejściem godzin nocnej taryfy taksówkarze zajeżdżali na kawę do kawiarenki naprzeciwko.

— Nie gniewaj się, Karolu. Nie będę dziwaczyć. Koniec! Ale iść już muszę... — Anna wyjęła z torebki grzebień i przeczesała włosy.

— Znowu zostawiasz mnie samego na cały wieczór? — powiedział to zupełnie spokojnie, ale Anna spojrzała na niego uważnie.

— Tak czasem bywa — powiedziała. — No, do zobaczenia. Nie odpowiedział. Nie patrzył na nią. Stała chwilę bez ruchu, a potem trzasnęły drzwi. Wyszła! Poderwał się z fotela, chwilę mocował się z zamkiem, który się znowu zaciął, kiedy otworzył drzwi — nie zobaczył już Anny.

— Anno — krzyknął — o której cię zobaczę jutro?! Słyszysz?!

Nasłuchiwał jeszcze chwilę, a potem pobiegł schodami w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz, tak jak kiedyś się tego nauczył, gdy był jeszcze chłopcem. W bramie stał dozorca domu i palił krótką, małą fajeczkę.

— Nogi pan kiedyś połamie... — zauważył. — W którą stronę poszła?

Słyszysz pan?

— Kto? — dozorca przyjrzał mu się uważnie.

— Kobieta. Wychodziła przed chwilą.

— Nikt, panie Topolak, stąd nie wychodził. Stoję w bramie, już będzie dobre pięć minut.

— Ależ przed chwilą... Nie widział pan?

— Nie to, żebym miał nie widzieć. Tędy nikt nie wychodził.

Karol minął go i pobiegł w stronę przystanku tramwajowego. Na ulicy był tłok. Sobotnie pary wolno spacerowały. Karol przepychał się między nimi, tuż koło krawężnika, bo tam było luźniej. Nagle uderzył w kogoś. Usłyszał brzęk rozsypujących się drobiazgów. To była dziewczyna.

— Przepraszam bardzo. Zaraz pomogę pani to zebrać.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem schyliła się i bez pośpiechu zaczęła wkładać do torebki rozsypane drobiazgi.

— Jest mi naprawdę bardzo przykro — pomagał jej i starał się to robić jak najszybciej. Nagle tuż za sobą usłyszał samochód. Odwrócił się. Obok przy krawężniku zatrzymała się niewielka furgonetka. Dziewczyna podeszła do tylnych drzwi samochodu i otworzyła je. Wchodziła już do środka, gdy Karol spostrzegł, że trzyma w ręce jej chusteczkę.

— Halo, pani chusteczka! — zawołał i wskoczył za dziewczyną. Słyszał, że drzwi trzasnęły za nim, mimo iż nie zamykał ich.

— Wskoczyłem za panią, żeby to oddać.

Nie odpowiedziała. Stała nieruchomo. I wtedy Karol usłyszał buczenie, początkowo niskie, potem coraz wyższe, urywające się gdzieś w ultradźwiękach. To nie był silnik samochodu. Rozejrzał się wokół. Okien nie było. Zamiast nich zobaczył ekrany i jakieś nie znane mu urządzenie oświetlone nikłą, zieloną poświatą.

— Dziwny ten mikrobus. To telewizja?

Nagle obok siebie zobaczył mężczyznę.

— Nie odpowie ci. Przecież się wyłączył — powiedział tamten. — Te nowe automaty są nic niewarte. Stare wytrzymałyby przeryty do tysiąca lat. Te wykańczają się już na półwiecznych odcinkach. A ten ma jeszcze jakąś awarię. Zaraz wezmę narzędzia. Pewnie znów przebicie na transkontaktorze. Uważam, że powinni je wycofać. Uszkodzenia i uszkodzenia. Całe szczęście, że nie doszło jeszcze do wypadku. — Przerwał na chwilę i zapalił mały, jasny reflektor, który skierował na plecy dziewczyny. — I teraz muszę wymienić mu ten transkontaktot. Nie mam zapasu, a w odległości dwudziestu lat muszę to znowu wysłać. A ty z UDV? Czy z ponadczasowych? — dalej nie patrzył na Karola.

— Z jakich czasowych i w ogóle co to wszystko znaczy?!

— Nie przejmuj się. Mówię ci przecież, że transkontaktor nawalił. Wymienię i będzie gotów.

— Ale co się stało z tą dziewczyną?

— Dziewczyną? Co ty, przecież to automat — teraz dopiero spojrzał na Karola.

— Panie! Gdzie ja jestem? Co to się w ogóle dzieje? Co z nią? — W tej chwili Karol spostrzegł, że krzyczy.

— Człowiek! Prawdziwy człowiek — teraz patrzył na Karola uważnie. — Jakżeś się tu dostał?! Pewnie transkontaktor! Nawalony transkontaktor! To musiało się kiedyś stać. Ale dlaczego akurat mnie?!

— Przestań się pan wygłupiać — Karol mówił już spokojnie. — Nie ze mną takie numery. Wypuść mnie pan stąd i nic mnie nie obchodzi ten transkontaktor. No, puszczaj pan. Wypuść mnie pan! Słyszysz!

— Uspokój się, nigdzie cię nie wypuszczę. Czekać, zastanowię się chwilę.

— Możesz się pan zastanawiać. Zabieram dziewczynę i idę. Rozumiesz!

— Uspokój się... Dziewczyna i dziewczyna... To android. Skorodowany, zepsuty automat. Przez niego tu właśnie jesteś.

— Jestem... Ale gdzie u diabła jestem?

— Jesteś dalej w swoim mieście. Tylko już po stu latach. I posuwamy się dalej w czasie.

— Posuwamy się? W czasie?... — Karol patrzył na mężczyznę uważnie, z lekkim niepokojem.

— No tak, w czasie, i to dosyć szybko. Zresztą, co ja tobie będę tłumaczył. Tobie, człowiekowi XX wieku. To jest pojazd czasowy.

— A ona? — Karol wskazał na dziewczynę.

— Mówiłem ci. Automat. Zwykły android. Po prostu nawalił. Miał zabrać z twoich czasów czasosondę, a zabrał ciebie. Nie przeszkadzaj chwilę! Muszę to naprawić. Mężczyzna nacisnął niewielką, wystającą z podłogi dźwignię i w kabinie rozpoczął się ruch. Ze ścian wysunęły się uchwyty, które chwyciły android i przesunęły go pod reflektor, uniesiony w górę, świecący wąskim stożkiem światła.

Gdzieś ze ściany wyszedł mały, metrowej może wysokości stożkowaty automat o kilku ruchliwych końcówkach chwytnych. Zdjęcie pokryw czołowych androidu trwało chwilę. Wewnątrz Karol zobaczył matowo połyskujące w świetle reflektora szare kryształki, w których czasem na moment rozjarzał się błysk.

— Wynalezienie silnika parowego przez Einsteina w 1987 roku... — powiedział android głosem dziewczyny.

— Widzisz, jest zupełnie rozkojarzony! Musi mieć jeszcze zwarcie na innym obwodzie — grzebał w metalowych wnętrznościach androidu i Karol mu nie przeszkadzał.

— Rozumiem, że to automat. Ale skąd ja tutaj? — zapytał wreszcie.

— Wszystko trzeba ci tłumaczyć, zupełnie jak dziecku... To proste. Nasi historycy prowadzą badania. Wysyłają automaty podobne do ludzi. Właśnie androidy. Kiedy android zbierze odpowiednią ilość informacji, wysyłamy inny android, który zabiera go z powrotem. Ten automat miał właśnie zabrać taką czasosondę, a zabrał ciebie. To wszystko. Proste. Nie?! Tylko gdzie on ciebie znalazł?

— Potrąciłem ją. Taka dziewczyna... i automat.

— Ładna, co? Już nasi plastycy starają się o to — mężczyzna powiedział to z pewną dumą. — No, ale teraz dopiero będą kłopoty — dodał. Spojrzał na Karola z uwagą.

— Jakie kłopoty?

— Widzisz. Konwencja Sześciu Planet zabrania przenoszenia ludzi w inne epoki, szczególnie w przyszłość. Moje zadanie to zbierać czasosondy. A tej, którą miałem zabrać, nie ma. Kręci się teraz po twoich czasach przepelniona informacją. Nic dobrego z tego nie będzie.

— Jeśli to pomyłka, to ja mogę wysiąść.

— Niestety. Nic z tego. Zaraz lądujemy w twoim mieście po trzystu latach. Już oni się do mnie dobiorą za tę twoją wizytę.

Karol usłyszał wysoki, świergotliwy sygnał, przechodzący w buczenie, a potem drzwi się rozsunęły. Wskoczył na chodnik i... był w swoim mieście.

W jaskrawym słońcu przedpołudnia zobaczył znajome domy. Ich białe ściany świeciły jasno na tle błękitnego nieba. Coś jednak było obcego w tych murach i Karol po chwili dopiero zdał sobie z tego sprawę. Miasto było puste, bardziej puste niż światem, o czwartej rano, gdy w jego czasach wyjeżdżały na jezdnię polewaczki, a nocne tramwaje wracały do zajezdni.

— Tu nikt nie mieszka? — zapytał.

— Muzeum jeszcze zamknięte dla wycieczek.

— Tu jest mój dom. Czy mogę wejść do środka?

— Jeżeli cię to bawi...

Wszedł do bramy własnego domu i spostrzegł, że między płytami chodnika i pod ścianami rośnie

trawa. Schody się nie zmieniły przez trzysta lat i nawet stopnie nie były bardziej wytarte. Drzwi do jego mieszkania skrzypiały i były uchylone. W pokoju ze swoich dawnych rzeczy zobaczył tylko fotel, wielki, już w jego czasach staroświecki fotel. W fotelu tym ktoś siedział. Karol podszedł blisko, a wtedy siedzący w fotelu wstał.

— Proszę nie dotykać eksponatów — powiedział. — Kto, kto jesteś?

— Automat—kustosz ACX 10058 melduje się i czeka na polecenia.

— Co tu robisz?

— To automat—opowiadacz, dla wycieczek. Ze też bawią cię takie rupiecie — mężczyzna z pojazdu wszedł za nim.

— To jest muzeum — ciągnął automat. — Co chciałbyś obejrzeć?

Posiadamy archiwa prasowe, radiofoniczne, telewizyjne. Wnętrza można obejrzeć z taśmy wizyjnej.

— A co to jest, ten ekran w ścianie?

— Ekran odczytu. — Coś, jakby ślad zdziwienia spostrzegł w głosie automatu. — Można w nim czytać stare dokumenty dodał automat już normalnym głosem.

— Rozumiem. Jednym słowem, moje czasy to dla was historia.

Karol milczał chwilę, a potem zapytał:

— Czy mógłbym się dowiedzieć na przykład, co się stało tu, w tym mieście, powiedzmy trzysta lat temu?

— Oczywiście — automat odpowiedział natychmiast. — Tylko muszę się skomunikować z Centralą Losów Indywidualnych.

— Nie. Daj spokój — wtrącił się mężczyzna. — Lepiej, żeby, nikt na razie o tobie nie wiedział. Mam pewien plan...

— Archiwum dysponuje również prasą — ciągnął automat.

— A prasę mogę?

Mężczyzna skinął głową.

— Wyświetlę ci gazetę na ekranie — powiedział automat. Patrz!

— „Nowa metoda wytwarzania płyt...”, „Remont wieżowców...” — Karol półgłosem czytał tytuły. — „Kina...” „Ogłoszenia drobne...” Stop! Zatrzymaj! Natychmiast — krzyknął.

— Co się stało? — zapytał mężczyzna.

— To jest nekrolog, czyli podane do publicznej wiadomości zawiadomienie o zgonie — powiedział automat.

— Spójrz! Tu! „Zginął tragicznie nasz ukochany syn, inżynier Karol Topolak. Wyprowadzenie zwłok odbędzie się...” Zginął tragicz...nie... Słyszysz! To ja! To mój nekrolog!

— Fakt. — Mężczyzna nie zdziwił się specjalnie.

— Ale właściwie, co to ciebie obchodzi? Jesteś tam czy tu?

— Dobrze, ale... ale to przecież mój nekrolog.

— Niby tak. Ale ten nekrolog jest sprzed trzystu lat, jakby na to nie patrzeć.

— Ale mój!

— Fakt... Czekaj, jakiś komunikat.

Nad ekranem zabłysło czerwone światło i patrzył stamtąd na nich mężczyzna w dziwnym skafandrze.

— Uwaga, tu Centrala Koordynacji Epok — rzekł. — Do wszystkich stacji czasowych i personelu Temporycznego! Człowiek starożytny przekroczył barierę czasu. Powtarzam: człowiek starożytny przekroczył barierę czasu w kierunku dodatnim. Różnica — trzysta lat. Którykolwiek automat albo

człowiek wiedziałby o miejscu jego pobytu, obowiązuje go natychmiast zawiadomić Centralę Koordynacji Epok. Powtarzam...

Nagle Karol za sobą usłyszał głos:

— Automat—kustosz ACX — jeden — zero — zero...

Mężczyzna uderzył automat w miejsce, gdzie człowiek ma żołądek, i automat zamilkł.

— Wyłączyłem go — powiedział do Karola — w ostatniej chwili zatrzymałem meldunek. Ale to i tak już nic nie pomoże. Liczyłem, że uda mi się podrzucić cię niepostrzeżenie w twoje czasy. Ale po tym komunikacie... Musiały nas zarejestrować automaty kontrolne na przełomie dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego wieku. Co robić?

— Porozum się z nimi. Przecież to nie moja wina, że tu jestem. Zresztą nie widzę w końcu w tym nic złego.

— Dziecko jesteś! Nie rozumiesz konsekwencji? Biegnie teraz od ciebie w czwartym wymiarze tak zwane włókno Claperiusa, które sięga w przeszłość. Wszystko, co leży na tym włóknie i jego odnogach, ulega zmianie. Zmienia się cała historia ostatnich trzystu lat.

— Więc co teraz zrobisz?

— Nie wiem. Wracajmy w każdym razie do czasolotu. Zmienię kurs i...

Chcieli wyjść, lecz w drzwiach spotkali mężczyznę w takim samym, dziwnym skafandrze jak ten, który Karol widział na ekranie.

— Oldes jestem — przedstawił się. — Naruszyliście czwarty paragraf Kodeksu Czasowego. Sprawdzam w Persotempografie. Mam wykres. Wokół niego dość gęsty węzeł włókien czasowych. Przykro mi, pilocie...

— Ja jestem niewinny — mężczyzna nazwany pilotem zbladł. — Automat miał przebity transkontaktor i...

— Wiem o tym. Jednak to wcale nie usprawiedliwia twego postępowania. Odpowiadasz za wszystko, jak zwykle — stwierdził Oldes, a potem zwrócił się do Karola. — Nie bój się. Pozbądź się tych odruchów swojej epoki.

— Ani się nie boję, ani mnie nie obchodzą wasze paragrafy. — Co z nim zrobicie? — zapytał pilot.

— Nie wiem jeszcze. Może dezintegrator pamięci... To jeszcze nie zostało postanowione... Ale to człowiek, trochę inny, ale człowiek. I pomyśleć, że dzieli nas od nich trzysta lat. No nic, postaramy się go nieskażonego naszą epoką przerzucić do jego czasów.

Budynek, do którego dolecieli dziwnym, przezroczystym pojazdem w kształcie meduzy, unoszącym się bezgłośnie w powietrzu, leżał wśród wzgórz. Musiała być wczesna jesień, bo liście żółkły już gdzieś i Karol czuł ich zapach, znany mu z jego czasów. Lot trwał krótko, kilka — może kilkanaście minut. Gdy wchodzili do budynku, matowa kurtyna zamykająca wejście rozwinęła się. Przeszli długimi korytarzami i weszli do wielkiej, pustej sali, na której środku, oświetlony reflektorami i obudowany pulpitemi sterującymi, stał dziwnej konstrukcji stół — „stół operacyjny” — pomyślał Karol. Gdy weszli, od pulpitu podniósł się mężczyzna i podszedł ku nim.

— Wszystko gotowe, Utet? — zapytał Oldes.

— Tak, lugry już pod napięciem. Czekamy na ciebie — zwrócił się do Karola.

— Co chcecie ze mną zrobić?

— Wymażemy ci pamięć, wszystko, coś doznał w naszych czasach, i powrócisz w swoją epokę.

— Nie, nie chcę... Puśćcie mnie...

Utet uśmiechnął się. W tej samej chwili Karol poczuł na szyi dotknięcie metalu. To było

bezbolesne.

Poczuł absolutny bezwład.

— Nie obawiaj się — powiedział Utet. — W tej chwili twoje ciało jest izolowane funkcjonalnie od twego mózgu. Potem to minie... Karol chciał się poruszyć, lecz nie mógł. Został uniesiony przez dwa automaty i ułożony na stole.

— Lugry: siedem stopni, dziesięć stopni, piętnaście stopni — słyszał, jak Utet podaje namiary. Usłyszał gwizd.

— Skojarzenie wtórne — powiedział automat.

— Dziesięć stopni, siedem stopni, trzy stopnie, zero. — Powtarzać? — zapytał automat.

— Nie. Koniec, to nie ma sensu — widział, jak Oldes odszedł od pulpitu.

— Jeszcze chwila — powiedział Utet. — Sprawdzę tylko jego zapis pamięci. — Przez chwilę panowało milczenie, potem Utet zawołał :

— Znalazłem to!

— Co to jest?!

— Jakieś silne przeżycie. Niewymazywalne powierzchniowo. Trzeba by naruszyć górną warstwę podświadomości, a tego robić nie wolno... Teraz już możemy przerwać.

— Może jednak spróbować — zaproponował Oldes.

— Nie, to jest odcinek pamięci odpowiadający pobytowi w muzeum. Musiał tam mieć jakieś przeżycie, które zostawiło trwałe ślad w jego pamięci. Chciałem wymazać mu wszystko, co tu zapamiętał. Mógłby wtedy spokojnie powrócić w swoje czasy i żyć dalej. A tak... Czy jest tu pilot, który go przywiózł? Karol zobaczył teraz twarz pilota. — Przypomnij sobie, co on tam, w muzeum, przeżył takiego.

— Pojęcia nie mam.

— A co tam robił?

— Kazał sobie przedstawić archiwum prasowe... Wiem! Zapomniałem po prostu. Za dużo mam ostatnio zmartwień.

— No, co takiego? — Utet patrzył teraz na pilota.

— Przeczytał... no, nie pamiętam, jak to się nazywa... takie ogłoszenie o czyjejś śmierci w starożytnej gazecie.

— O czyjej śmierci?

— O jego własnej. Śmierć miała nastąpić zaraz po porwaniu go przez automat.

— Źle! — stwierdził Utet. — Kustosz nie powinien mu pokazywać archiwum. No, kończę... — trzasnął jakiś przełącznik i wtedy Karol poczuł, że może zejść ze stołu.

— Powiedzcie mi, gdzie jestem? — zapytał. Stał jeszcze nieco niepewnie.

— Jesteśmy Radą Temporyczną, która zadecyduje o twoim losie — powiedział Utet. — Jesteś w przyszłości i musisz ją opuścić.

— Przez chwilę bałem się, że mnie mimo wszystko wyślecie w przeszłość. Siłą!

— Siłą? To pojęcie z twojej epoki. Dzisiaj ono już nic nie oznacza. Bez twojej zgody nie umiemy tego uczynić.

— Mojej zgody. Nigdy jej nie uzyskacie!

— Musisz pewne rzeczy zrozumieć...

— Nie mam najmniejszego zamiaru niczego rozumieć. Niczego! Nic mnie nie obchodzą wasze...

— Dlaczego właściwie nie chcesz? — Utet patrzył na Karola uważnie.

— Pytasz się dlaczego? Pilot też się pytał. Pytacie się wy, którzy wszystko wiecie! Wiecie przecież, że mam zginąć zaraz, jak tylko wrócę. A ja nie mam zamiaru...

— Przecież i tak kiedyś umrzesz.

— Tak, ale trzydzieści lat w tę czy w tamtą stronę to jest różnica. Zrozumcie mnie — dodał już spokojnie. — Nie mogę przecież wrócić do czasów, w których czeka mnie natychmiastowa śmierć.

— To jest stanowisko słuszne tylko z twego osobistego punktu widzenia. Przecież ludzie umierają we wszystkich epokach. To normalne. A my nie możemy dopuścić do tego, byś pozostał w przyszłości. To wykluczone. Umrzeć musisz czy tak, czy owak. Przeszłości nie możemy zmieniać.

— Nie wy, to ja sam ją zmienię! Jeśli mnie zmusicie, wrócę.

Przypuszczam, że teraz potrafię już unikać śmierci.

— Bzdura! Zrozum, twoja śmierć jest faktem, faktem, który już się zdarzył. Nic i nikt nie może tego zmienić!

— Ale ja przecież żyję!

— To prawda — Utet milczał chwilę. — Możliwe byłoby jeszcze jedno wyjście, ale...

— Jakie?

— Stypendium historyczne.

— Co to takiego?

— Widzisz, nasi historycy robią czasem rekonesanse w daleką przeszłość. Niektóre z tych wypraw wiążą się z pewnym, jak wy to nazywacie, ryzykiem. Mógłbyś i ty...

— Dla odmiany mam zginąć w starożytności?

— Jest pewne prawdopodobieństwo, że możesz zginąć — stwierdził Utet. — Jeśli natomiast powrócisz do swoich czasów, twoja śmierć jest pewna.

— Ryzykujesz mało, zyskać możesz wiele. Parę lat pobytu w starożytności, a potem powrót w twoje czasy. Zyskujesz kilka lat życia. — Oldes patrzył na Karola uważnie.

— Więc potraficie mnie umieścić na przykład... w starożytnym Egipcie?

— Egipt raczej nie wchodzi w rachubę. Został doszczętnie wyeksploatowany. Było już tam wielu historyków. Musisz się zgodzić na coś innego albo czeka cię natychmiastowy powrót do twoich czasów. Wybieraj więc.

Karol spojrział na stół i pomyślał o chłodnym dotknięciu automatu na swojej szyi.

— Zgoda, jadę... — powiedział. — Tylko dokąd? Zastrzegam sobie łagodny klimat i absolutnie żadnych ludożerców.

— Zobaczymy, dokąd można teraz jechać — powiedział Utet i zwrócił się do automatu.

— Tu Koordynator Utet z Centrali Epok. Do historycznej komisji stypendialnej. W sprawie stypendium czasowego. Proszę o podanie miejsc i czasów.

W głośniku przez chwilę słychać było szum, a potem odezwał się głos:

— Późny paleolit — badania zoologiczne. Cesarstwo Rzymskie — widowiska cyrkowe, wyprawy krzyżowe — dziesięć miejsc. Plemiona Inków — obrzędy ofiarne, Karol Młot — między Tours i Poitiers. Stypendia pierwszego stopnia. Koniec.

— No i co? Odpowiada ci coś z tego? — zapytał Utet.

— Sam nie wiem. Może do Inków. Chociaż to trochę daleko...

— A może na stypendium drugiego stopnia? — zaproponował Oldes.

— A jaka jest różnica?

— Są one związane z pewną misją i... z niebezpieczeństwem. Muszę cię ostrzec, że kilku wysłanych na nie historyków nie powróciło... Do dziś nie wiadomo zresztą, z jakich powodów.

— Co na tym zyskuję?

— Te stypendia są dłuższe.

— Może bym się zdecydował...



— Proszę o podanie wolnych miejsc na stypendia drugiego stopnia — powiedział Utet. Tym razem odpowiedź przyszła natychmiast.

— Proces Joanny d'Arc, Asyria — eliksir życia... to wszystko.

— Eliksir życia? Co to takiego?

— Tak. Ale to bardzo ryzykowne. Już trzech stamtąd nie wróciło — powiedział Utet.

— Co to za eliksir? Musicie mi chyba powiedzieć.

— Badania wykazały, że starożytni Asyryjczycy mieli jakiś eliksir. Płyn o działaniu regenerującym organizm — Utet mówił wolno, jakby z trudem znajdując właściwe słowa. — Człowiek posiadający ten płyn mógł co pewien czas się odmładzać i w ten sposób uzyskać coś w rodzaju, nieśmiertelności.

— Już za moich czasów czytałem o takim eliksirze. Ale przecież to bzdury. Podobno Cagliostro też dysponował takim płynem, a umarł. I wy w to wierzycie?

— Cagliostro był szarlatanem. Tu sprawa nie przedstawia się tak prosto. Widzisz, ów środek przechowywany był w świątyniach i dostępny tylko nielicznej grupie kapłanów. Badania dokładnie wykazały zadziwiającą długowieczność kapłanów, w których rękach był ów eliksir.

— Może tak było, ale ja w to nie wierzę.

— Nie musisz wierzyć. Chodzi o zbadanie całej sprawy na miejscu. I o zdobycie tego eliksiru, jeżeli rzeczywiście istniał.

— Zdobycie eliksiru? Jak mam tego dokonać, przyjmując oczywiście, że kapłani go mieli?

— W tym właśnie cała trudność — Utet odpowiedział po chwili. — Dostaniesz na pewno ogólne instrukcje, zaznajomią cię dokładnie z epoką, ale reszta to już twoja rzecz. Przypominam ci, że już trzech stamtąd nie powróciło. Wszyscy, których wysłano. No więc?

— Zgadzam się! Jadę! — powiedział.

— A więc jesteśmy w starożytności — powiedział pilot. Ich czasolot w kształcie odwróconego spodka sunął bezgłośnie na wysokości tysiąca metrów.

— I co dalej? — zapytał Karol.

— Za chwilę wylądujemy. Reszta należy do ciebie.

— Spójrz, tam jakieś budowle — Karol patrzył na szare, regularne bryły, leżące w dole w lekkiej, przyziemnej, fioletowej mgle.

— Coś tam rzeczywiście widać. Obejrzyj to sobie z bliska — powiedział pilot. Potem przełożył dźwignię sterów i pojazd ruchem opadającego liścia zmniejszył wysokość. Dotknięcia ziemi Karol nie odczuł.

— Jesteśmy na miejscu. Będę tu czekał na ciebie drugiego dnia po pełni każdego miesiąca.

— Dokładniej nie mógłbyś tego określić?

— Mógłbym, ale już wkrótce stracisz rachubę czasu. Tu nie obowiązuje nasz kalendarz.

Karol chwycił swój bagaż i zeskoczył na trawę. Nogi plątały mu się nieco w długich szatach, ale pomyślał, że do tego też się przyzwyczai. Pilot skinął mu ręką i pojazd bezszelestnie unióś się zostawiając w trawie trzy głębokie, kuliste wgniecenia.

Karol patrzył za nim, jak oddalał się, błyszcząc w promieniach zachodzącego słońca. Potem rozejrzał się. Wysoka trawa wokół niego falowała w lekkim, przedwieczornym wietrze. Dalej przy kępie drzew zobaczył smugę dymu. Pomyślał, że do chwili jego urodzenia miną jeszcze tysiące lat, i ruszył w kierunku dymu.

Ileokroć wchodził do świątyni, odczuwał niepokój, irracjonalny, nieumiejscowiony, pierwotny niepokój swych praprzodków. A znał tutaj każdy kamień. Dzisiaj był drugi dzień po pełni księżyca i

Karol wiedział, że wchodzi tu po raz ostatni. Idi czekała na niego jak zwykle w przedsionku świątyni.

— Jednak przyszedłeś! — powiedziała, gdy stanął przed nią. — Przyszedłeś tu, do świątyni, gdzie bogini w ustach swych zamyka czas. Przyszedłeś, choć wiesz, czym to grozi. Kusi cię jednak tajemnica śmierci.

— To nie jest tajemnica śmierci, Idi.

— Nie jesteś pierwszy, który tak mówi. Tamci wszyscy zginęli. Bogini nie zdradzi nikomu tajemnicy wieczności. Nawet ja nie śmiem myśleć o tym.

— Jaka tam bogini... Ten głaz to zwykły kamień.

— Milcz!

— Co się stało?

— Ona nas słyszy! Jak śmiesz w tym miejscu! Ona patrzy na ciebie.

— Bzdura!

— Przestraszyłeś się jednak.

— Boję się... Ale nie bogini... Boję się ludzi, kapłanów.

Milczeli przez chwilę i Karol słyszał tylko krople spadające gdzieś monotonicznie na kamienną posadzkę.

— Wiem, że przybywasz z innego świata — rzekła wreszcie Idi. — Opowiadałeś rzeczy, których mój umysł pojąć nie może. Błagam cię, uwierz mi! Ja wiem, co jest prawdą, a co sztuczką kapłanów. To jest prawdą. Nikomu się jeszcze nie udało...

— Idi, przestań. Zrozum, wkrótce muszę wracać. Muszę zabrać z sobą tajemnicę bogini i ciebie, Idi.

— Tyle opowiadałeś mi o tamtym świecie. Jeżeli jest on tak piękny, jak ta muzyka, którą przywiozłeś ze sobą...

— Przed powrotem muszę poznać tajemnicę bogini. Wiesz o tym.

— Jesteś zdecydowany? — powiedziała to cicho. — Na wszystko!

— Czy masz ze sobą tę czarodziejską skrzynkę, która tworzy dźwięki?

— Tak. Utrwalam twój głos, Idi, żeby słyszeć go zawsze.

— Chcę słyszeć muzykę.

Włączył magnetofon i słuchał dźwięku muzyki, która nie była muzyką jego czasów. Słuchał dźwięków z czasów Oldesa, z czasów mówiących automatów i bezszelestnych pojazdów czasowych.

— Dostyc — powiedziała Idi. — Dobrze więc! Zdobędę dla ciebie tajemnicę. Jest ukryta tu, w posągu. Patrz! Staję na tej płycie i sięgam do ust bogini.

I wtedy Karol zrozumiał. Płyta, metalowy wspornik i wiecznie suchy wiatr pędzący tumany pyłu ku wejściu świątyni.

— Stój! Już wiem! — krzyknął.

— Pani, zwróć na mnie oczy swoje i obdarz mnie uśmiechem! — Idi mówiła monotonicznie, cicho.

— Stój! Nie dotykaj! Ładunek elektryczny! Nie dotykaj! — Oto eliksir życia... — Idi sięgnęła do ust posągu.

Trzask wyładowania nie był głośny. A Idi upadła na płytę. Wtedy Karol usłyszał za sobą śmiech, śmiech dudniący pod sklepieniem świątyni. To był Kaloos, pierwszy kapłan świątyni.

— Zdobyłeś eliksir. Podejdz zatem, weź go! Byłeś bardzo mądry, ale w tym punkcie wy wszyscy jesteście głupcami! Wierzycie w eliksir życia! Lęk przed śmiercią jest zawsze jednakowy. Otóż wiedz, że tajemnica eliksiru polega na tym, że eliksiru nie ma! Kto jednak posiadał tę wiedzę, płaci życiem. Tak jak Idi. Ciebie to też czeka!

— Zabiliście ją!

— Ty także zginiesz.

— Ja się nie boję!

— Twoja śmierć będzie inna.

Karol wiedział, że to prawda. Ale na spotkanie z Kaloeseem był przygotowany.

— Śmieszny jesteś, Kaloesie. Myślisz, że mnie zabijesz. Myślisz, że Idi umarła. Posłuchaj... — powiedział i nacisnął klawisz odtwarzania swego magnetofonu.

— „...eliksir — mówiła Idi — jest ukryty tu, w posągu. Staję na tej płycie i sięgam do ust bogini”.

— To jej głos!

— „Pani, zwróć na mnie oczy swoje i obdarz mnie uśmiechem! Oto eliksir życia”.

Słyszał trzask wyładowania i pogłos sandałów uderzających o kamienną posadzkę. Kaloes uciekł.

Wyłączył magnetofon i ruszył korytarzem ku wyjściu. Minął kamienny dziedziniec, stanął w bramie i spojrzał na pustynię, z której wiatr niósł tumany pyłu opadające z cichym szelestem z murów świątyni. Pomyślał o wszystkich dniach, które tutaj przeżył, i ruszył traktem na wschód.

Leżał w tej samej sali, na tym samym stole i reflektory świeciły mu w twarz tak samo, jak przed laty. Dla nich, którzy stali wokół niego, jego nieobecność trwała kilka godzin. Słyszał, jak mówią, ale nie mógł się poruszyć.

— Telewizja nie dała wyniku — powiedział Oldes.

— A jednak powrócił po pięciu latach. Dotychczas nikomu z naszych się to nie udało. Oni są lepiej przystosowani od nas do życia w starożytności. Ale eliksiru nie przywiózł. Zauważ jednak, że niewiele się postarzał. To daje do myślenia.

Utet przyglądał mu się uważnie.

— Sądziś, że dostał go tam i zażywał? Za chwilę dowiemy się wszystkiego. Ukryć eliksiru przecież nigdzie nie mógł!

Utet przycisnął klawisz.

— Witajcie, potomkowie — powiedział Karol. — Dla was te pięć lat było chwilą.

— Jesteś opalony — stwierdził Utet.

— To gorące słońce Babilonu. Blade są tylko kobiety, nigdy wojownicy.

— A co z eliksirem! Przeszukaliśmy twoje ciało podczas snu aklimatyzacyjnego. Nic nie znaleźliśmy.

— Eleksiru nie ma. To zwykła bajka.

— Dziwne. Nasi historycy są niemal pewni, że eliksir istniał. Inaczej nie wysłaliby cię przecież.

— Eleksiru nie ma. Mówię chyba wyraźnie.

— Skoro to stwierdziłeś i wróciłeś, dlaczego nie powrócili tamci trzej?

— Po prostu, kto się o tym dowiedział, musiał zginąć. Wasi wysłannicy zginęli właśnie dlatego, że dowiedzieli się. Istnienie eliksiru jest legendą.

— Ty jednak jesteś żywy — stwierdził Utet.

— Jak widzicie. I przestańcie mnie już wreszcie nudzić.

— W jaki sposób udało ci się wrócić? — zapytał Oldes. Przez przypadek?

— W pewnym sensie tak. To nie było proste. Chytróść ich kapłanów jest wielka. Mówię wam, ludzie z przeszłości nie ustępują wam wcale.

— I chcesz, abyśmy wierzyli w ten przypadek.

— Nie zależy mi specjalnie na tym.

— Słuchaj — powiedział Oldes. — My i tak wszystko wiemy. Wiemy, że masz tajemnicę eliksiru. Nie możemy cię z nią wysłać w twoje czasy.

— W porządku, mogę zostać u was.

— Wiesz doskonale, że nie możesz. Wrócisz dokładnie w ten sam punkt czasoprzestrzeni, który opuściłeś. Taka była umowa.

— Zgoda, mogę wracać.

Oldes milczał chwilę, a potem powiedział:

— Gdybyś przekazał nam eliksir, być może Rada pozwoliłaby ci zostać u nas. A tam... pamiętasz, czytałeś swój nekrolog. — Wiesz co, Oldes, zawsze mi się wydawało, że jeśli zna się przyszłość, można unikać większości niespodzianek.

— Myślisz, że eliksir ci w tym pomoże?

— Kto wie.

— Przyznajesz więc, że go masz.

— Nie, mówię tylko, że może mi pomóc.

— Nie rozumiem.

— Nie szkodzi. W tym właśnie różnicie się od nas. Jesteście inni. Po prostu dzieciennieliście przez te trzysta lat, które nas dzielą. W naszych czasach nikt by się nie nabrał na ten eliksir. A wy wierzycie. Wierzycie w bajki.

— Nasza technika, zdobycze naszej nauki upoważniają nas do wiary w zjawiska z pozoru nieprawdopodobne.

— Ale jesteście przy tym bardzo naiwni. Nadmiar udogodnień technicznych nie sprzyja myśleniu.

— I ty to mówisz, ty, człowiek z zamierzchłej epoki wczesnoatomowej?

— Nie była ona tak prymitywna, jak myślicie. Z przyjemnością wrócę do niej. Miała ona swoje dobre strony. Zapewniam was.

Oldes ruszył ramionami.

— Doskonale, wobec tego zorganizujemy przerzut w twoje czasy.

Gdy wszedł, starszy o pięć lat, do swojego pokoju, zobaczył Annę.

— No, wreszcie w domu — powiedział. — Jesteś, Anno, wróciłaś. Jak weszłaś?

— Normalnie, drzwiami. Były otwarte.

— Wydawało mi się, że je zamknąłem... Dość dawno temu, ale zamknąłem.

— Może nie powinnam przychodzić. Ale pomyślałam sobie, że nie mogę cię zostawić na cały wieczór. Wróciłam więc.

— Dobrze, że przyszłaś... To był chyba maj, sobota...

— Źle się czujesz, Karolu? Zmieniłeś się jakoś.

— Postarzałem się. Przybyło mi parę lat.

— O czym ty mówisz? Rozstaliśmy się przecież przed chwilą.

— Tak, ale tymczasem zostałem przeniesiony w przeszłość. Właściwie nie wiem, jak ci to mam powiedzieć. To było coś niesamowitego...

— Uspokój się. Usiądź i powiedz wreszcie.

Siadł w swoim fotelu, na którym, wiedział, że za trzysta lat siadywać będzie automat.

— Byłem w Asyrii — powiedział.

— Gdzie?

— Nie przerywaj mi. W starożytnej Asyrii. Przeniesiono mnie w inną epokę. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko, co mówię, wygląda na szaleństwo. Ja wiem, że to jest nieprawdopodobne, ale ja byłem! Rzeczywiście byłem. Byłem także w przyszłości... Wierzysz mi?

— Tak, oczywiście, że ci wierzę — odpowiedziała Anna po chwili.

— Wtedy kiedy wyszłaś, pobiegłem za tobą. Wsiadłem do samochodu i znalazłem się w czasolocie. To taki pojazd, który porusza się w czasie. Byłem tutaj, w tym samym mieście, ale po trzystu latach... To było potworne... Wiedziałem, że ciebie już nie ma...

— Musisz odpocząć... Zrobię ci kawę... — Anna wstała.

— Ty mi nie wierzysz? Myślisz, że oszalałem?

— Ależ nie! Wiem, że mówisz prawdę — Anna mówiła to bardzo spokojnie.

— Po prostu zrobię ci kawę. Poczekaj.

— Gdybym mógł mieć jakiś dowód i przekonać cię. Anna podeszła do drzwi balkonu i odsunęła zasłonę. — Duszno tu. Otworzę drzwi od balkonu.

— Duszno? Przecież jest chłodno!

— Może masz dreszcze? — podeszła do niego i dotknęła jego czoła.

— Anno! Tu jest przecież zimno! Dlaczego mi wmawiasz, że jest duszno!

— Uspokój się. Zaraz zamknę drzwi.

— Nie, nie! Proszę cię. Otwórz!

— Przyjdzie tu lekarz...

— Co takiego?

— Lekarz. Przed chwilą dzwoniłam do lekarza... Nie zrozum mnie źle...

— Rozumiem. Uważasz, że oszalałem!

— Nie. Naprawdę nie. Wierzę we wszystko. Jestem pewna, że tak było naprawdę. Ale dobrze będzie, gdy poradzimy się lekarza. Może masz temperaturę.

Dzwonek u drzwi wejściowych zadzwonił. Otworzyła Anna. Siedział nieporuszony w fotelu.

— Dobry wieczór! — usłyszał głos. Nie mylił się. Odwrócił się gwałtownie. To był Oldes.

— To ty? Po co przyszedłeś?

— Nie rozumiem — Oldes spojrzał na Annę. — Wspominałam panu, doktorze, że...

— Tak, tak, oczywiście.

— „Doktorze”? Anno, to oszustwo. To nie jest żaden lekarz! To właśnie on! Człowiek z przyszłości! Nazywa się Oldes.

— Karolu, wiem, że mówisz prawdę, ale posłuchaj doktora.

— To nic groźnego — stwierdził Oldes. — Po prostu pan jest wyczerpany nerwowo.

— Po co przyszedłeś! Po eliksir? — Teraz Karol krzychał.

— Co to takiego? — Oldes zwrócił się do Anny.

— Nie wiem. Mówi, że był w Asyrii.

— Rozumiem... Proszę usiąść...

— Nie zbliżaj się do mnie! radne sztuczki ci nie wyjdą! Jesteś w terażniejszości!

Oldes zatrzymał się niezdecydowany.

— Nie wiem, czy sam dam radę — zwrócił się do Anny. — To wygląda na ciężki przypadek.

— Anno, nie wierz ani jednemu jego słowu! To oszust. Chcą mnie zabić! Wrócili po to, żeby nie zmieniła się ich przyszłość! Włókno Claperiusa! Tak się to u nich nazywa!

— Włókno Claperiusa... O czym ty mówisz?

— Tak, właśnie tak!

— Obsesja śmierci. Dostyc typowy objaw. — Oldes mówił do Anny szeptem.

— Wynoś się stąd! Słyszysz? Wynoś się natychmiast! Nie uda ci się!

— Gdyby była pani tak uprzejma... Tam na dole w karetce jest pielęgniarz. Sam nie dam rady.

— Nigdzie nie pójdziesz! Nie wychodź, Anno. Nie zostawiaj mnie z nim. Oni chcą mnie zabić.

— Zaraz wrócę, Karolu — powiedziała Anna i wyszła.

Karol milczał chwilę.

— Zostaw mnie — powiedział w końcu. — Jeżeli mnie zostawisz, dam ci eliksir. Zdobyłem...

— Teraz za późno. Muszę cię zabrać do szpitala. Powiesz przynajmniej, gdzie przechowałeś ten płyn? Przeszukaliśmy cię dokładnie.

— Dałeś się nabrać. Jadąc czasolotem wysiadłem dzień wcześniej i umieściłem go tu, w swoim domu.

— Pilot zgodził się na ten postój? — Oldes nie był całkiem przekonany.

— Powiem ci, ale musisz mi przyrzec...

— Szybko, mów!

— Dałem mu pół butelki.

— Więc to tak? — Oldes podniósł głowę.

— Widzisz. Dam ci drugą połowę, ale pod warunkiem, że pójdziesz stąd i zostawisz mnie w spokoju.

— A co powiem w Centrali?

— To już twoja sprawa. Zresztą jeśli nie chcesz... Ale radzę ci się zastanowić. Wy w przyszłości macie wszystko, ale jesteście śmiertelni. Ty jeden możesz zyskać nieśmiertelność, świeżość umysłu. Podczas gdy twoi przyjaciele będą zgrzybiałymi starcami, ty zachowasz umysł i wygląd trzydziestolatka! To wielka rzecz, Oldes. Spróbuj, mam to tutaj... — Karol wstał i nalał do szklanki nieco białego, przezroczystego płynu.

— Może to trucizna?! W waszych czasach robiło się takie rzeczy...

— Głupcze! Spójrz na mnie! — Karol odwrócił się i spojrzał na Oldesa. — Czy postarzałem się choć trochę przez te pięć lat? Zresztą, proszę bardzo! Sam też wypiję. No? Jeszcze się wahasz? — nalał płynu do drugiej szklanki i wypił.

Oldes wahał się jeszcze przez chwilę i wreszcie wypił także.

— Uuu! Dziwne! Piecze w ustach. — Oldes z trudem łapał powietrze.

— Chciałbyś, by eliksir miał smak wody? Musi w tym być moc, która przywraca młodość!

— To dobre! Mógłbyś jeszcze trochę? Tak na początek?

— Ależ proszę cię uprzejmie — nalał mu pół szklanki. Mam tego kilka butelek.

— Kilka butelek?

— Fakt.

— Wiesz, czuję przyjemne ciepło rozlewające się po całym ciele.

— Pierwszy objaw, że twój organizm się odmładza.

— Jak myślisz, o ile się odmłodziłem?

— No, co najmniej o kilka lat.

— A gdybym wypił na raz całą butelkę?

— Trochę niebezpieczne. Wróciłbyś do dzieciństwa, zacząłbyś bełkotać i chodzić na czworakach.

— Cudowne! Czuję jasność umysłu!

— I wszystko wydaje się łatwe i proste?

— Właśnie!

— Osiągasz mądrość kapłanów asyryjskich.

Oldes wstał, zatoczył się i oparł o bibliotekę.

— Czemu tracę równowagę? — zapytał.

— Młodość oszałamia!

— Dasz mi całą butelkę?

— Proszę — odpowiedział Karol i wręczył Oldesowi butelkę białego płynu.

— Wspaniale! — Oldes schował butelkę i usiadł w fotelu. Milczeli chwilę, a potem weszła Anna z pilotem.

— Panie doktorze, pan... — zaczął pilot, lecz Oldes mu przerwał.

— Wysiadło się dzień wcześniej po eliksirek, co?

— Co takiego?

— No, już dobrze... — Oldes machnął ręką.

— Co się tu dzieje? — Anna patrzyła na Karola.

— Pan doktor poprosił a coś do picia — wyjaśnił Karol.

— Prze... Przepraszam bardzo... Pani wybaczy... — Oldes wstał i chwycił za ramię pilota.

Wracamy, kochasiu. Wracamy...

— Ależ, panie doktorze.

— Idziemy... Przepraszamy... — Oldes, ciągnąc pilota, ruszył ku drzwiom.

— Doktorze, wezwano pana w określonym celu. — Anna chciała go zatrzymać.

— W określonym celu, ale... Przepraszamy, wychodzimy... Wejściowe drzwi trzasnęły. Karol usiadł w fotelu.

— Ale mi się udało. Ty jeszcze nic nie wiesz, Anno. Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Widzisz, dziś o godzinie dwudziestej drugiej zero pięć miałem umrzeć. Właśnie teraz, ale nie dałem się... Oni już nie wrócą... Rozumiesz? Czas mojej śmierci minął i będę żył dalej... żył dalej, Anno.

— No tak, rzeczywiście. Widzisz, wiem, że to, co mówisz, to prawda. Trudno mi jednak znaleźć rozwiązanie. Lubiłam cię, Karolu...

— Lubiłaś?

— Nie, nie... Widzisz, włókno Claperiusa...

— Tak, to oni tak mówią. Ja miałem umrzeć... Nie potrafię ci tego wszystkiego wytłumaczyć, ale przecież fakt, że byli tu, dowodzi, że to nie mój wymysł... Słuchasz mnie?

— Tak. Oczywiście.

— Myślałem o tobie... Cały czas myślałem o tobie. Chciałem tu wrócić...

Karol urwał, bo usłyszał szum, który słyszał już kiedyś.

— Słyszysz coś, Anno? — zapytał.

— Co takiego?

— Nie wiem. Jakby szum. Wydaje mi się pewnie. Czuję się naprawdę zmęczony... Co ty tam robisz? — zapytał, bo Anna podeszła do okna i wtedy usłyszał słowa:

— MGX-122, operacja awaryjna, powtarzam: operacja awaryjna. — To był głos Anny.

— Anno? Co ty mówisz? — zawołał. Teraz szum słyszał już wyraźnie.

— MGX-122 wzywa czasolot awaryjny! — Monotonnie powtarzała Anna.

— Spójrz na mnie, Anno!

Widział, jak podchodzi do niego, bierze go za ramiona i bez wysiłku podnosi w górę.

— Nie żartuj. Uważaj. Przerzucisz mnie przez balustradę.

Lecząc krzyczał jeszcze. Pisku opon i gwaru ludzi już nie słyszał. Nie wiedział także, że Anna obciągnęła sukienkę i płucząc szklanki pod kranem, mówiła monotonnym głosem w kierunku zlewozmywaka:

— MGX-122 melduje usunięcie awarii. Człowiek, który przekroczył barierę czasu, nie żyje. Przewidziane wypadki zaszły z trzyminutowym opóźnieniem, bez naruszenia włókna Claperiusa.

# KONSTRUKTOR

— Widzisz już tę planetoidę? — zapytał Marp.

— Nie i jeszcze długo jej nie zobaczę...

— Zupełnie, jakbyśmy podróżowali do układu Toliman. Leci się i leci. Nie nudzi ci się?

— Trochę. Możesz włączyć program wideotronii ogólnoukładowej.

— Nie warto. W programie na pewno znowu ziemskie grzybobranie w ziemskim lesie albo

ziemska dziewczyna unosi się na antygravitorach w podmuchach ziemskiego wietrzyku... To dobre dla nostalgicznych marsjańskich kolonistów, przezuwających przed ekranem papkę z chlorelli, ale nie dla nas — Marp wstał z fotela i przeszedł się tam i z powrotem wzdłuż ścian kabiny. — Że też nie mieli gdzie zbudować tej bary. Peryferie strefy środkowej... W porównaniu do tej planetoidy Mars to centrum Układu Słonecznego... A w dodatku teraz, gdy znajduje się ona w najbardziej odsłonecznym punkcie swej orbity, lot do niej to zupełny absurd.

— Nie narzekaj, Marp. Mogli cię wysłać na księżyc Saturna. Nie jest jeszcze najgorzej. Baza na planetoidzie to w pełni zautomatyzowane marzenie kosmonauty. Podobno, jeśli nie chcesz oglądać gwiazd, możesz ich nie widzieć całymi tygodniami. Automaty karmią cię, kołyszają do snu i nie mówiąc ci nawet o tym, spełniają każde twoje życzenie...

— Jednym słowem, opowieści z tysiąca i jednej podróży kosmicznej. Może mi w takim razie powiesz — Marp spowaźniał nagle — dlaczego ci się nie odzywają już drugi tydzień...

— Może jest im tak dobrze, że zapomnieli o Ziemi i o nadawaniu sprawozdań...

— Nie kpij, Tor. Ta historia wcale nie wygląda zabawnie. — Zapewne... Może to jednak nic poważnego. Mógł im jakiś większy meteor trzepnąć w antenę...

— Naprawiliby już do dzisiaj. Soto, wiesz, ten, który jest naczelnym kosmikiem w tej bazie, nie siedziałby z założonymi rękoma czekając na nas. Znam go...

— To dobrze, że go znasz. Będziesz mu mógł przynajmniej po starej znajomości powiedzieć kilka ciepłych słów, jeśli się okaże, że niepotrzebnie tam lecimy — Tor przeciągnął się w fotelu. — Za chwilę zaczniemy ich wywoływać... Może się odezwą.

— Wątpię.

— To niech się nie odzywają. I tak tam wylądujemy. Chyba że jakiś bolid trafił wprost w bazę. Jak mnie uczono, zdarza się to z prawdopodobieństwem jedyńki na siódmym miejscu za przecinkiem, ale jednak się zdarza. To byłoby fatalne. Nie moglibyśmy się tam zatrzymać, a powiem ci szczerze, że dość już mam tego lotu. Człowiek nie jest przystosowany do życia w kosmolocie. To dobre dla automatów...

— Wolę podróżować kosmolotem niż siedzieć bez przerwy w bazie, nawet w takiej bazie jak ta, do której lecimy.

— Entuzjasta próżni się znalazł. Najlepiej włóż skafander i wyskocz na zewnątrz. Kosmonauta Marp, nowy satelita Słońca.

Marp wzruszył ramionami i usiadł w swoim fotelu. Tor tymczasem pochylił się nad ekranem.

— Zobaczymy, czy ich lokalna stacja nadawcza pracuje — powiedział.

Chwilę manipulował przełącznikami i nagle w głośniku odezwał się wysoki, dźwięczny ton.

— To oni? — zapytał Marp.

— Tak.

— No, to w takim razie jesteśmy tuż koło nich...

— Niezupełnie. Oni mają mocną radiostację lokalną, wiesz, ze względu na próby, które przeprowadzają...



— Z nowo konstruowanymi kosmolotami?

— Tak.

— Słyszałem, że ten ich ogromny automat, wiesz, ten, którego nazywają Konstruktor samodzielnie projektuje te wszystkie ich kosmoloty.

— Niezupełnie sam. Założenia przesyłają z Ziemi.

— Tylko założenia. Całą resztę, łącznie z latającym modelem kosmolotu, wykonują sami. A jest ich trzech, tylko trzech...

— No i Konstruktor. To jeden z największych automatów w Układzie Słonecznym. Właściwie on wykonuje całą pracę, a oni są tam, wiesz... no...

— Jak to? Oni nadzorują całą pracę. Soto, ten kosmik, opowiadał mi nawet, że mają z tym Konstrukтором sporo kłopotów...

— Też tak słyszałem — Tor skinął głową.

— Trzy tygodnie temu, gdy się z nim spotkałem, wracał z Instytutu Sieci Podprogowych. Oni w tym Instytucie zajmują się najbardziej skomplikowanymi układami. Chciał się z nimi konsultować częściej, ale ta komunikacja... Że też nie mogli tej bazy zbudować gdzieś bliżej.

— Nie... nie mogli — Tor spojrzał na Marpa i uśmiechnął się — bo widzisz, oni przeprowadzają tam próby tych nowych kosmolotów, a jeśli się próba nie uda, to kończy się to małym wybuchem termojądrowym. Powiedzieli mi przed odlotem, abym uważał przy podchodzeniu do planetoidy...

— Będziemy uważać.

— Nadam im sygnał, że już tutaj jesteśmy. Przypuszczam, że poczekają z próbami do naszego lądowania.

Tor odwrócił się do pulpitu sterującego i nacisnął klawisz wezwania. Widział błysk wskaźnika, który potwierdził emisję energii z anten kosmolotu.

— Tor — Marp przerwał spacer po kabinie i zatrzymał się przed pulpitem kosmogacyjnym — Tor, oni przzerwali nadawanie...

— Nie rozumiem. Jak mogli przerwać...

— Nie ma ich sygnału.

— Ale w takim razie...

— Przede wszystkim nasz automat kosmogacyjny nie odnajdzie ich planetoidy...

— Tragedii nie ma. To jest kosmolot dalekiego zwiadu i mamy odpowiednie przyrządy, by ich odszukać. Niestety, będziesz musiał trochę popracować, Marp.

— Zgoda, Tor. Ale nie wszyscy latają na kosmolotach dalekiego zwiadu, zaopatrzonych w te wszystkie urządzenia..

— Nie wszyscy...

— A gdybyśmy byli w zwykłym kosmolocie, nie znaleźlibyśmy nigdy tej planetoidy, ani za rok, ani za dziesięć, ani za sto lat. Chyba przypadkiem.

— Gdybyśmy byli zwykłym kosmolotem, nie mielibyśmy również paliwa na powrót, minęlibyśmy tę planetoidę i pomknęli w próżnię wzywając pomocy tak długo, ażby nas stamtąd wyciągnęli.

— W tym pustkowiu? Przecież tu nawet automatyczne rakiety—sondy rzadko docierają.

— Na pewno usłyszeliby nas na planetoidzie. Ale jeśli oni by nam nie pomogli, nie nadali swego sygnału lub nie odszukali swoim kosmolotem... no cóż, Marp, wpisano by nas na listę zaginionych w Kosmosie...

Następne dwie godziny pracowali intensywnie, tak jak rzadko tylko pracuje człowiek w epoce automatów. Tor planetoidy był zapisany w pamięci ich automatów, a swoje położenie wyznaczali z

sygnałów z księżyców Jowisza.

Automaty przeliczające sterowały bezpośrednio silnikami i tylko częste zmiany przyspieszenia dowodziły, że jednak poruszają się wśród trwających w wiecznym bezruchu gwiazd.

— Złożę raport i wyleją tego Soto na jakąś peryferyjną marsjańską bazę, gdzie będzie mógł uprawiać sałatę pod w emiterem agrotechnicznym — Marp odwrócił się od pulpitu, na którego ekranach bezskutecznie wypatrywał sygnału bazy. — I całą załogę bazy razem z nim — dodał. — Takich ludzi w ogóle nie powinno wysyłać się w Kosmos.

— Niepotrzebnie się denerwujesz. Nawet wśród automatów zdarzają się wybrakowane egzemplarze, a cóż dopiero wśród ludzi, którzy bądź co bądź nie przechodzą przed urodzeniem kontroli technicznej. Raport oczywiście wyślemy... przerwał nagle —...o, widzisz, jest! Jest planetoida! — Tor wskazywał na ekranie drobny rozbłysk. To powracało echo radaru odbite od powierzchni planetoidy.

— To tak, jakbyśmy byli w domu... — powiedział Marp i usiadł z rozmachem w fotelu.

— Jeszcze te głupie pół miliona kilometrów. Podaj współrzędne automatowi kosmogacyjnemu.

— A oni, dranie, się nie odzywają.

— Nie usłyszeli na pewno naszego sygnału — Tor powiedział to bez przekonania.

— Absurd. Przecież mają całą sforę automatów na nasłuchu. I jeszcze jedno. Zauważyłeś, kiedy ich radiostacja zamilkła... — Marp nachylił się nad Torem i spojrzał mu wprost w twarz — zauważyłeś... Wtedy kiedy myśmy się odezwali... Oni specjalnie ją wyłączyli, a to by znaczyło... — Ależ to niemożliwe, Marp...

— A to by znaczyło, że nie zyczą sobie, byśmy ich odwiedzali, że woleliby nawet śmierć w Kosmosie od naszych odwiedzin.

— To nie może być prawdą.

— Mówię o faktach. Oni nie wiedzieli, jakim kosmolotem nadlatujemy i jaki mamy zapas paliwa...

Planetoida była drobnym okruchem skalnym, w który wtopiona została baza. Szczyt bazy tworzył białą kopułę odcinającą się wyraźnie na brunatnym tle skał.

— Spójrz, Marp — powiedział Tor, gdy byli już blisko widzisz bazę. Cała planetoida to jej obudowa. Trochę skał wydrążonych od środka, a w ich wnętrzu, tam w głębi, pracuje Konstruktor. Skały chronią go przed meteorami i eksplozjami silników nieudanych kosmolotów...

— To tam... widzisz...

— Tam są stocznie kosmiczne, w których budowane są prototypy... Jeżeli to, co oni tam budują, jest kosmolotem, to jest to najdziwniejszy kosmolot, jaki widziałem w życiu.

Marp przyjrzał się dokładnie kosmolotowi i pomyślał, że Tor ma rację.

— Oni nad tym pracują. Widzisz błyski palników automatów — powiedział.

— Jeżeli pracują, to nie będą chyba równocześnie przeprowadzać prób. Lądujemy?

— Ląduj.

Tor ściągnął ku sobie dźwignie sterujące, poczuł charakterystyczną zmianę przyspieszenia i biała plama kosmodromu zaczęła gwałtownie rosnąć w ekranie. Autopilot ominął wierzchołki anten, a potem kosmolot drgnął lekko w zetknięciu z płytą lądowiska.

— Wkładamy skafandry? — zapytał Marp.

— Tak... i może — Tor zawahał się — może na wszelki wypadek weź dezintegrator.

— Więc zgadzasz się ze mną, że tam nie wszystko może być w porządku...

— Nie, ale ostrożność...

— Dobrze, dobrze. Dezintegrator to jest argument uniwersalny, argument dla wszystkich automatów — dodał, gdy spostrzegł, że Tor chce zaprotestować.

— Zamknij dokładnie właz — powiedział Tor i wyszedł pierwszy.

Marp docisnął zawór hełmu i ruszył za nim. Po chwili stali już na białej płycie kosmodromu.

Przeszli do słuz wejściowych bazy odrywając z trudem podeszwy butów skafandra od chwytiliwej powierzchni kosmodromu. Grawitacja na planetoidzie była niewyczuwalna i gdyby nie zabezpieczenia, każdy krok groziłby uleceniem w próżnię.

Przy słuzach wejściowych Tor zatrzymał się na chwilę. Wiedział, że tam musiały zostać wbudowane automaty nasłuchujące wezwań na falach przewidzianych dla nadajników skafandrów.

— Halo, Soto, przylecieliśmy z Ziemi. Słyszeliście nasze wezwanie? — zapytał.

Przez chwilę nie było odpowiedzi, a potem głośnik szczęknął

— Nareszcie jesteście. Wejdźcie. Jestem w laboratorium.

— Czekaliście na nas?

Nie było odpowiedzi.

— Odezwij się, Soto. Pamiętasz mnie? Marp jestem...

— Wejdźcie, jestem w laboratorium — powtórzył głośnik.

— Nie mogę powiedzieć, żeby ten twój Soto był zbyt rozmowny.

— Zdziwaczał tutaj. Zgadzasz się ze mną, Soto?

— Zdziwaczałeś? — powiedział wprost do mikrofonu.

— Jestem w laboratorium — powtórzył głośnik.

Marp wzruszył ramionami.

— Chodźmy — powiedział Tor i wszedł pierwszy. Śluzy zatrzasnęły się za nimi automatycznie, komora napełniła się powietrzem i wreszcie mogli zdjąć hełmy.

— Gdzie może być to laboratorium? — zapytał Tor.

— Znajdziemy.

Ruszyli w dół lekko opadającym korytarzem, którego ściany fosforyzowały niebieskawą poświatą lucytu.

Pod ścianami nie kończącym się rzędem stały awaryjne automaty, gotowe w razie alarmu do wyjścia na zewnątrz, w mroczną próżnię planetoidy. Gotowe na każdy rozkaz Konstruktor. Korytarz łączył się z wielką salą — centralnym pomieszczeniem bazy. Sala ta sprawiała wrażenie fragmentu Ziemi przeniesionego na tę daleką planetoidę. W górze zamiast sklepienia błękitniało fantomatyczne niebo, z którego prawdziwym ciepłem promieniowało fantomatyczne słońce przesłaniane od czasu do czasu fantomatycznymi cumulusami. Tylko rośliny były prawdziwe i prawdziwy był zapach późnego lata.

— Hej, hej... Jest tu kto? — zapytał Marp.

Zza krzaków wyskoczył mały androidalny automat.

— Tak jak poprzednio dalszych sygnałów nie ma — powiedział krótko.

— O czym on mówi, Tor?

Tor wzruszył ramionami.

— Wyjaśnij — poleciał krótko.

— Zgodnie z poleceniem jestem w kontakcie z automatami nasłuchu. Sygnały kosmolotu osłabły poniżej poziomu szumów. Nasłuch przejęły automaty specjalne. Obecnie brak sygnałów.

— Szukali nas odbiorem podszumowym, jakbyśmy byli miliony kilometrów od bazy, a myśmy lecieli wprost na nich. Zabawne, co? — Marp śmiał się, ale widać było, że jest zły.

— Dziwne...

— Dziwne? Absurdalne! Oni się tutaj bawią w kosmonautów, jak mali chłopcy na boisku szkolnym... — Chodźmy do Soto — Tor powiedział to poważnie.

— Chodźmy. Odszukajmy to laboratorium. Myślę, że będziemy mu mieli sporo do powiedzenia. W każdym razie kosmikiem dłużej nie będzie.

— Laboratorium. Gdzie jest laboratorium? — zapytał Tor automatu.

— Laboratorium chemiczne, druga kondygnacja, pierwszy korytarz — automat odpowiedział natychmiast.

— Chemiczne? Soto nie jest chemikiem, Marp?

— Nie. Jest cybernetykiem.

— Wskaż inne laboratoria.

— Innych nie ma.

— Jak to nie ma? — zdziwił się Marp.

— On ma rację. Teraz przypominam sobie. Przed odlotem wspominali mi, że w odróżnieniu od innych baz tu nie prowadzą badań.

— Nawet dla codziennych potrzeb?

— Nie, tu wszystkim kieruje Konstruktor. To laboratorium chemiczne też powstało niedawno. Rozpoczęli badania pyłu kosmicznego...

— Rzeczywiście. Przypominam sobie, że gdy widziałem Soto, wspominał mi, że mają nowego chemika, który wtedy właśnie został w bazie. Podobno zdolny chłopak.

— To będzie już gdzieś tu...

— Tak, tym korytarzem, ale druga kondygnacja.

Przeszli jeszcze kilkanaście kroków.

— Jest laboratorium! — zawołał Marp. Weszli.

— Czujesz ten swąd? — zapytał nagle Tor. — Tak. Swąd pożaru. Ale ledwo się go czuje.

— Doskonała klimatyzacja. Patrz... — stanęli w przejściu do drugiego pomieszczenia.

— Tak, tu gaszono pożar — zgodził się Marp — ta biała skrzepła piana pokrywająca wszystko... Musiało się tu nieźle palić.

— Marp, automat pożarowy jest na miejscu. — Co w tym dziwnego?

— Spójrz. Piana wyschła i kruszy się. Zastygła co najmniej tydzień temu, a automat jest, nikt go nie odesłał. Widzisz, zobaczył nas i odchodzi...

— Nie rozumiem...

— Po ugaszeniu pożaru wolno mu odejść dopiero, gdy przyjdą ludzie.

— To znaczy... ta piana...

— Tak, tu nie było nikogo co najmniej od tygodnia... mimo pożaru nikt tu nie zaszedł...

— A więc kto nas tu wzywał? — Marp rozejrzał się podejrzliwie i zsunął z ramienia dezintegrator.

— Nie wiem. Tu coś się wydarzyło, Marp.

— A oni... gdzie oni są? Musimy ich znaleźć — ruszył ku wyjściu.

— Czekaj. Najpierw pomyślmy. Co spowodowało pożar?

— Nieważne, szukajmy ich!

— Co najmniej od tygodnia tu nie byli, więc kilka minut nie ma znaczenia.

— Ale może oni w tej chwili właśnie...

— Uspokój się. Spójrz, tutaj wszystko jest wypalone. Ten szerniały przyrząd to był kiedyś analizator związków chemicznych.

— To nie może wybuchnąć.

— Wybuchnąć nie może. Masz rację... Może się zapalić...

— Wątpię... Chyba żeby pracował bez przerwy kilkadziesiąt godzin.

— I miał do tego bezpieczniki niezupełnie w porządku. Tak, dziwnie to wygląda — Tor stał bez ruchu pośrodku laboratorium.

— A jednak nas tu wzywał...

— Tak. Jak on mówił?

— Czekaj. „Wreszcie jesteście. Jestem w laboratorium”, tak jakoś...

— Ciekawe. Wygląda na to, że czekano na nas. Tylko to laboratorium... Nie, to nie ma sensu.

— Co nie ma sensu?

— Ten Chemik mógł to, cośmy słyszeli, przekazać automatowi.

— Po co?

— Żebyśmy mu nie przerywali doświadczenia, tylko przyszli do laboratorium. Rozumiesz? Czekał. Nie było sygnałów, chciał zacząć doświadczenie...

— I przekazał to automatowi wejściowemu...

— No właśnie.

— To sprawdzmy zawartość pamięci automatu wejściowego — zapalił się Marp.

— Niestety, Marp. On mógł to przekazać automatowi przed pożarem, co najmniej tydzień temu. A wtedy my sami nawet nie wiedzieliśmy jeszcze, że tu przylecimy.

— Precyzyjnie to wymyśliłeś. Stąd wynika, że słowa te nie były przeznaczone dla nas.

— Więc dla kogo?

— Sprawdźmy najpierw, czy rzeczywiście są tam nagrane — Marp podszedł do mikrofonu. — Automat wejściowy — zażądał.

— Na odbiorze — automat odpowiedział natychmiast.

— Podaj zlecenia zapisane w twojej pamięci.

Głośnik szczyknął:

— Nareszcie jesteście. Wejdźcie. Jestem w laboratorium.

Milczeli chwilę.

— Tak. Mieliśmy rację... — pierwszy odezwał się Tor. — Ale co z tego? Gdzie jest ten chemik? Dla kogo przeznaczone były te słowa? Gdzie Soto i ten drugi inżynier od kosmolotów...

Tor wzruszył ramionami. Patrzył w ekran zewnętrzny, w którym czernią na tle gwiazd odcinał się poszarpany zarys o kilkaset metrów odległego horyzontu planetoidy. Wtem cały horyzont, wszystkie szczyty skał rozblęskły na moment tym oślepiającym, trwającym ułamek sekundy blaskiem, który daje wybuch jądrowy. A potem przez całą bazę od fundamentów przeszło drżenie.

— Eksplozja jądrowa! — krzyknął Marp.

— Ten dziwny statek, który widzieliśmy na zewnątrz, został rozerwany na kawałki.

— Nic dziwnego. Tworząc takiego dziwoląga, można się było tego spodziewać.

— Tak, to był dziwny statek... — Tor zamyślił się. — Marp? Ale nie, to przecież niemożliwe.

— Co?

— Wydawało mi się, że zaczynam rozumieć. Przyszło mi na myśl, że tamten statek, który eksplodował, mógł zostać zbudowany tylko przez nie kontrolowanego Konstruktora... — W każdym razie źle kontrolowanego. Żaden inżynier do tego by nie dopuścił...

— Nie, dobrze powiedziałem, nie kontrolowanego!

— Jak to?

— Przypuszczam, że tu w bazie nie ma nikogo! Nikogo! Rozumiesz? I to nie ma co najmniej od tygodnia. Powiedz, kiedy widziałeś się z Soto?

— Ponad trzy tygodnie temu... — a po chwili dodał: — Sądziś, że oni nie wrócili?

— Tak.

— Że zaginęli w Kosmosie?

— Tak.

— I dlatego nie otrzymywaliśmy na Ziemi sprawozdań... — milczał chwilę.

— Ale dlaczego zaginęli?

— Sam chciałbym to wiedzieć.

— A z chemikiem? Co się stało z chemikiem?

— Spróbuję sprawdzić odczyt w pamięci Konstruktora. Może tam zostało coś zapisane.

— Chcesz tam zejść... do układów pamięci, na samo dno bazy?

— A czy widzisz, Marp, jakiegokolwiek inne wyjście? — Zeszli korytarzem w dół i znowu byli w fantomatycznym ogrodzie. Lecz tym razem chmury przesłoniły niebo i wiatr stał się chłodniejszy.

Nagle usłyszeli za sobą kroki. Odwrócili się obaj, ale to był tylko automat. Mały androidalny automat, ten sam, co poprzednio.

— Czego chcesz? — zapytał Marp.

— Tak jak poprzednio dalszych sygnałów nie ma — powiedział automat.

— Mówiłeś już to — zauważył Tor.

— Otrzymałem polecenie powtarzania. Czy zmieniasz polecenie?

— Nie — odpowiedział Tor, a potem z nagłym zainteresowaniem dodał: — Wyjaśnij!

— Przecież już raz wyjaśniał...

— Nie przerywaj, Marp.

— Zgodnie z poleceniem jestem w kontakcie z automatami nasłuchu. Sygnały kosmolotu osłabły poniżej poziomu szumów. Nasłuch przejęły automaty specjalne. Obecnie brak sygnałów...

— Mówił to już przecież — Marp był zniecierpliwiony.

— Ależ, Marp, nie rozumiesz jeszcze? To on informował chemika o sygnałach rakiety Soto. To, co słyszysz, to ostatni komunikat... Rakietę Soto tak oddaliła się od planetoidy, że jej sygnałów nie można było dalej odbierać. Zauważ, najpierw była bliżej bazy, sygnały były wyraźne, ponad poziomem szumów. Potem zaczęła się oddalać i sygnały cichły.

— Odchodziła w Kosmos...

— Tak.

— Ale dlaczego?

— Sądzę, że znamy przyczynę.

— Brak sygnałów z bazy.

— Przypuszczasz, że gdy nadali wezwanie ze swej rakiety...

— Planetoida umilkła, tak jak umilkła, gdy myśmy ją wezwali.

— Ale Soto miał zwykły kosmolot, w którym nie było już paliwa...

— Myślisz, że nie mógł odszukać planetoidy i kosmolot minął planetoidę w swej drodze ku krańcom Układu Słonecznego...

— Tak. Na pewno. Nadawali wezwania pomocy...

— ...których nikt nie odbierał. Odbierała je planetoida i milczała.

Marp zastanowił się chwilę.

— No a chemik? — zapytał.

— Właśnie, co zrobił chemik? Tego musimy się dowiedzieć powiedział Tor. — I dlaczego zginął?

— dodał po chwili.

— Zginął?

— Tak przypuszczam.

Teraz szli korytarzem w dół, w głąb bary. Minęli wielkie pancerne śluzy odgradzające pomieszczenia mieszkalne od układów Konstruktora i weszli do jego wnętrza. Korytarz stał się wąski i przypominał raczej ścieżkę leśną niż normalny korytarz bazy kosmicznej. Ściany jarzące się błękitem lucytu zniknęły, a ich miejsce zajęły splątane w przedziwną gęstwinę kryształów układów Konstruktora wiązane płataniną przezroczystych, różnokolorowych połączeń. Z kryształów tych wydobywała się słaba, zielonkawa poświata, której natężenie zmieniało się w bezładnym, chaotycznym rytmie. Co kilkanaście metrów odchodziły w bok wąskie ścieżki, którymi człowiek nie zdołałby się przecisnąć.

— To są przejścia dla automatów naprawczych — powiedział Tor.

— Ogromny jest ten Konstruktor. Tysiące metrów korytarzy.

— Tak, on jest potężny — zgodził się Tor — ale z drugiej strony, pomyśl, zawarta jest w nim cała wiedza ludzkości o lotach międzyplanetarnych, cała astronomia, kosmogocja, wiadomości o atmosferach planet.....

— Poza tym on podejmuje decyzje...

— I nie tylko podejmuje decyzje. On się uczy, uczy się od razu, gdy człowiek tylko raz skoryguje jego decyzje. Nigdy nie powtarza swoich błędów...

— Zdolny automat. Nie śmieję się, ale Soto mi mówił, że Konstruktor nie lubi, gdy zmienia się jego decyzje...

— Jak to nie lubi? Nie może się przecież sprzeciwić żadnej decyzji człowieka. Ma wbudowany układ bezwzględного posłuszeństwa.

— Tak, ale Soto mówił, że stara się po prostu nie dopuszczać do sytuacji, w których człowiek zmieniałby jego decyzje. Właśnie dlatego Soto konsultował się z Instytutem Sieci Podprogowych.

— Ciekawe.

— Soto też tak mówił.

Zatrzymali się.

— A tam są zespoły pamięci.

Tor pochylił się nad okrągłym otworem szybu. Wiało stamtąd zimnem i mimo klimatyzacji oddech zmieniał się w parę.

— Nie jest tam za ciepło...

— To płynny hel. Mimo izolacji cieplnej i całej tej klimatyzacji wszystko wyziębia.

— Schodzimy?

— Tak. Wezwiemy tylko automaty.

— Przypuszczasz, że on tam może być?

— Chemik?

— Tak.

— Nie wiem. Może... Gdyby był cybernetykiem, znaleźlibyśmy go tam. To oczywiste, że przyczyną musiała być decyzja Konstruktora. Decyzja ta musiała zostać zapisana w pamięci...

— Ale on był chemikiem.

— Właśnie. Przypuszczam, że nie potrafiłby nawet przejrzeć zawartości pamięci takiego automatu.

Automaty naprawcze nadeszły po chwili, niewielkie, stożkowate, z dziesiątkami specjalizowanych wypustek operacyjnych wysuwających się na żądanie ze stożka. Przepuścili je przodem i schodziły one kolejno w głąb szybu.

Nagle tuż za nimi odezwał się wewnętrzny głośnik Bazy

— Nareszcie jesteście. Wejdźcie. Jestem w laboratorium.

— Co... co to było... — wyszeptał wreszcie Marp — on gdzieś tam jest i nas wzywa...

Tor nie odpowiedział.

— Chodźmy, Tor... on nas wzywał. Słyszałeś przecież. Chodźmy, na co czekasz?

— Przypuszczam — Tor odpowiedział po chwili — że właśnie o to chodzi, byśmy tam wrócili...

— Wzywał nas.

— To nie chemik. Przypuszczam, że to Konstruktor polecił automatowi wejściowemu odtworzyć te słowa i przekazać je do wewnętrznej sieci bazy tak, byśmy je tu usłyszeli...

— Konstruktor? Po co miałby to robić?

— Nauczył się, że po tych słowach idziemy do laboratorium. Odtwarzaliśmy je dwa razy. Raz poszliśmy potem do laboratorium, a za drugim razem znajdowaliśmy się we wnętrzu tego pomieszczenia. Teraz... teraz chce, żebyśmy tam poszli znowu...

— Ale po co?

— Nie chce, abyśmy weszli do zespołów pamięci. Zatrzymać nas nie może. Nic prawie o nas nie wie, tylko to, że po tym haśle idziemy do laboratorium...

— Tak sądzisz...

— Tak. To jest samouczący się automat. Sam mówiłeś, że Soto wspominał, iż Konstruktor stara się nie dopuścić do pewnych sytuacji. Masz. To jest właśnie przykład takiego zachowania...

— I co zrobimy?

— Idziemy... idziemy do jego pamięci. On może robić takie kawały, ale naprawdę zatrzymać nas nie może. W swojej pseudopsychice ma wbudowane układy bezwzględnego posłuszeństwa człowiekowi.

Tor zszedł pierwszy, a za nim Marp. Kilkadziesiąt kroków oszronionym korytarzem i byli w centrum pamięci.

— Człowiek czuje się tu jak w lodówce.

— Jeżeli jest ci zimno, włóż hełm i włącz ogrzewanie skafandra.

— Co, wewnątrz bazy mam chodzić ubrany jak w próżni? Nigdy! Zaczynamy lepiej tę robotę. — Zacznę od przejrzenia ograniczeń narzuconych na budowane kosmoloty. To jest główne zadanie Konstruktora, jego przeznaczenie, i to może być źródłem największych konfliktów automatu.

— Konfliktów?

— Tak. W fundamentach jego pseudopsychiki jest wbudowana dążność do przewyżniania trudności na drodze do zrealizowania nowego kosmolotu.

Mówiąc to Tor równocześnie przy pomocy automatu zdjął płytę pancerną. Za nią błyszcząły tysiące niewielkich kryształków zlepionych w nieforemną bryłę. Do tej bryły elastycznymi mackami przyssał się mały, wyspecjalizowany automat odczytu.

— Tak — powiedział po chwili — można się było tego spodziewać. Największym ograniczeniem dla Konstruktora był inżynier.

— Jaki inżynier...

— Nie znam jego nazwiska. Konstruktor określa go jako „czynnik ludzki”. Pewnie ten inżynier, który leciał wtedy z Soto.

— Dobrze. Ale dlaczego był ograniczeniem?...

— Bo nie zgadzał się na liczne koncepcje Konstruktora. Zapewne część jego sprzeciwów miała racjonalne podstawy, a część wynikała z przyzwyczajenia do konwencjonalnych konstrukcji, konwencjonalnych silników. Koncepcje Konstruktora odnośnie rozwiązań technicznych kosmolotów musiały być bardzo śmiałe...

— Tę ostatnią, wykonaną bez udziału Inżyniera widzieliśmy.



— Właśnie. W niczym nie przypominała kosmolotu. Wszystkie takie koncepcje Inżynier odrzucał, a Konstruktor musiał być mu posłuszny.

— To jest normalne. Z tego jeszcze nic nie wynika...

— Tak, ale Soto i inżynier odwiedzali kilkakrotnie Instytut Sieci Podprogowych. Sam mi o tym wspominałeś.

— Odwiedzali. Ale co to ma do rzeczy?

— Po prostu, w czasie gdy ich nie było na planetoidzie, Konstruktorowi nikt nie przeszkadzał w jego działalności. Nie było inżyniera... Ale nie w tym rzecz. Istota sprawy leży gdzie indziej. Otóż Konstruktor, automat uczący się, zauważył, że każdemu powrotowi inżyniera towarzyszy wcześniejsze wezwanie radiowe, odbierane w bazie. Wezwanie to włączało nadajnik bazy, jeżeli nie pracował. Rozumiesz teraz? Po prostu Konstruktor doszedł do wniosku, że włączenie nadajnika jest konieczne do powrotu inżyniera, który stanowi ograniczenie w swobodzie jego działania...

— I wyłączył nadajnik...

— Tak, wyłączył nadajnik bazy, gdy nadchodziło wezwanie nadane z przybywającego kosmolotu... Nam także wyłączył... Pamiętasz?

— Pamiętam.

— Sposób okazał się skuteczny. Inżynier nie wrócił...

— Więc on potraktował inżyniera jak obiektywną trudność w realizacji projektu... tak jak traktował trudności techniczne, dla których znajdował rozwiązanie.

— Tak.

— I nie przypuszczał, że oni zginą...

— W jego pamięci nie jest zapisane, że odejście kosmolotu w próżnię może narazić człowieka na niebezpieczeństwo. Gdyby to wiedział, nigdy by nie przerwał nadawania. Nie mógłby, bo byłoby to sprzeczne z podstawowymi prawami jego pseudopsychiki...

— A chemik? Co się stało z chemikiem?

— Nie wiem. Myślę, że czekał na Soto i inżyniera... Oni nie przylatywali. Rozpoczął doświadczenia... Przekazał automatowi wejściowemu słowa, które słyszeliśmy, a mały androidalny automat informował go o sygnałach kosmolotu Soto...

— Dobrze, ale co się z nim stało? To jest istotne.

Tor milczał chwilę.

— Przypuszczam, że zrozumiał w końcu, że coś jest nie w porządku, wtedy gdy automat przekazał mu wiadomość o słabnięciu sygnałów. Zostawił doświadczenie i nie wyłączając aparatów pobięgl do centrum odbioru. Tam usłyszał cichnące wezwania pomocy kosmolotu Soto...

— I co dalej?

Tor wzruszył ramionami.

— Nie wiem...

— Ale coś przypuszczasz?

— Przypuszczam, ale to za mało. Przypuszczam, że popełnił błąd, przez który wszyscy zginęli. Myślał widocznie, że rakieta została uszkodzona przez meteor i oni tam giną, a automat kosmogacyjny samoczynnie nadaje wezwania pomocy. Przypuszczenie dobre jak każde inne... Faktem jest, że nie wzywał przez radio kosmolotu Soto. Myślę, że wybiegł na kosmodrom i wystartował awaryjnym kosmolotem kierując się na ich sygnały...

— Rozumiem — Marp mówił cicho, zupełnie cicho myślisz więc, że gdy planetoida zniknęła z ekranów jego radarów, znalazł się w tym samym położeniu co Soto i inżynier...

— Tak, planetoida nie nadawała sygnałów, a bez nich nie można jej było znaleźć, chyba

przypadkiem... A przypadek ten się nie zdarzył — Tor spojrział na automat umocowujący pancerną płytę na swoim miejscu i poszedł ku wyjściu.

— Tor! — zawołał za nim Marp. — Musimy jeszcze przekazać do pamięci Konstruktora informację, że odlot ludzi w Kosmos grozi im śmiercią.

— Nie, Marp. Nie zrobimy tego — Tor zatrzymał się. — Nie zrobimy tego, ponieważ mielibyśmy poważne trudności z opuszczeniem bazy. Konstruktor starałby się temu zapobiec wszystkimi dostępnymi mu sposobami. To jest automat i jednym z jego podstawowych założeń jest ochrona życia człowieka...

# TEN, KTÓRY TRWA NAD GRANICĄ DWUCZASÓW

Od setek lat egzaminy zdaje się w maju. Nie jest to pomysł najszcześniejszy, ale za to uświęcony tradycją. Oczywiście w Akademii Marsjańskiej fakt ten nie ma znaczenia, ale na północnej półkuli ziemskiej należałoby to zreformować. Akademia Kosmonautyczna, w murach której — cytując Cyfraka — „staję się kosmonautą”, leży w centrum Europy i w związku z tym wkuwam wtedy, gdy kwitną kasztany i pierwsze poduchy ciepłego, letniego już wiatru kładą trzciny u brzegów jeziora, a specjaliści od pogody organizują ciepłe księżycowe noce.

Mieszkam w wieżowcu tuż za starą akademią i widzę zawsze jej ciężkie, szare mury przygniecione grawitacją, której nie mogli pokonać starożytni budowniczości. Jest tam teraz muzeum robotów i w nisko sklepionych salach stoją rzędy automatów, które kiedyś czemuś służyły. Zachodziłem tam dawniej i lubię tę ciszę, półmrok przeszklonych prostokątów, zwanych oknami, i ledwo wyczuwalny zapach tworzyw, z których budowano kiedyś automaty — zapach przeszłości. Byłem tam niedawno, kilka dni temu, z Taffem, Lili i Wortem. Spotkałem się z nimi przed salą egzaminacyjną. Szukałem Worty. Przyszedłem właśnie, gdy automat swym schrypniętym głosem wzywał Taffa na egzamin. Na chwilę gwar ucichł i wtedy usłyszałem głos Worty:

— Sat, gdzie lecisz, protonie, tu jesteśmy. Stał z Lili pod kolumną informatora.

— Sat, chodź na chwilę i powiedz, jak było.

Lili złapała mnie za rękaw, aż tworzywo silnie ściśnięte błysnęło czerwono. Uświadomiłem sobie wtedy, że wczoraj zdawałem egzamin, a oni nic jeszcze nie wiedzą.

— W ogóle nie było — powiedziałem. — Załatwili mnie odmownie...

— Jak to?

— Zwyczajnie. Pytali mnie o starożytne hipotezy dotyczące Czerwonego Kontynentu Jowisza. Hipoteza jakiegoś Wildta czy jak mu tam... Nigdy nie byłem w stanie zapamiętać wszystkich tych wyrafinowanych przypuszczeń naukowych szanownych pradziadków.

— No i co? — Lili nie puściła mego rękawa.

— A co ma być? „Niech się pan tego nauczy, drogi kolego” — powiedział Cyfrak tym swoim głosem zdezelowanego automatu i otworzył pole wyjściowe.

— Cyfrak ma zawsze takie zagrania — stwierdził autorytatywnie Wort. — „Proszę kolegi”, „... dziękuję, kolego...”, a piła, jakich mało. Nie przejmuj się, Sat...

— Zawsze trochę głupio.

— Co on się ma przejmować — Lili wzruszyła ramionami — może jeszcze raz zdawać u Cyfraka. Mnie już została tylko półautomatyczna komisja.

— Nie martw się. Taff mówi, że nie masz to jak automaty starałem się ją pocieszyć.

— Taff to nie ja. Taff ma podejście do automatów. Podobno studiował kiedyś psychologię automatów homoidalnych.

— Buja — stwierdził Wort — wylali go z tamtego wydziału i trafił do nas.

— Ale zna się na tym. W Muzeum Robotyki Starożytnej zna większość automatów...

— ...a z niektórymi jestem nawet na ty.

— To był Taff. Podszedł do mnie i klepnął mnie po ramieniu.

— Co, Taff, już zdałeś?

— Mhm. Cyfrak pytał mnie o roboty warujące i pojękliwe. Ponieważ znam osobiście kilka takich, więc sami rozumiecie...

— Jak to? Zamiast z zagadnień układu Jowisza, zdawałeś z robotyki? — Lili patrzyła nań z niedowierzaniem.

— Wręcz przeciwnie. Zapytał mnie, kto uratował osiedle Sagan, gdy bitoptery rozpuściły klape odzwierną. Wiesz, ten wypadek na księżycu Jowisza, Europie, siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat temu...

— Nie znasz nawet dokładnie daty i zdałeś?

— Jakoś nie rozmawialiśmy na temat dat. Opowiedziałem natomiast Cyfrakowi, jak robot warujący wyczuł bitoptery i bohatercko narażając się na rozpuszczenie zastymulował pojękliwe. Pojękliwe zaczęły od częstotliwości akustycznych, ale potem przeszły na ultradźwięki i gdy kosmonauci nadbiegli, nie było już bitopterów...

— Naprawdę nie było? — zapytał rzeczowo Wort.

— Tak naprawdę to nie wiem, ale Cyfrak też nie wiedział, więc pokiwał głową w prawidłowy sposób i zdałem.

— Ty to masz szczęście.

— To nie jest szczęście, tylko wszechstronna znajomość przedmiotu i znajomości wśród robotów z Muzeum Starożytnego.

— Ale co z tego? — zapytałem, bowiem nie spostrzegłem jakoś związku między muzeum a egzaminem.

— Bardzo wiele. Jest tam taki stary automat do opowiadania bajek. Opowiadał mi kiedyś podobną historię o ziemskim mieście Rzymie i automatach pojękliwych o jakiejś takiej dziwnej nazwie.

Wort myślał przez chwilę, a potem powiedział:

— Myślałem, że mówisz poważnie. Osiedle Sagan uratował warujący, pojękliwych tam w ogóle nie było...

— Ale mogły być — Taff nie spieszył się nawet. — Zresztą, czy warto sprzeczać się o detale?

— Wiesz, Taff, może ja bym się wybrała do tego twojego muzeum — zaproponowała nagle Lili.

— Po co? Przecież szczególnie ty, jako współczesny neuronik, nie lubisz się zadawać ze starymi automatami.

— To fakt, zawsze pachną nadpaloną izolacją. Ale może by mi to coś pomogło...

Popatrzyłem na Lili zdziwiony, bo nigdy nie podejrzewałem jej o takie pomysły.

— W czym? — Taff był też zdziwiony.

— Ty jeszcze nie wiesz, zdaję półautomatyczny komisyjny. Jak obleję, to w ogóle nie mam czego szukać w akademii. — Taff zastanowił się chwilę.

— Rzeczywiście, przykra sprawa. Tylko nie wiem, czy te roboty zechcą z tobą rozmawiać.

— Dlaczego?

— Nie lubią dziewcząt.

— Z jakiego to powodu?

— Bez powodu. Po prostu nie są do nich przyzwyczajone. W dawnych czasach roboty były budowane i wychowywane prawie zawsze przez mężczyzn.

— A kobiety?

— Miały tyle innych zajęć. W każdym razie robotami nie interesowały się nadmiernie.

— Bzdurzysz — Wort przerwał Taffowi. — Mamy przecież przykłady w historii...

— A mamy — zgodził się Taff. — Ale roboty nie są przekonane.

— No to nie pójde do tego muzeum — Lili wzruszyła ramionami. — Co by mi zresztą te stare pudła mogły pomóc?

— Masz rację, Lili. My, normalni ludzie, nie mamy tam nic do roboty przy tych tranzystorowych trupach. Co innego taki ich beniaminek jak Taff — powiedział Wort i spojrzął na Taffa.

— Zresztą wszystko mi jedno. Zdaję jutro w południe. I tak niewiele się nauczę. Jak nie zdam,

odprowadzicie mnie na kosmodrom i polecę na ziemską zieloną trawkę...

— Więcej optymizmu, Lili — było mi jej żal.

— Mam minimalne szanse. Wiecie o tym tak samo dobrze jak ja, więc co mnie pocieszacie.

Wyleją mnie i koniec. Nie martwcie się, nie będę beczeć przed tymi automatami i Cyfrakiem...

— Cyfrakowi też już niewiele zostało z człowieka, ale nie o to idzie. Nie możesz, Lili, się poddawać. Tak nie wolno. W ten sposób na pewno oblejesz swój egzamin — powiedziałem to z całym przekonaniem, na jakie mnie było stać.

Nagle odezwał się Taff:

— Słuchajcie, mam myśl.

— Uwaga, przyjaciel tranzystorowej trumny wpadł na pomysł. Nieczęsta to rzecz w dzisiejszych czasach — Wort nie był entuzjastą pomysłów Tafia.

— Przestań się wygłupiać, mówię poważnie.

— Co za pomysł? — zapytałem.

— Zastrzegam sobie tylko, że wygłupiać się możecie dopiero, jak skończę. W porządku?

— Ależ my jesteśmy poważni, prawie jak dostojne automaty — nie wytrzymał Wort.

— No, mów.

— Więc umowa przyjęta?

— Przyjęta, mów.

— Otóż trzysta lat temu — zaczął Taff — w osiedlu Ata na Marsie żył stary cybernetyk...

— Z długą białą brodą — dodał Wort.

— Nie, brody nie miał, a ty nie będziesz miał wszystkich zębów, jak się nie uspokoisz.

— Panowie, tylko bez rękoczynów. Od tego są automaty.

— Otóż pod koniec życia — ciągnął Taff — cybernetyk ten skreślony został z listy członków Słonecznego Towarzystwa Cybernetycznego i mimo że był znanym w swoich czasach cybernetykiem, wydano polecenie, by imię jego wymazały ze swej pamięci wszystkie automaty, mnemotrony i inne akumulatory informacji. Tak się też stało...

— To skąd ty o tym wiesz? — zapytałem.

— Czekać, dojdę i do tego.

— Dajcie mu mówić — Lili przerwała Wortowi, który chciał już coś dodać.

— Kara ta spotkała go za to, że nie uszanował powagi Towarzystwa, że znieważył wszystkich jego członków i wiedzę swą spożytkował dla stworzenia automatu niegodnego tego miana, automatu bałamutnego i kłamliwego. Automat ten niegodny ów starzec miał czelność przedstawić Towarzystwu i dopuścić do tego, że sam przewodniczący zadawał w dobrej wierze pytania temu automatowi — kłamcy.

— No i powiedz wreszcie, co to był za automat? — nie wytrzymałem.

— Starzec ten, dla którego automat stanowił dzieło jego życia, opuścił wtedy osiedle Ata i zamieszkał w Dwunastej Bazie nad Zatoką Uśmiechu. Kilka lat jeszcze przeżył w małej kabinie na peryferiach bazy, umieszczonej tam, gdzie zużyte zespoły automatów wyrzucano na usypisko. Potem umarł. Mówiono o nim, że z cybernetycznego szmelcu konstruował przedziwne automaty, z którymi wiódł dyskusje, lecz po jego śmierci nie znaleziono żadnego.

— Pewnie gadał sam do siebie — stwierdził krótko Wort. — Być może. Faktem jest jednak, że w tydzień po jego śmierci do centrum zdeinformowanych automatów zgłosił się przedziwny robot. Wtedy nie skojarzono tego ze śmiercią starca. Zresztą tyle robotów, nie mogących znaleźć swego miejsca w świecie, zgłasza się ciągle do centrum. Ten jednak robot miał wymazaną pamięć i nie powiedział, do czego służy. Przegląd techniczny zrobił mu sam naczelny cybernetyk centrum, ale

także do niczego nie doszedł.

— Jak może cybernetyk nie wiedzieć, do czego służy robot? — Wort był sceptycznie nastawiony do całej historii.

— To jest proste, gdy robot służy do pieczenia ciastek lub odtwarzania piosenek, lecz ten robot był zupełnie inny. Chciano go nawet oddać na złom, ale ze względu na swą niecodzienną konstrukcję trafił do muzeum.

— I jest pewnie twoim znajomym? — Wort nie dawał za wygraną.

— A żebyś wiedział. Jak się domyślacie, jest to automat starca. Przez ponad dwieście lat nie chciał się ujawnić, ale kilkadziesiąt lat temu po raz pierwszy wyznał prawdę.

— No i co? — Lili była zaciekawiona.

— A nic. Gadaniem starych robotów nikt się przecież nie przejmuje.

— Ale do czego on służy?

— Powiem wam, ale zachowajcie powagę. On służy do przepowiadania przyszłości.

— Pyszny kawał! — ryknął Wort i zaczął się śmiać tak głośno, że najbliższe grupy studentów umilkły.

— Bzdura, ty naprawdę w to wierzysz? — starałem się zachować powagę.

— Nie taka bzdura, jak wam się wydaje — Taff był urażony. — Przepowiedział mi trafnie kilka różnych rzeczy...

— Co na przykład? — zapytała Lili.

— No, choćby to, że dzisiaj zdam egzamin. Nic się przecież nie nauczyłem.

— To może być przypadek — zauważyłem.

— Przepowiedział mi, że zabłądzę w próżni...

— Naprawdę? Słyszałem o twojej przygodzie...

— W każdym razie ja mu wierzę.

— A innym ludziom też coś przepowiedział? — Wort przestał się wreszcie śmiać.

— Oczywiście. Przepowiedział Kobarowi klęskę jego twierdzeń o koncentracjach zwojów sterujących.

— Komu? Kobarowi? Temu cybernetykowi sprzed trzystu lat?

— Temu samemu, Kobar był wtedy przewodniczącym Słonecznego Towarzystwa Cybernetycznego. Przepowiednię swą automat wygłosił publicznie. Rozumiecie teraz, dlaczego starzec i jego automat zostali wyklęci. Wtedy jeszcze twierdzenia Kobara stanowiły podstawę teoretyczną dla cybernetyków konstruktorów i nic nie zapowiadało ich upadku.

— A imię tego starca?

Nie przekazał ci tego ten automat? chciałem usłyszeć wreszcie coś konkretnego.

— Nie. Starzec posłuszny decyzji najwyższego zgromadzenia cybernetyków wytarł swoje imię z pamięci swego automatu.

— Więc nikt nie zna jego imienia? — zdziwiła się Lili.

— Nikt.

— Nieprawdopodobne. Przecież ten bezimienny starzec to jeden z największych cybernetyków wszystkich czasów.

— O ile to wszystko jest prawdą — Wort nie był przekonany.

— Zawsze możemy się przekonać — powiedziałem i spojrzałem wyczekująco na Tafia.

— Jeżeli będzie chciał z wami rozmawiać. On jest mocno zdziwaczały. Zanim do mnie przemówił, przez trzy dni z rzędu polewałem go dziesięcioprocentowym roztworem soli kuchennej. Jego sąsiad z muzeum, nadstratosfer gończy, zdradził mi, że on to bardzo lubi...

— A jak się nazywa ten twój dziwny automat? — próbowała dowiedzieć się Lili.

— W tym sęk, że on się w ogóle nie nazywa, przynajmniej w naszym pojęciu.

— Ale jakoś się do niego mówi? — Lili nie ustępowała.

— Tak. Należy zwracać się do niego: „O ty, który trwasz nad granicą dwu czasów”.

— Trochę długie.

— Długie, ale inaczej w ogóle nie reaguje. Traktuję to jak nieszkodliwe dziwactwo.

— Dlaczego nad granicą dwu czasów? — zainteresowałem się tym dziwacznym określeniem.

— Na styku przeszłości i przyszłości — wyjaśnił Taff — On to tłumaczy dużo bardziej zawile, ale

taki mniej więcej jest sens.

— Co ta nazwa ma wspólnego z przepowiadaniem przyszłości?

— Bardzo wiele. Nie powiedziałem wam najważniejszego, jak on to robi.

— Chyba nie wróży z ręki, co, Taff?

— Oczywiście — Taff nie spojrział nawet na Wortę. — Poza tym on nie wróży, tylko przepowiada, a to jest różnica.

— No, więc jak on to robi?

— Przenosi się w przyszłość, rozumiecie? To przepowiadanie nie ma w sobie nic z magii. Przeciwnie, jest oparte na naukowych podstawach. Automat przenosi się w przyszłość, tam się dowiadyje, jak i co, potem wraca w przeszłość i przepowiada. Gdy zechce wygłosić przepowiednię w sprawie twego egzaminu, przeniesie się w przyszłość, sprawdzi, czy zdałaś, i wiadomość tę nam przekaże...

— Więc on się nigdy nie myli? — Lili się zamyśliła.

— Nigdy! Tylko nie zawsze chce przepowiadać.

— A w mojej sprawie, myślisz...

— Nie wiem. Zrobię, co będę mógł. Proponuję, spotkajmy się o czwartej przed muzeum.

— Wcześniej nie można?

— Nie. Muszę zjeść obiad. Rozmowa z nim wymaga kosmicznej cierpliwości.

Lili chciała jeszcze o coś zapytać, ale Taffa już nie było. Powiedział „cześć” i zaczął się przepychać ku wyjściu.

— I co o tym myślicie? — zapytała Lili.

— Zobaczymy — odpowiedziałem.

— Bzdura — stwierdził autorytatywnie Wort.

— To nie przychodzisz po południu?

— Przyjdę... czego się nie robi dla kolegów.

Czekaliśmy na Taffa przed głównym wejściem, na starożytnych kamiennych schodach. Pogoda była słoneczna i szare kamienie balustrady grzały dłonie przy dotknięciu.

— Nie przyjdzie... Nabzdurzył, a teraz nie przyjdzie stwierdził Wort, gdy czwarta minęła.

Wtedy właśnie usłyszałem pogwizdywanie Taffa. Szedł wolno aleją wśród starych drzew. Doszedł do schodów i przeskakując po dwa stopnie wspiał się do nas.

— Chodźmy — powiedział krótko i przez stare, drewniane drzwi weszliśmy do budynku.

Szliśmy długim korytarzem, poznaczonym plamami słońca świecącego przez otwory zwane oknami.

— To tu — Taff zatrzymał się wreszcie przed jedną z sal. Wewnątrz było ciemno, lecz rozróżniłem zarysy automatów stojących pod ścianami.

— To już ta sala? — szeptem zapytała Lili.

— Tak, ale nie pchajcie się — Taff odpowiedział półgłosem.

— Ale trupy! Że też ludzkość coś takiego — produkowała Wort przyglądał się uważnie automatom.

— Ciszej. Wbrew pozorom one mają świetny słuch.

Nagle coś trzasnęło i usłyszałem dziwny dźwięk

— Pum Pum Pum.

— Co to? — Lili zatrzymała się w pół kroku.

— To nadstratosfer gończy. Nudzi się i symuluje polowanie na meteory — wyjaśnił Taff.

— On tak stale? — zapytałem.

— Nie, tylko czasami. Dysponuje szerokim zakresem częstotliwości akustycznych i wydaje różne dźwięki. Najchętniej naśladowuje krowy.

— Krowy?

— No, takie zwierzęta z dawnych epok. Powinieneś kiedyś pójść do ZOO i je zobaczyć.

— Ale dlaczego właśnie krowy? — zainteresowała się Lili.

— Tym automatom wszelkie białkowe stworzenia ogromnie imponują.

— Czy ludzie też?

— Przede wszystkim, ale przyznawanie się do tego jest według nich w złym stylu.

— To co, temu przepowiadaczowi przyszłości też imponujemy? Świetnie! — ucieszył się Wort.

— Ciszej. On tam stoi.

— Co, to nadrdzewiałe pudło? — Wort patrzył na automat z dezaprobatą.

— To patyna czasu, która korzystnie odróżnia szlachetne automaty z minionych epok od współczesnych, oprawionych w tandetne i tanie pancerze — Taff mówił to głośno, bardzo głośno.

— Za to te pancerze są niezniszczalne, a to rozsypie się za następne sto lat — uzupełnił Wort.

— Jeszcze coś w tym stylu i będziemy mogli spokojnie stąd wyjść — Taff powiedział to twardo.

— One są bardzo wrażliwe na tego rodzaju uwagi.

Niespodziewanie zawył nadstratosfer gończy.

— Taff, daj mu rozkaz, żeby się uspokoił albo żeby się wyłączył — zażądał Wort.

— Widać, żeś się wychował w naszym wieku. Zupełnie nie interesuje cię psychologia robota...

— Wykład z psychologii tych przemiłych układów zrobisz nam następnym razem. Nie po to przyszliśmy tu.

— Pomówmy nareszcie z tym, co trwa — zaproponowała Lili i podeszła do automatu.

— Nie podchodź za blisko — ostrzegł ją Taff. — Z nim rozmawia się z odległości co najmniej pięciu metrów.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Inaczej nie odpowiada.

— No, już stoimy dokładnie tak, jak szanowny robot sobie życzy — zauważyłem — zaczynamy wreszcie.

— To, Taff, zaczynaj — poparła mnie Lili.

Taff nabrał powietrza w płuca i rozpoczął z emfazą

— O ty, co trwasz nad granicą dwu czasów, przyszliśmy do ciebie...

Robot nie odpowiadał. Chwilę staliśmy w milczeniu.

— No i co? — zapytała wreszcie Lili.

— Powtórz jeszcze raz — poradziłem.

— O ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, przemów do nas! — zawołał Taff.

— Odezwij się wreszcie — Wort mówił normalnie i być może to właśnie poskutkowało.

W automacie coś szcęknęło i po chwili usłyszeliśmy głos, niski, metaliczny nieco głos:



— Co chcecie wiedzieć? Czy to, że nadejdzie epoka lodowa, czy to, kiedy Słońce zmieni się w supernową, czy też to, kiedy kosmoloty osiągną układ Syriusza? A może chcecie znać największy dzień waszego życia, dzień sukcesu lub klęski? Ten dzień, który zadecyduje o reszcie dni waszych...

— Nie... ja... chciałabym tylko wiedzieć, czy jutro zdam egzamin — odpowiedziała mu nieśmiało Lili.

— Egzamin życiowy, czy zachowasz się na nim tak, jak i z definicji zachowuje się człowiek... — automat urwał.

— Nie... egzamin z zagadnień układu Jowisza... zdaję przed półautomatyczną.

Tym razem nie było odpowiedzi. Taff kręcił się niespokojnie, aż wreszcie odezwał się:

— Daruj, że niepokoiimy cię, o ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, sprawą tak błahą, ale ona jest jedynie pozornie błaha. Naprawdę jest bardzo istotna, tylko ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, nigdy nie byłeś studentem i nie wiesz tego...

Automat nie przerywał milczenia.

— ...to znaczy, źle powiedziałem, że nie wiesz, tylko po prostu tobie, o ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, trudno na to spojrzeć z punktu widzenia studenta... Bo widzisz... — jękał się Taff.

I nagle automat przemówił:

— Nie rozumiem. Nie rozumiem, co znaczy półautomatyczna?

— Komisja egzaminacyjna, w skład której wchodzi ludzie i automaty — Lili odpowiedziała natychmiast.

— Nie rozumiem, co tam robią ludzie, skoro tam są automaty, ale to pewnie jeszcze jedno dziwactwo współczesności. W moich czasach byłoby to nie do pomyślenia.

— A więc, o ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, czy możesz nam już powiedzieć to, o co cię prosimy? — Taff postąpił krok naprzód, ale cofnął się natychmiast.

— Spełnię wasze życzenie — automat powiedział to głośniejszym głosem, a może nam się tylko zdawało. Potem zaszumił i... znikł.

— Gdzie on jest? — Wort zawołał pierwszy.

— Zniknął. Co się z nim stało? — Lili postąpiła krok naprzód, ale Taff schwycił ją za rękę.

— Przeniósł się w przyszłość. Uważaj, teraz nie można tam wchodzić.

— Jak to się przeniósł? — zapytałem.

— To jest zasada jego działania, przenosi się w przyszłość i sprawdza. Mówiłem wam o tym — Taff powiedział to tak, jakby opisywał zasadę działania rakiety.

— A kiedy wróci? — niecierpliwiła się Lili.

— Za chwilę. Wysłaliśmy go do dnia jutrzejszego. Pokonanie stu lat zajmuje mu już trochę czasu...

— I pomyślcie, że już trzysta lat temu... — Wort chciał coś powiedzieć, ale głos jego zagłuszył szum. Automat stał na swoim miejscu.

— Wrócił! — krzyknęła Lili. — Wrócił!

— Rzeczywiście, jest już z powrotem — potwierdził Taff, a potem zwrócił się do automatu:

— O ty, który trwasz nad granicą dwu czasów, czy możesz nam już odpowiedzieć na nasze pytanie...

Automat milczał.

— Dlaczego on nic nie mówi?! Na pewno oblałam.

— Może się uszkodził — podsunąłem.

— O ty, który... — zaczął Taff od początku, ale automat przerwał mu:

— Młodzieży, chwileczkę, dajcie się zregenerować staremu automatowi...

— No, ale co z Lili? — zapytałem.

— Zda, jeżeli w dniu jutrzejszym nie będzie dotykać dłonią... metali kolorowych.

Automat powiedział to cichym, jakby zmęczonym głosem.

— Co to ma znaczyć? — Lili popatrzyła na nas zdziwiona.

— Przepowiednia jak każda inna — Taff wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem. Co to ma znaczyć? Wyłumacz mi, automacie! — krzyczała Lili.

— No, koniec — zawyrokował Taff.

— Czego koniec? — Lili jeszcze nie rozumiała.

— Koniec dzisiejszej rozmowy. Nazwałaś go automatem, teraz już się nie odezwie.

— Ale on musi mi wyjaśnić...

— Nic ci już nie wyjaśni. Ostrzegałem was. Teraz przepadło. Dziękujemy ci, o ty, który trwasz nad granicą dwu czasów... — Taff zwrócił się wprost do automatu.

— Mamy stąd spływać? — zapytywał domyślnie Wort.

— Właśnie.

— No to cześć, stare pudło — powiedział Wort i wyszliśmy z sali.

Następnego dnia tłok przed salą egzaminacyjną był jeszcze większy. Rozpoczęły się egzaminy przed komisją półautomatyczną.

Spóźniłem się trochę i gdy przepychałem się w tłumie, usłyszałem, jak automat wywołuje Lili:

— Uwaga, Tom Lili proszona jest na półautomatyczną egzaminacyjną.

Spostrzegłem Wortę i Taffa. Stali z boku.

— Trzymam za nią kciuki — powiedział Wort.

— Myślisz, że zda? — zapytałem. Nie byłem o tym przekonany.

— Nie wiem — odpowiedział niepewnie Wort. — Neuronik z niej niezły, ale mnemotronem doskonałym z zagadnień układu Jowisza to ona nie jest.

— Automat powiedział, że zda — zauważyłem.

— Wierzysz w to? — zaśmiał się Wort.

— Sam nie wiem. Niby widzieliśmy, jak przeniósł się w przyszłość.

— Widzieliśmy, jak zniknął — powiedział Wort.

— Ci starożytni wiele potrafili w tych czasach, kiedy jeszcze istnieli genialni rzemieślnicy nauki...

— No, skończcie już wymianę zdań na temat możliwości — przerwał Taff — Ze swej strony chciałbym jeszcze dodać, że były większe, niż dzisiaj na ogół przypuszczamy...

— Zobaczymy, Taff, czy Lili zda — Wort powiedział to poważnie. — W przeciwnym wypadku gotów jestem oddać szanowny automat do składnicy cybernetycznego złomu.

— Jeżeli w ogóle go tam przyjmą. Takie truposze wyrzuca się po prostu na śmietnik.

— Zda, jeśli nie dotykała dłonią metali kolorowych. Tak on powiedział?

— Mogę cię zapewnić, Taff że nie dotykała. Od rana nosi dzisiaj rękawiczki.

— Myślisz, że jej to pomoże? — Taff zaśmiał się. — Automat mówił o dłoni, nie precyzował natomiast, czy w rękawiczkach, czy bez.

— Przecież bez rękawiczki wcześniej czy później musiałyby czegoś dotknąć...

— Powinna była uważać... — Taff chciał jeszcze coś dodać, ale przerwała mu Lili. Śmiała się radośnie jak dziecko, które pierwszy raz leci wiroplanem.

— Zdałam! Zdałam! Słyszycie?

— Błyskawicznie.

— Gratuluję.

— Cyfrak był za silny, automaty gadały między sobą, a potem, zanim coś zdążył powiedzieć i

jednogłośnie pozytywnie oceniły moją wypowiedź.

— Więc jednak ten, który trwa, mówił prawdę — stwierdził Taff.

— Tak. Zresztą wybrałam się dzisiaj przed południem do niego raz jeszcze — Lili zaśmiała się głośno.

— I cóż ci truposz powiedział? — zapytał Wort.

— Chciał z tobą w ogóle rozmawiać? — Taff spojrział na nią podejrzliwie.

— Ależ oczywiście. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Lili, ty nie żartujesz? — Taff był chyba lekko zaniepokojony.

— Jak bym mogła. Kochane tranzystorowe truchło tyle mi pomogło. Jak bym mogła kpić z drogiego przyjaciela... — Taff stanął tuż przed nią.

— Nie zgrywaj się, Lili, co on ci powiedział?

— Rozmawialiśmy na różne tematy.

— No i co?

— Nic. A, zapomniałam. Kazał cię pozdrowić. Rozpływał się nad tobą i twierdził, że takich grzecznych chłopców, jak ty, w dzisiejszych czasach w ogóle się nie spotyka. Mówił coś jeszcze, ale nadstratosfer okropnie go zakłócał...

— Jak... jak mam to wszystko rozumieć? — Taff poczerwieniał.

— Sam go najlepiej zapytaj. Idę mu podziękować za wspianą, opartą na naukowych przesłankach, przepowiednię. Może pójdziecie ze mną?

— Zgoda. Chodźmy — zaproponowałam. Nadstratosfera gończego słyszeliśmy już z daleka.

— Nie zwracajcie na niego uwagi — powiedziała Lili tonem starego bywalca.

— Gdzie... gdzie jest automat? — zapytał Taff i wtedy ja także spostrzegłam, że automatu nie ma. Na posadzce ciemniejszą plamą szarzało miejsce, gdzie stał.

— Jak ty o nim mówisz? — obruszyła się Lili. — Dobrze, że go nie ma.

— Ale gdzie on jest? — Taff był natarczywy.

— Zaczynam rozumieć. On jeszcze nie wrócił...

— Skąd nie wrócił? — Taff zrobił krok w kierunku plamy na posadzce.

— Nie wchodź tam! — krzyknęła Lili.

— Nie żartuj. Gdzie go ukryłaś.

— Zapytałam go, kiedy będzie koniec świata i przeniósł się w przyszłość, żeby odpowiedzieć mi na to pytanie.

— W ten sposób on nigdy nie wróci — zauważyłam.

— Słusznie.

— Nie żartuj, Lili. Gdzie go ukryłaś? To mój ulubiony automat — Taff mówił teraz spokojnie.

— Słyszałeś, powiedziała ci przecież — Wort patrzył na Taffa.

— Ona sobie kpi, rozumiecie?

— Nic nie rozumiem — powiedziałem i było to zgodne z prawdą.

— Ja też — zgodził się Wort.

— Ten automat to po prostu zabawka — wyjaśnił Taff.

— To znaczy, że on nie przepowiada przyszłości?

— Nie.

— I nie przenosi się w czasie?

— Nie, nie przenosi się...

— Więc zwyczajnie nas nabrałeś — Wort powiedział to twardo.

— Nabrałem. Chciałem poprawić Lili samopoczucie.

— No dobrze, ale jak on znika? — zapytałem.

— Wytwarza wokół siebie pole, przez które nie przenikają promienie światła. To cała jego tajemnica. To jest starożytny automat rozrywkowy.

— A historia z zapomnianym cybernetykiem? — nie dawałem za wygraną.

— Reklamowa bajka. Ale opowiada ją sam automat. Ja jej nie wymyśliłem. Lili, coś ty z nim zrobiła? Lili wzruszyła ramionami.

— Rozłożyłam go na części pierwsze. Jestem neuronikiem i chciałam się przekonać, jak zbudowany jest ten automat...

— Nie protestował? — zdziwiłem się; bo pamiętałem wrzaski demontowanych automatów.

— I jak jeszcze. Przepowiadał mi rychłą i gwałtowną śmierć.

— I nie bałaś się? — spojrzałem na Lili uważnie.

— Trochę się bałam — przyznała — ale skoro raz postanowiłam to zrobić... Jestem neuronikiem i działałam w imieniu nauki.

— Ja bym mimo wszystko tego nie zrobił — powiedział Wort.

— Ja może też, ale zwróciłam się do kustosza tego muzeum...

— No i co? — tym razem Taff był także zainteresowany. — Dał mi zezwolenie na demontaż tego grata. A potem mnie o coś zapytał. Wiesz o co, Taff?

— Nie, i mnie to nie interesuje. Zepsułaś najlepszy automat...

— Zapytał mnie, czy jestem nową dziewczyną Taffa. Podobno zawsze przychodzi z nimi tutaj, do automatu, który przepowiada przyszłość. Ta przyszłość, o której opowiadał automat, była programowana przez Taffa, ale biedactwa nie wiedziały o tym.

— Jednym słowem, podrywanie na automat, co, Taff?

Wort zaśmiał się głośno.

— I że musiałaś go zniszczyć. A mówił mi mój automat, żebym unikał kobiet neuroników...

# JEGOPIERWSZA TWARZ

Automaty zawiodły. Gdy przestał trwać przebudzony ze snu, który trwał dziesiątki lat, kosmolot spadał już w polu grawitacyjnym gwiazdy Regulus i nic nie mogło powstrzymać tego upadku. Tor kosmolotu, stanowiący wycinek paraboli, trafiał w gwiazdę.

Katapultował się w małej raketce, która zazwyczaj służyła eksploracji nieznanych planet, ale tym razem miała to być eksploracja ostateczna, z której się nie powraca.

Schodził do lądowania na nieznannej planecie, nie oznaczonej na żadnych mapach Kosmosu. Patrzył, jak rosła i pęczniała w czołowym ekranie rakiety, aż wypełniła go brudnobrązową, jednostajną płaszczyzną, z ostro zarysowaną linią terminatora, oddzielającą dzienną półkulę od nocnej. Podchodził ku planecie od strony cienia i potężna biała kula Regulusa z wytryskami protuberancji z wolna znikła poza globem przeświecając czerwono przez jego atmosferę. Potem czerwona poświata zbladła i wszedł w stożek cienia.

Wiedział, że wylądował, dokona rutynowych pomiarów ciśnienia, składu atmosfery, promieniotwórczości skorupy; tych wszystkich danych, które, jeśli kiedykolwiek go odnajdą, wejdą do katalogów gwiazdnych anonimowo, jako jedne z wielu. Dane te przekaże do nieścieralnych pamięci mnemotronów, włączy na stałe sygnał wywoławczy, który co dziesięć sekund będzie emitowany z anten jego rakiety przez wieki całe, wieczność prawie, aż rozsypią się automaty nadawcze, bo energii stosu nie zabraknie. Potem umrze. Myślał o tym jak o jednej z wielu konsekwencji tego lotu, konsekwencji tego, że był kosmonautą.

I wtedy właśnie, wśród trzasków, zakłóceń usłyszał głosy, głosy ludzi. Pomyślał, że to złudzenie, halucynacja, która w sytuacji takiej jak ta jest prawidłowością, ale głosy nie umilkły.

— Uwaga, Epsi. Rakietka weszła w stożek cienia. Widzisz ją?

— Oczywiście. Trzymam ją na trzecim ultradecie.

— Namierzaj ją dokładnie. Nie wiem, czy oni pilotowali w tych warunkach.

— Wszystko w porządku, Tod. Wchodzi na tor eliptyczny.

Uwierzył i wiedział, że będzie żył. Milczał. Nie wiedział, co powiedzieć w sytuacji, której kosmonauta, prawdziwy kosmonauta, nigdy nie bierze pod uwagę. Bo szczęśliwe zbiegi okoliczności zdarzają się czasem na Ziemi; w Kosmosie nigdy.

— Jak twoje samopoczucie? Czy możemy ci w czymś pomóc?

Teraz zwrócili się wprost do niego i nagle zrozumiał, że ta cała ich rozmowa nie ma nic wspólnego z regulaminowymi rozmowami pilotów i kosmodromem. Odpowiedział jednak tak jak zawsze. Nie umiał już inaczej.

— Tu Larks. Wszystko w porządku. Włączam silniki hamujące i schodzę spiralą. Odbiór.

— Oczywiście, odbieramy cię doskonale. Nie masz powodu do obaw.

Horyzont pojaśniał. Rakietka wychodziła ze stożka cienia. Czekał na sygnał do włączenia silników, lecz oni milczeli.

— Wychodzę z cienia — powiedział wreszcie. — Dajcie sygnał do hamowania. Odbiór.

— Nie rozumiem. Dlaczego on nie hamuje? zapytał jeden z nich.

— Domaga się jakiegoś sygnału.

— A może on nas nie słyszy?

Larks pomyślał, że kpią z niego, kpią z kosmogatora, który zaprzepaścił swój kosmolot, parujący zapewne w tej chwili w atomowym żarze Regulusa, i szukał ratunku na ich brudnoczerwonej planecie.

Odezwał się dopiero po chwili, gdy wiedział, że jego głos będzie już monotonnym głosem pilota

wywołującego stację namiarową.

— Tu Larks. Słyszę was dobrze. Dajcie sygnał. Odbiór.

— Jaki sygnał?

— Powtarzam: dajcie sygnał hamowania. Odbiór.

— Nie rozumiem. Po prostu włącz silniki hamujące.

— Teraz, za chwilę, już?

— Kiedy chcesz.

Nic nie rozumiał. Milczał chwilę, a potem tonem, który nie miał nic wspólnego z regulaminem, powiedział, co o nich myśli.

— ...Nie wyląduję przecież na ślepo na tej waszej planecie. Bez waszych namiarów nie znajdę nigdy kosmodromu — zakończył.

— Przecież uchwycimy twoją raketkę bumetonem, więc o co ci idzie? — zdziwił się Tod.

— Czym?...

— Bumetonem. Nie wiesz, co to jest bumeton? Jak mu to wytłumaczyć, Epsi?

— To taki ruchomy kosmodrom do odbierania raketek z niższych warstw atmosfery powiedział Epsi.

— Dobrze, ale jak mnie znajdzie ten... bumeton?

— O to się nie martw. Gwarantujemy ci, że cię znajdzie. Zasada odszukiwania raketki jest dość złożona w stosunku do poziomu wiedzy z twoich czasów...

— Moich czasów?...

— No tak. Nie sądzisz chyba, że ludzkość zatrzymała się w rozwoju po twoim odlocie.

— Zapewne technika poszła naprzód.

— Wejź więc w atmosferę i o resztę się nie martw.

Larks nacisnął stery. Poczul siłę wgniatającą go w fotel, który automatycznie dopasował się do kształtu jego ciała. Horyzont planety, widoczny teraz jako białawy, wyraźnie zagięty łuk, w którym ginęły gwiazdy, przesunął się, zniknął z ekranu czołowego i pojawił się w ekranie umieszczonym ponad głową Larksa. Raketka mierzyła w tarczę planety. Potem usłyszał gwizd, wysoki wibrujący gwizd, i spostrzegł błękitny, subtelny płomień, pełzający od dziobu wzdłuż pancerza raketki. Obraz planety w ekranach zadrżał, zmatowiał i rozplynał się w jednostajną szarzyznę. Raketka weszła w górne warstwy atmosfery.

Słyszał wyraźne tykanie altimetru odmierzającego kilometry dzielące go od powierzchni planety. Patrzył na jego wskazówkę spadającą z wolna ku zeru. — A jeśli nie zdążą? — pomyślał.

— Tu Larks, zostało jeszcze pięćdziesiąt kilometrów do powierzchni planety — powiedział w końcu.

— Tak, wiemy. — Odpowiedź przyszła natychmiast.

— Tego waszego... kosmodromu nie widzę...

— Jesteś już w nim.

— Nie żartuj, jeszcze tylko trzydzieści kilometrów...

— Epsi, słyszysz? On nam nie wierzy.

— Nie wymagaj od niego za dużo, Tod.

— Nie żartujcie, proszę was... przecież jeszcze chwila i uderzę tam w skały...

— Jesteś nad oceanem.

— Wszystko jedno... więc w ocean...

— On jest niecierpliwy, Epsi.

— To charakterystyczne dla ludzi tego okresu. Znalazłem to właśnie w mnemotronie... No dobrze,

zwiń już pole, Tod.

I nagle tykanie altimetru ustało. Wskazówka zawahała się przez moment, a potem spadła na zero. Larks nie poczuł nic, żadnego przyspieszenia towarzyszącego zazwyczaj hamowaniu rakiety.

— Co się stało? — zapytał po chwili. — Altimetr wskazuje zero.

— W porządku. Wylądowałeś.

— Ale przecież nie było hamowania, przyspieszeń...

— Lądowałeś na bumetonie — odpowiedział Epsi, jakby to tłumaczyło już wszystko.

Kpią ze mnie — pomyślał i wiedział, że jest zły jak ktoś, komu usunięto krzesło przy siadaniu w przestrzeni grawitacyjnej.

— Więc co, u podświetlnego protona, mam teraz robić? — zapytał.

— Otworzyć właz i wyjść.

— Do oceanu?

— Jesteś w bumetonie.

— Słuchajcie, ludzie, zrozumcie. Ten wasz bumeton czy inne urządzenie. Nie znam tego. Tak, jestem niedorozwinięty, zapóźniony w rozwoju kosmonauta, który lata siedział w metalowym pudle, podczas gdy wy zdobywaliście tę planetę. Zrozumcie to.

I wtedy Larks usłyszał zmieszany gwar głosów. Słyszał wyraźnie kogoś nawołującego go po imieniu i jakiś bas dyskutujący o jego kosmolocie. Wtórowały mu głosy piskliwe, bełkoczące... Nagle wszystko ucichło.

— Otwieraj właz — usłyszał. To był głos Toda.

— Co... co to było? — zapytał.

— Nic ważnego. Chcieli cię usłyszeć i na siłę wpakowali się w kanał.

— Kto?

— No, cała reszta... Nieważne. Otwórz wreszcie ten właz. Nie rozumiem, na co czekasz.

— Żal mu opuszczać raketę. Chęć posiadania, to było dla nich charakterystyczne... jest to w mnemotronach...

— Nie u nich, to było wcześniej, Tod.

Larks docisnął hełm skafandra i oparł dłonie o dźwignię śluzy. Wahał się, ale trwało to moment. W końcu niczym nie ryzykuję — pomyślał i nacisnął dźwignię. Śluzy rozsunęły się bezszelestnie. Nie usłyszał nawet świstu powietrza powodowanego wyrównywaniem ciśnienia. Wyjrzał przez otwartą śluzę, ale na zewnątrz ciemność była zupełna, czerń większa niż znana mu wieczna czerń Kosmosu.

— Słuchajcie, gdzie jestem? Słyszycie mnie? Gdzie jestem? — krzyczał coraz głośniej.

— W bume... — zaczął Tod, ale Epsi przerwał mu w pół słowa.

— Jesteś na kosmodromie.

— Tu jest ciemno. Nic nie ma.

— Przygotowałeś oświetlenie, Tod?

— Zapomniałem.

— Trudno, naświetlimy ściany. Pochwała ci się za to nie należy.

— Uczyłem się instrukcji obsługi, ale tam nic o oświetleniu nie było.

— Kiedyś to się rozumiało samo przez się — powiedział Epsi. Larks nie zrozumiał. Pomyślał, że anabioza, w której trwał na pokładzie kosmolotu, pozostawiła w tkankach jego mózgu jakieś ślady. Chciał im to powiedzieć, ale nagle spostrzegł, że na zewnątrz wstaje fioletowy świt, że wszystko, co jest poza śluzami, staje się światłem. Raketka stała się czymś, co świeciło, i otoczona była ze wszech stron fioletową poświatą.

— Jest już jasno, Larks, prawda?

Zwlekał chwilę z odpowiedzią, ale Epsi czekał na nią.

— Tak, jest już jasno — powiedział.

— Czy ten kolor światła ci odpowiada?

— Jeśli wam odpowiada...

— Hm... to niezupełnie tak, ale w końcu nieważne. Wyjdź z rakiety.

Wyszedł na zewnątrz, osunął się po klamrach wjazdu i stanął na elastycznej, uginającej się powierzchni. Przypomina to podmokłą łąkę pomyślał i nagle uświadomił sobie, że po raz pierwszy na tej planecie pomyślał o Ziemi.

— Wyszedłem — powiedział zdecydowanie — to, na czym stoję, ugina się. Czy utrzyma mój ciężar?

— Nie ma obawy. Stoisz na polu siłowym.

— Na czym?

— Na polu siłowym. Jest elastyczne, ale wytrzymalsze od każdego materiału, który znalazłeś na Ziemi.

— Kiedy wyjdziecie po mnie?

— Zabieramy cię, ale nikt po ciebie nie wyjdzie.

— Nie rozumiem... dlaczego?

— Powiedzmy, że takie są u nas obyczaje.

— Dziwne. Wiele zmieniło się od mego odlotu z Ziemi.

— Za wcześnie jeszcze, byś mógł o tym sądzić.

— Może...

— Na razie możesz zdjąć hełm. Przygotowaliśmy dla ciebie ziemską atmosferę.

— Jak to dla mnie?

— Po prostu zsyntetyzowaliśmy ją według najlepszych ziemskich wzorów. Specjalnie dla ciebie.

— A wy?

— Nam nie jest to potrzebne — powiedział Epsi i umilkł.

— Niepotrzebne?

— On tego nie rozumie, Epsi — wmieszał się Tod.

— Nie może rozumieć.

Larks nie zastanawiał się dłużej nad tym, co powiedział Epsi. To wszystko wydaje się nierealne — pomyślał. — Jest w każdym razie zbyt skomplikowane, bym pojął to od razu. W ich zachowaniu jest coś obcego.

— Zdejmuję hełm — powiedział głośno. Zsunął hełm i poczuł zapach lasu. Było w tym zapachu coś jeszcze. Przez chwilę nie mógł sobie uświadomić, skąd zna ten zapach, aż wreszcie pojął, że jest to powietrze znad górskiego strumienia rozbryzgującego się o głazy porośnięte mchem. Zrobił kilka głębokich wdechów. Tod usłyszał to widocznie.

— Dobra robota, co?

— Wolę powietrze bezwonne — powiedział Larks. — Takie jak to tutaj zostawiliśmy na Ziemi. To nie jest powietrze dla kosmonautów. Jeżeli wrócę na Ziemię, będę nim oddychał, jeżeli nie... wolę bezwonne.

— Nieważne — powiedział Epsi. — Przenosimy cię do twojej kabiny. — I wtedy Larks spostrzegł, że rakieta zasnuwa się fioletową mgłą, kontury jej zacierają się i giną. Chwilę ogarniała go fioletowa poświata, a gdy znikła, spostrzegł, że jest w kabinie kosmolotu.

— To... to przecież kabina mego kosmolotu.

— Masz rację.



— Dokładnie, dokładnie moja kabina. Nawet w autolektorze widzę wiadomości o Regulusie, które przesłuchiwałem... wtedy... przed opuszczeniem kosmolotu.

— Wszystko jest na swoim miejscu — powiedział Epsi.

— Więc jestem w moim kosmolocie?

— W jego kopii, dokładnej kopii ograniczającej się do kilkunastu pomieszczeń...

— Ale przecież kosmolot spłonął, spłonął w atomowym ogniu Regulusa. Nie mogłem zmienić toru jego lotu i opuściłem go... Słyszysz, Epsi, on spłonął... Jak mogę znajdować się we wnętrzu kosmolotu, którego nie ma...

— Powiedziałem już, to tylko kopia. W pewnym sensie byliśmy w jego wnętrzu, zanim spłonął, i zdobyliśmy informację potrzebną do jego odtworzenia. Gdzieś musisz przecież przebywać... tu, na tej planecie. To było najprostsze i najwygodniejsze rozwiązanie. Mogliśmy oczywiście sami coś wymyślić, ale obawiam się, że popełnilibyśmy przy tym wiele błędów. Nie jesteśmy znawcami twoich czasów...

— Więc to nie jest kosmolot?

— Nie. Spójrz w ekrany. Są szare, gwiazd w nich nie widać.

— Rzeczywiście, gwiazd w nich nie ma.

— Moglibyśmy oczywiście odtworzyć twój kosmolot ze wszystkimi szczegółami, zasymulować pracę silników i ruch gwiazd w ekranach, ale nie o to przecież idzie. Twój lot się zakończył. Twój kosmolot nie istnieje. Jesteś na planecie krążącej wokół Regulusa, a to jest sztuczne środowisko, twoje środowisko, z którego najłatwiej będzie ci się dostosować do warunków nowej cywilizacji ludzkiej, prawdziwej cywilizacji.

— Myślisz, że on coś z tego zrozumiał, Epsi? — zapytał Tod.

Epsi nie odpowiadał. Larks rzeczywiście nie rozumiał, ale w tej chwili nie przyznałby się do tego za żadną cenę. Patrzył na znajome sprzęty, na łóżko pamiętające kształt jego ciała, na niewielki wideogram, na którym wychodził z włazu rakiety, zrobiony wtedy, gdy wrócił ze swego pierwszego lotu wokół Księżyca. Wszystko było tu jak tam, w kosmolocie.

Chwilę stał nieruchomo, a potem wyszedł do dyspozytorni. Pulpit sterowania, odtworzony we wszystkich szczegółach, był ciemny i martwy. Nie płonęło nawet światło kontrolne stosu, które płonie zawsze od chwili uruchomienia kosmolotu, w czasie wszystkich jego podróży, aż do chwili, gdy jego wrak, skierowany w tarczę Słońca, wyparuje w jego płonących gazach. Spojrzał w ekrany. Były matowoszare, wszystkie. Przeszedł wzdłuż nich, podszedł do drzwi prowadzących do głównego szybu, chciał je otworzyć, lecz nie ustąpiły.

— Tam nie ma już nic — powiedział Epsi. Nie odtwarzaliśmy dalszych segmentów kosmolotu.

— To... to wszystko odtworzyliście bezbłędnie... idealnie. Ileż informacji musieliście przekazać z kosmolotu, by było to możliwe. — Larks stanął przed drzwiami i patrzył w ich połyskliwą szarą powierzchnię.

— Zapewniam cię, że mieści się to swobodnie w granicach naszych możliwości.

Larks stał jeszcze chwilę, a potem wolno, nie odwracając się i nie zmieniając tonu głosu, zapytał:

— Powiedz, Epsi, kim wy naprawdę jesteście?

— Ludźmi.

— Ludźmi? Ale przecież to niemożliwe, by przez te lata, nie tak wiele znowu lat, gdy trwałem w anabozie, postęp był tak ogromny.

— To nieważne, Larks.

— Nie wierzę. Nie wierzę. Słyszysz?! Nie jesteście ludźmi. Oszukujecie mnie...

— Więc kim według ciebie jesteśmy?

— Mieszkańcami tej przeklętej brunatnej planety. Przejrzałem was, słyszysz?! Przejrzałem! — krzyczał i słyszał podźwitek własnego głosu pod kopułą dyspozytorni.

— Mogliśmy to przewidzieć, Epsi — powiedział Tod.

Epsi milczał chwilę.

— Nie masz racji, Larks — powiedział w końcu. — Spróbuję cię przekonać.

— Tu słowa nie wystarczą.

— Jesteś zarozumiała, Larks, typowy przedstawiciel swojej rasy. Czy sądzisz, że obca cywilizacja starałaby się przekonywać ciebie o czymkolwiek?

— Nie wiem. Zależałoby to zapewne od tego, do czego byłbym im potrzebny.

— Logiczne — powiedział Tod.

— Być może — zgodził się Epsi. — Spróbuję przekonać cię inaczej.

— Poczekaj, sam się przekona. Teraz jest pod działaniem silnej emocji i trudniej percypuje.

— Mimo to spróbuję. Dlaczego uważasz, że spotkanie z obcą cywilizacją na tym globie jest bardziej prawdopodobne niż spotkanie z ludźmi?

— Wasza technika nie jest techniką ludzi...

— Odpowiedz na pytanie.

— Zgoda. Uważam, że spotkanie ludzi jest bardziej prawdopodobne, ale to byliby ludzie, nie... głosy.

— Jak mam to rozumieć?

— Zwyczajnie. Gdybyście byli ludźmi, powitałby mnie normalny kosmonauta w skafandrze i przewiózł zwyczajną małą raketką do bazy, prawdziwej bazy, białej kopuły wprasowanej między skały.

— Bumeton upraszcza to wszystko — powiedział Tod.

— Ale to nie jest lądowanie. To nie jest nic... Kosmonauta traktowany jest przez was jak białkowa przesyłka.

— Przesadzasz.

— Ani trochę.

— A baza... Po co ci baza? — wtrącił się Epsi. — Przecież to, co przygotowaliśmy dla ciebie, jest wygodniejsze. Znasz tu każdy kąt.

— Ale to jest klatka... klatka, rozumiecie?

— A czymże był twój kosmolot w próżni?

— Nigdy klatką. Mogłem nim sterować... mogłem wreszcie wyjść na zewnątrz i wystrzelić się w Kosmos...

— Jeśli ci o to idzie, dorobimy tu wyjście. Będziesz mógł w skafandrze spacerować po planecie... będziesz miał raketkę do lotów zwiadowczych... Chcesz?

Larks nie odpowiedział. Patrzył w matowe ekrany dyspozytorni, a właściwie jej kopii, a potem zapytał:

— Powiedzcie, co naprawdę chcecie ze mną zrobić?

— Zrobisz, co zechcesz, oczywiście w pewnych rozsądnych granicach.

— Do czego jestem wam potrzebny?

— Nie rozumiem...

— No wam, obcym istotom o odmiennej strukturze...

— Niestety, on nie wierzy, że jesteśmy ludźmi, Tod — powiedział Epsi.

— I nie wiem, czy zdołasz go przekonać. To będzie niewykonalne.

— Ależ to nic prostszego. Przyjdźcie do mnie. Słyszycie?

— Zobaczysz nas na ekranie — Epsi odezwał się pierwszy. — To jestem ja, Epsi.

Wielki ekran czołowy zapłonął i Larks zobaczył w nim wysokiego mężczyznę w dziwnym, mieniącym się stroju, spacerującego wolno wzdłuż szpaleru palm. W dali, za żółtą plażą pieniało się morze.

— Ależ... ależ to jest Ziemia.

— Tak, to jest Ziemia...

— Rozumiem, widziałem cię tam, na Ziemi, a teraz przyjdiesz tu, do dyspozytorni, zobaczę twoją twarz i będę już wiedział, że jesteś człowiekiem, bo byłeś na Ziemi... Czy tak?

— Niezupełnie.

— Nie rozumiem.

— Nie przyjdę do ciebie do dyspozytorni ani teraz, ani jutro, nigdy. Nikt do ciebie nie przyjdzie.

— Dlaczego?

— Przypuszczam, że mi nie uwierzysz. Nie istnieje nic takiego, co mogłoby do ciebie przyjść.

— Nie... nie rozumiem... nic nie rozumiem... Ja... ja chyba już nie myślę sprawnie jak człowiek... Ta anabioza... Nic nie rozumiem.

— Uspokój się. Spróbuję ci wytłumaczyć...

— Chwileczkę — przerwał Tod. — Miałeś jeszcze mnie zobaczyć w ekranie.

— To w tej chwili nieważne — Epsi nie pozwolił mu dokończyć.

— Dla mnie ważne, Epsi. On jest człowiekiem. Chciałbym, żeby ktoś powiedział, że mnie widział.

— Możesz się oglądać przy pomocy transinformatorów.

— To nie to samo, Epsi.

— Prześlij się do psychoanalityków. One przekonają cię, że istniejesz naprawdę...

— Ja nie wątpię, tylko...

— Nie przerywaj. Zajmujemy się teraz Larksem.

— Dlaczego on chce, żebym zobaczył ten telewizyjogram właśnie z nim? — zapytał Larks.

— Nieważne. Chciałeś wiedzieć...

— Tak. Chcę wiedzieć.

Larks przeszedł do pulpitu sterującego i siadł w fotelu kosmogatora. Patrzył w ekran. Palmy się skończyły i morze było coraz bliżej. Mężczyzna szedł wprost ku falom. U jego stóp biegło coś, co Larks początkowo wziął za psa, lecz gdy przypatrzył się temu bliżej, zrozumiał, że jest to automat, automat, jakiego nigdy jeszcze nie widział.

— A więc, Larks, mniej więcej w sto dwadzieścia lat po twoim odlocie, sprawdziliśmy to, ludzkość zrealizowała techniczne przenoszenie się w czasie...

— W czym?

— W czasie, oczywiście w przeszłość. Można się było przenieść do dnia wczorajszego, miesiąc, sto lat, tysiąc w przeszłość.

— Sądzicie, że jest to możliwe?

— W twoich czasach niewiele ludzi w to wierzyło. Ale dwieście lat potem rozpoczęły się podróże w czasie. Natomiast z przestrzenią ludzkość radziła sobie gorzej. Prędkość światła ogranicza możliwość eksploracji człowieka przy pomocy kosmolotów. Ponadto kosmonauta nie może sto lat trwać w anabiozie. Tak więc sposób podróżowania, który ty stosujesz, nie miał wielkich perspektyw. Jak pamiętasz, były nawet teorie dotyczące liczby gwiazd, które może zbadać człowiek ze względu na maksymalny czas trwania anabiozy...

— Tak, oczywiście...

— To też zostało przezwyciężone. Ludzkość nauczyła się przesyłać potężne ilości informacji z

prędkością światła, w postaci wiązki fal elektromagnetycznych...

— I co z tego?

— Możliwości przesyłu informacji stały się wystarczające, by przesyłać w ten sposób całą informację, jaka stanowi osobowość człowieka.

— Co... osobowość?

— Jest to technicznie trudne, ale możliwe. Tam, na Ziemi, ekstrahuje się informacje z mózgu człowieka i wysyła się je w postaci wiązki fal elektromagnetycznych w Kosmos.

— I wtedy człowiek przestaje istnieć? — zapytał Larks.

Epsi nie odpowiedział. Larks bezmyślnie patrzył w ekran, w którym człowiek doszedł do twardej, zmoczonej pianą fal warstwy piasku, odciskając w niej ślady swych stóp.

— Nie... — Epsi mówił jakby z wysiłkiem — nie przestaje istnieć. Wędruje w Kosmosie jako niezmienna wiązka fal. To trwanie, w którym czas dla niego nie istnieje.

— Nie istnieje, aż fala dojdzie do transformatorii... — dodał Tod.

— Do czego?

— Stacji przetwarzającej. Jesteś na jednej z takich stacji.

— Tu zgrupowane są urządzenia, w których informacja może się przetwarzać. Urządzenia te grupują całą informację, zapamiętują ją... i człowiek zaczyna myśleć. Jego osobowość przechowywana jest w transformatorii tak długo, jak długo jest to potrzebne.

— Więc wy... wy jesteście osobowościami...

— Nie, Larks — Epsi powiedział to twardo my jesteście ludźmi, ludźmi — rozumiesz. A czy sekwencje naszych doznań przewodzi białko, czy są to impulsy w sieci krystalicznej — to nie jest istotne.

— Ale przecież was nie ma...

— I co z tego. Widzimy przez receptory automatów, sterujemy automatami, które wykonują każde nasze polecenie, możemy badać planety, odkrywać nowe słońca, dotrzeć do najdalszych mgławic...

— Nie, to zbyt nieprawdopodobne. Nie wierzę wam. Zresztą, jeżeli nawet to jest prawdą — Larks zawahał się przez moment — to co z tego?...

— Potem wracamy na Ziemię. — Odpowiedź Epsi była natychmiastowa. — Wracamy na Ziemię i nasza osobowość jest modyfikowana informacją uzyskaną w Kosmosie, pamiętamy to wszystko, cośmy widzieli... pamiętamy wyniki badań...

— I jeszcze nie powiedziałeś mu tego, co stanowi istotę naszych podróży, Epsi, nie powiedziałeś mu o zgodności czasowej.

— Powiem mu o tym. Widzisz, Larks, taka eksploracja Kosmosu niewiele byłaby warta, gdybyśmy wracali na Ziemię dziesiątki czy setki lat później do innych, niezrozumiałych dla nas czasów, takich, jakimi czasy naszej cywilizacji są dla ciebie.

— A jakież macie inne wyjście?

— Przesunięcie czasowe w przeszłość.

— Nie rozumiem.

— Wysyłamy najpierw transformatorie do wszystkich planet wokół układu słonecznego. Wysyłamy przy pomocy zwykłych kosmolotów, ale kosmoloty te cofamy w czasie o tysiące lat, tak że stacje te przemierzają Kosmos przed naszym urodzeniem, przez wieki całe, a potem czekają na nas na wybranych planetach. Wtedy dopiero podróżujemy. Jeśli odległość jakiejś gwiazdy od Ziemi wynosi dziesięć lat świetlnych, cofamy się w czasie o dwadzieścia lat, wypromieniowujemy się jako wiązka fal ku tej gwiazdzie, przybywamy tam po dziesięciu latach, prowadzimy tam badania, dziesięć lat na powrót i wracamy dokładnie w nasze czasy...

— W ten sposób można by prowadzić badania najdalszych mgławic. Ale ja wiem, że to nieprawda... Nie oszukacie mnie.

— Oczywiście przesyłanie takie jest możliwe przy wykorzystaniu po drodze transformatorii przesyłowych, bo fala informacji osobniczej ze względu na zakłócenia powinna trafiać do transformatorii co jakieś dziesięć lat.

— Więc wy...

— My zmierzamy do gwiazd odległych od Słońca o setki lat światła. Ta transformatoria na Regulusie jest dla nas tylko stacją przesiadkową. Spośród nas nikt jeszcze nie wraca na Ziemię. W drodze powrotnej pojawimy się tu za sto i więcej lat.

Larks podniósł głowę i wtedy znowu ujrzał ekran. Na ekranie w zielonym sarkofagu spoczywał człowiek, który przedtem szedł ku morzu. Oczy miał przymknięte, a nad nim pochylały się, lekko falując, przedziwne twory. W tyle za nim płonęła różowa poświata, przybierając chwilami intensywnie czerwony odcień. Larks spostrzegł, że zmiany te są rytmiczne.

— Patrzysz w ekran? — zapytał Epsi.

— Tak, tam to ciało w sarkofagu, a nad nim te automaty...

— To moje ciało w anabiozie. Widzisz przygotowania do emisji osobowości w Kosmos. To nieistotne szczegóły — dodał Epsi i ekran zszarzał.

Larks wstał i rozpoczął spacer tam i z powrotem wzdłuż ekranów. Nagle usłyszał głosy.

— Spójrz, prawdziwy człowiek, tutaj na Regulusie.

— To jeszcze jeden fantom stworzony w transformatorii... Nie wiercie w to. To fantom! Urządzenie okłamuje nas — głos był przenikliwy, ostry.

— Człowiek, prawdziwy człowiek — ciągnął pierwszy głos.

— Rusza się, chodzi. Może poruszać ręką, zamiast sterować automatem.

— Widzicie, w ten sposób też można przemierzać Kosmos.

Nagle głosy umilkły.

— Chcieli cię zobaczyć — powiedział Tod. Oni widzą albo wideotronię, albo automaty. Ty jesteś dla nich atrakcją.

— A kim... kim oni są?

— Osobowości eksplorujące Kosmos. — I wtedy nagle Larks zatrzymał się.

— Dość... dość już tego — wyszeptał. — Nie oszukujcie mnie. Zaczynam rozumieć to przedstawienie. — Cofnął się dwa kroki, aż plecy jego dotknęły ekranów. — Rozumiem... trzymacie mnie tu w klatce i obserwujecie... obserwujecie człowieka. Macie już wideogramy z Ziemi, a teraz chcecie wiedzieć coś o jej mieszkańcach. Wyobrażacie sobie ich tak, jak tamtego mężczyznę w ekranie... Prawdziwy człowiek i nieprawdziwe szczegóły...

— Ale po co, w jakim celu mielibyśmy to robić? — przerwał mu Epsi.

— Bo podoba wam się Ziemia... jej zieleń, jej niebo, morze... Nie, nic z tego. Niczego nie dowiecie się ode mnie. Nie ułatwię wam zdobycia tej planety... nigdy...

— O czym on mówi, Epsi? — Głos Toda docierał do Larksa zniekształcony.

— Nie oszukacie mnie... wy, kosmiczne twory.

— On bredzi, Epsi. Powinniśmy działać.

— Te głosy... te bajeczki o wędrownikach w czasie i przestrzeni. Zginę, wiem, że zginę, ale mówię wam, nie dostaniecie tej planety.

— Ależ Larks... — Epsi bezskutecznie starał się mu przerwać.

— Nie dostaniecie. Mimo całej waszej techniki, waszych pól siłowych, waszych bumetonów. Nie wiecie jeszcze, co to jest człowiek!

— Jesteśmy ludźmi! — Epsi krzyknął to z jakąś desperacją.

— Nie kłam. Pokaż twarz.

Potem ciszej już i niezupełnie pewnie powiedział:

— No to... przyjdź tu.

— Wiesz, że nie możemy.

— Nie możecie? Wy, którzy kopiujecie kosmoloty, możecie skopiować człowieka. Przyjdźcie tu jako kopie. A może właśnie ja mam być tym wzorem, matrycą do powielania, i teraz...

— Cóż wymyśliłeś znowu?

— Po prostu przechodzę teraz testowe badania. A potem będziecie kopiować setki, tysiące takich jak ja... i wysłać na Ziemię.

Larks zamilkł. Epsi odczekał jeszcze chwilę, jakby spodziewając się, że Larks powie coś jeszcze, ale Larks milczał.

— Włącz biotrony, Tod — odezwał się wreszcie Epsi.

Larks usłyszał wysoki, subtelny ton i wydawało mu się, że ton ten wydają ściany kopii kosmolotu. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążył.

— Ten archiwalny kosmonauta jest już wyłączony — powiedział Tod. — Doskonała kopia, jedyna w swoim rodzaju. Trzeba by ją tylko nieco przestroić...

— Nie, Tod. Tego nam robić nie wolno. To jest człowiek, prawdziwy, pełnowartościowy człowiek, odtworzony idealnie według oryginału, który spłonął w atmosferze... Nie wolno nam tego robić, bo my przecież także jesteśmy ludźmi.

Zbudził się i czuł pustkę w głowie. Potem przypomniał sobie wszystko. Wtedy usłyszał głos:

— Przyjdzie do ciebie człowiek. — To mówił Tod.

— Tu, do kosmolotu?

— Nie, otwórz drzwi do szybu.

— Ależ tam nic nie ma.

— Zrób to jednak.

Larks podszedł do drzwi i napał na nie. Podały się lekko. Owiał go ciepły podmuch, który był fioletową mgłą. Na chwilę wszystko zniknęło, a potem opar zamykający korytarz rozwiał się i Larks wszedł na niewielką prostokątną platformę, zawieszoną wśród spiral dziwacznej konstrukcji. Czuł, jak platforma ugina się lekko pod jego ciężarem, lecz dopiero po chwili zrozumiał, że stoi na polu siłowym. Wokół, w wielkiej sklepionej hali, której sklepienia domyślał się tam, gdzie spirale nikły w mroku, nie spostrzegł niczego, co odbiegałoby od monotonii spiralnych konstrukcji. Błękitnawe światło przesączało się z dołu i gdy wyjrzał poza krawędź platformy, zobaczył podstawy spiral niknące w niebieskawej mgle. Stał chwilę nieruchomo, a potem chciał zawrócić do korytarza, którym przyszedł. Wtedy właśnie jedna z najbliższych spiral zadrgała tworząc połyskujący walec, usłyszał szum, cichy, na granicy słyszalności niemal, spirala rozpękała się i przy jego platformie stała rakieta. Nie była podobna do raket, jakie znał z Ziemi, ale wiedział, że to jest rakieta, i jej wydłużone kształty świadczyły, że służy do lotów w atmosferach planet. Właz był otwarty. Chciał przejść śluzy, ale wtedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

— Ja wejdę pierwszy — powiedział stojący za nim mężczyzna — fotel pilota jest głębiej, a pilotem jestem właśnie ja. Tam w środku jest ciasno i z trudnością można się precyzyjnie przycisnąć między przrządami — wyjaśnił.

Potem Larks widział już tylko jego plecy, szerokie plecy kosmonauty w błyszczącym skafandrze, znikające w otworze włazu. Wszedł za nim i zajął wolny fotel, cofnięty nieco poza fotel pilota.

Tamten siedział już i ponad jego ramieniem Larks patrzył w nieliczne dziwaczne, obce wskaźniki, jarzące się zielonkawym światłem, rozrzucone na ciemnym prostokacie pulpitu sterowania. Ale pilot był człowiekiem, prawdziwym człowiekiem. A może to tylko zręczna kopia — pomyślał Larks.

— Startujemy ku Tarancie — powiedział pilot.

— To druga planeta Układu?

— Zgadza się.

— Długi to będzie lot? Niezbyt tu wygodnie w tej kabinie — dodał Larks chcąc usprawiedliwić jakoś swą ciekawość.

— Liczy się tylko lot w atmosferze planety. Przez Kosmos idziemy nadszybkością. Czas prawie się zatrzymuje i nawet nie spostrzeżesz momentu, gdy osiągniemy planetę.

— Relatywistyczne spowolnienie czasu?

— Tak. Z tym, że rozpędzamy i hamujemy raketkę polem grawitacyjnym. Dlatego też nie odczujesz żadnych przyspieszeń.

— W polu grawitacyjnym wszystkie ciała spadają jednakowo.

— O, właśnie. Prawo to odkryto na Ziemi w epoce, z której pochodzisz.

— Dobre kilka wieków wcześniej.

— Teraz, gdy potrafimy przenosić się w czasie kilka wieków w tę czy w tamtą stronę, to nie ma znaczenia...

— Myślisz?

— Oczywiście, Larks. Ja urodziłem się kilkaset lat po tobie i co z tego? Podróżujemy razem jedną, niewygodną raketką. Wierzysz chyba wreszcie, że istniejemy naprawdę.

— Jednak jesteście inni, wy... ludzie z przyszłości. Tak was chyba należy nazywać.

— Nie wiem... może. Nasz świat jest w końcu inny od waszego.

— Pola siłowe, przenoszenie w czasie, transmisje psychiki.

— Nie tylko to...

— A co więcej?

— Nieważne. Wychodzimy z nadszybkości. Taranta przed nami.

Larks spojrział w ekran i zobaczył w nim zielonkawą planetę, której tarcza rosła niemal w oczach. W swych dotychczasowych lotach widział wiele różnych planet, których tarcze rosły z wolna, wypełniając czołowe ekrany gwiazdolotów, ale zauważalnego wzrostu średnicy katowej planety nigdy nie obserwował. Zrozumiał nagle, z jak ogromną szybkością porusza się ich rakietka.

— Właściwie po co tam lecimy? — zapytał.

— Nie mówili ci?

— Nie. Nie pytali nawet, czy chciałbym lecieć.

— Automaty wykryły tam coś interesującego.

— Co takiego?

— Trudno powiedzieć. Relacje ich były mgliste.

— Mgliste... relacje waszych automatów. Ale przecież one chyba nie są zdolne do mglistych relacji.

— Tym bardziej nas to dziwi.

— I stąd ta wyprawa.

— Tak. Pierwsza od lat wyprawa ludzi na planetę.

— Uważacie Tarantę za nieciekawą planetę?

— Wręcz przeciwnie. Starannie ją badają nasze automaty. Po prostu w naszych czasach nie ma zwyczaju wysyłać ludzi na eksplorację znanej planety z lądowaniem, spacerami w skafandrze po jej

powierzchni i tym wszystkim, co, jak słyszałem, stanowiło najwyższą atrakcję dla starożytnych kosmonautów... W tej postaci człowiek odkrywa tylko nowe planety.

— Z tą atrakcją to przesada — powiedział Larks i przypomniał sobie, jak kiedyś, jeszcze jako młody pilot, z wolna topił się w bagnie cywilizowanej planety Wenus, jak błoto zalewało szybę jego skafandra i biegały po niej pająkopodobne owady o skomplikowanej łacińskiej nazwie.

— Zazwyczaj steruje się automatami z pojazdu krążącego po ślepej orbicie wokół badanej planety — powiedział pilot.

— A ciebie jednak wysłali.

— Ciebie też. Tym gorzej dla nas.

— Początkowo myślałem, że chcą dla mnie znaleźć jakieś zajęcie... i wymyślili ten lot na Tarantę. Lot z prawdziwym człowiekiem, bo ty jesteś prawdziwym...

— Znaleźliby ci inne zajęcie albo najprościej wprowadziliby cię w anabiozę. Taki lot wymaga od nich sporo uwagi.

— Więc dlaczego mnie wzięli? Nie znam waszych automatów, sposobu prowadzenia badań...

— Od tego jestem ja — powiedział pilot.

— Więc dlaczego...

— Bo musi lecieć dwu ludzi. Tak jest optymalnie.

— Ale to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego polecałem ja?

— Byłeś po prostu gotowy. Byłeś jedynym gotowym człowiekiem.

— Nie rozumiem — Larks wychylił się z fotela, by zobaczyć twarz pilota, ale była ona bez wyrazu. Pilot patrzył w ekran. — Nie rozumiem — powtórzył.

— Nie szkodzi. Uprzedzili mnie o tym.

— O czym?

— Że nie będziesz rozumiał. To w niczym nie przeszkadza.

— Nie przeszkadza, w czym?

— W eksploracji Taranty. Oni mają rację dodał jako wyjaśnienie — oni zawsze mają rację i to na pewno nie jest ci potrzebne do przeprowadzenia badań.

— Ale ja chcę wiedzieć... po prostu wiedzieć.

— Po co? Jeżeli ci to jest niepotrzebne.

— Jak to? Chcę wiedzieć — to normalne. Nie chcę działać na ślepo, nic nie rozumieć z tego, co robię. Nie jestem automatem.

— Nie bardzo pojmuję, o co ci chodzi... Jesteś człowiekiem, ale co z tego...

Larks pomyślał, że pilot kpi z niego, i umilkł. Wsunął się głębiej w fotel i czekał. Pilot nacisnął klawisz na pulpicie sterowania i wzrost tarczy Taranty w ekranie ustał. Natomiast z wolna zaczęła wirować. Rozumiał, że wytworzone w silniku grawitacyjnym pole, setki tysięcy razy silniejsze od ziemskiego, w ciągu krótkiej chwili wstrzymało ruch rakiety ku planecie. Wiedział o tym, lecz nie mógł w to uwierzyć

— Jak daleko jest planeta? — zapytał.

— Wchodzimy w jej atmosferę — powiedział pilot. — Muszę odszukać w przybliżeniu właściwe miejsce. Możemy z tym mieć kłopoty.

— Nie znasz współrzędnych.

— Niezupełnie dokładnie. Automaty, które wróciły, nie były w zupełnym porządku:

— Nie działały?

— Gorzej. Działały źle. Ich pamięć została uszkodzona, częściowo starta...

— Wskutek czego?



— To właśnie mamy zbadać.

— Więc jak znajdziemy to miejsce?

— Mamy przybliżone współrzędne... a poza tym może któryś z automatów będzie się jeszcze odzywał.

— One tam zostały?

— Prawie wszystkie.

— I mamy je zabrać?

— Po co? Ten cybernetyczny szmelc?! Niech tam zostanie. Zbadamy, co tam właściwie się stało.

Zieleń planety zniknęła z ekranu i weszli w atmosferę, przebijając cienkie warstwy białych chmur.

Opary rozstępowały się na wieleset metrów przed nimi i Larks wiedział, że to pole siłowe rozrywa te chmury tworząc tunel, w którym opada rakietka. Wreszcie zobaczył powierzchnię planety. Pilot też ją spostrzegł. Przycisnął jakąś dźwignię i rakietka zawisła nieruchomo.

— Atmosfera planety nad nami. Koniec lotu — powiedział.

— Dlaczego nie opadamy?

— Zrównoważyliśmy grawitację planety. Silnik naszej rakiety pracuje. Spójrz na chmury.

Opływają nas szerokim łukiem z obu stron i znowu się łączą.

— A ta szara płaszczyzna w dole to równina?

— Ocean.

— I mamy w nim lądować?

— Nie. Musimy znaleźć w nim obiekt.

— To chyba nic trudnego. Jeśli znamy jego współrzędne...

— Obiekt, który się przesuwa.

— Jak to przesuwa?

— Nie jest to jedyna z zaskakujących cech tego obiektu — powiedział pilot. Wykonał obrót wraz z fotelem i wtedy mały, szary dotychczas ekran, umieszczony na wysokości jego głowy, rozjarzył się błękitną poświatą. W jego rogu rozbłyskał i przygasał jasny punkt.

— Widzisz, jakiś automat nas wzywa — powiedział.

Rakietka zachwiała się w siłowym polu swego silnika, a potem zaczęła spadać. Pilot wyrównał jej lot tuż nad oceanem, tak że Larks widział brunatne fale przelewające się kilkadziesiąt metrów niżej. Potem ustawił rakietkę tak, że rozbłysk zajął centralną pozycję w ekranie. Larks nie odczuł żadnego przyspieszenia, tylko grzbiety fal rozmasowały się w brudnobrunatną płaszczyznę.

— Zaraz zobaczysz ten obiekt — powiedział pilot.

— Dlaczego lecimy tak nisko, tuż nad oceanem?

— Żeby dolecieć.

— Nie rozumiem...

— Jedna z rakiet zwiadowczych leciała wyżej i nie doleciała. Jej szczątki znaleźliśmy później w oceanie.

— Co się z nią stało?

— Przestała nagle nadawać sygnały. Prawdopodobnie została rozerwana w atmosferze.

— To... to również nam może się zdarzyć?

— Może.

— I lecimy sami, jedną tylko rakietą...

— Czyżbyś się bał?

— Nie. Tylko wydaje mi się, że niepotrzebnie zbyt dużo ryzykujemy. Ryzykujemy w końcu nasze życie.

— Ale to przecież nieważne.

— Tak sądzisz?

— Oczywiście. Ty, Larks, ciągle dziwaczysz. Uprzedzono mnie o tym, ale nie przypuszczałem, że to będzie aż tak wyglądało. Różnicie się od nas zasadniczo, wy, ludzie z tamtych epok.

Larks chciał coś powiedzieć, ale nagle zobaczył wyspę. Wystawała niewiele z oceanu. Jej zarys tworzył owal równomiernie uwypuklony ponad powierzchnią wody i wtedy zrozumiał, że to właśnie jest ich obiekt.

— Jest, widzisz — chwycił pilota za ramię. Wygląda jak wynurzony częściowo wieloryb.

— To twór sztuczny. Wiem o tym z informacji przekazanych przez automaty. Dlatego jest tak geometrycznie prawidłowy.

— Lądujemy na nim?

— Nie, nie powtórzymy błędów automatów. Zawiśniemy obok tuż nad wodą i przedostaniemy się tam po polu siłowym,

— Po polu siłowym?

— Tak będzie bezpieczniej.

Pilot poruszył stery i rakieta, przesuając się tuż ponad falami, dotarła w pobliże wyspy. Kilkunastometrowy pas brunatnej wody falował między raketką a wyspą.

— Włączam pole siłowe — powiedział pilot. Powierzchnia wody jakby zmatowiała i znieruchomiła w pasie kilkunastometrowej szerokości, łączącym raketkę z wyspą.

— Utworzyłeś pas nieruchomej wody, którego nie zalewają fale.

— Zwykle pole siłowe. No możemy wychodzić.

— Tak prosto na wodę?

— Oczywiście.

Zatrzasnęli hełmy skafandrów i właz odskoczył z chrzęstem. Larks pierwszy przekroczył właz. Zawahał się przez moment, a potem zeskoczył wprost na wodę. Ugięła się lekko, jak dobrze sprężynujący materac.

— Rzeczywiście stoję na tym.

— Pole siłowe to pole siłowe — stwierdził pilot. — A ty jesteś irracjonalnie ostrożny. Cóż to w końcu za różnica, czy pole zawieszono jest w próżni, w powietrzu, czy w wodzie.

— Zapewne masz rację.

— Na pewno nawet. To wszystko są zwykłe, archaiczne przesady.

— No dobrze, chodźmy już — przerwał Larks.

Przeszli pas wody i stanęli na wyspie. Powierzchnia jej była ciemna, chropowata jak skała. Nie widać na niej było żadnych spawów ani szwów.

— To jakaś dziwaczna skała.

— Wygląda raczej jak teronik — stwierdził pilot. — Zresztą nie wiem, automaty nie przekazały informacji o pobranych próbkach.

— Teronik? Co to takiego?

— Nie wiesz? To tworzywo wytrzymałe tysiące stopni i wysokie ciśnienie.

— Skąd mam wiedzieć? Nic nie wiem. Nie rozumiem, po co mnie tu wysłali. Jestem przecież względem was z dalekiej przeszłości.

— Spokojnie, Larks. Oni wiedzą, co robią.

— Nie jestem o tym przekonany...

Pilot nie odpowiedział. Szedł wolno w kierunku centralnej części wyspy. Larks ruszył za nim.

— W centrum obiektu — powiedział pilot i nagle głos jego, przenoszony przez fale radiowe do

hełmu Larksa, przeszedł w dudnienie i zgrzyty.

— Co się stało?

Głośnik w hełmie trzeszczał i Larks nie mógł nic zrozumieć z tego, co mówił pilot. Wtedy właśnie zobaczył czerwony indyktor promieniowania, żarzący się w hełmie.

— Uważaj, promieniowanie! Odejdź stąd! — krzyknął i odskoczył kilka kroków w bok. Pilot pochylał się nad czymś, co na powierzchni wyspy wyglądało jak ciemniejsza plama. Potem podszedł do Larksa.

— To automat — powiedział pilot. — Jeden z naszych automatów rozbity i wprasowany w powierzchnię tej wyspy. Wprasowany na gładko... — Larksowi wydało się, że za szybą skafandra zobaczył coś jakby uśmiech na twarzy pilota. — A ty nie lubisz promieniowania, Larks?

— Raczej choroby popromiennej. Przeszedłem to kiedyś, jeszcze na Ziemi.

— Tak, w twoich czasach, gdy planowaliście swoje istnienie na dziesiątki lat, to było istotne.

— A teraz?

— Teraz?... Idziemy dalej, Larks. W centrum tego obiektu, jak donosiły automaty, jest szyb, którym można zejść w głąb.

— Szyb? A więc ta wyspa to twór istot rozumnych. To nie żadna hipoteza, tylko fakty.

— Oczywiście. Czy sądzisz, że w przeciwnym wypadku byłibyśmy tutaj?

— Ale nie mówiłeś mi o tym.

— Takie otrzymałem instrukcje. Miałem ci o tym powiedzieć dopiero na wyspie i właśnie to robię.

— Oni mi nie wierzą? Dlaczego?

— Widocznie mieli swoje powody. Widzisz, oni podejrzewają... A zresztą sam wszystko zobaczysz, gdy zejdziemy do wnętrza wyspy. Tu właśnie jest szyb.

— Schodzimy? Sami? Bez żadnego zabezpieczenia, bez automatów?

— Towarzystwo automatów byłoby niecelowe... może wręcz niebezpieczne.

— Waszych automatów?

— Tak. Do takich wniosków doszły zespoły decyzyjne bazy.

— Interesujące — powiedział Larks i zdecydował, że nie będzie więcej pytał.

— Schodzę pierwszy — powiedział pilot.

Z podręcznej torby, którą miał umocowaną na ramieniu, wyciągnął zwój niezbyt grubej liny. — Chcesz umocować linę i spuścić się po niej w głąb...

— Tak.

— Innych środków wasza technika nie przewiduje?

— Mamy stosować środki najprostsze.

— To także jedno z zaleceń tej waszej... rady decyzyjnej?

— Zespołów decyzyjnych, chciałeś powiedzieć. Te zespoły to automaty.

— I to jest ich decyzja?

— Tak. I ich zaleceń będziemy przestrzegać. Decydują o wiele sprawniej i bardziej optymalnie od zespołów ludzkich, wykorzystywanych w tym celu w twoich czasach. Po prostu wnioskujeją jedynie na podstawie realnych przesłanek.

Mówił to opuszczając się powoli w głąb szybu.

Larks nachylił się nad szybem i wtedy zobaczył klamry.

— Spójrz, tu są klamry — powiedział. — Można zejść na dno szybu bez liny.

— My zejdziemy po linie. Taka jest instrukcja.

— Ale...

— Nie dyskutuj, Larks.

Larks wzruszył ramionami, schwycił linę i po chwili stał na dnie szybu obok pilota. Z dna szybu rozchodziły się trzy korytarze dość wysokie, by mogli się nimi poruszać nie schylając głowy.

— Rewelacji tu nie ma — powiedział Larks, gdy zapalili reflektory.

— Ale jest promieniowanie.

Tak, pilot miał rację, Larks spostrzegł jarzący się ognek indykatora.

— Promieniują ściany?

— Nie, ten złom — powiedział pilot i oświetlił stertę poskręcane metalu, leżącą kilka metrów od ujścia korytarza. I wtedy Larks zobaczył chwytник, fragment automatu. Musiał zostać oderwany od korpusu automatu potężnym uderzeniem, bo metalowy przegub rozpląszczył się jak folia.

— To automat, jeden z waszych automatów — wyszeptał Larks.

— Zeszły na dno szybu. Dalej się nie przedarły — powiedział pilot i wtedy Larks usłyszał kroki.

Było to ciężkie człapanie, dochodzące z głębi jednego z korytarzy.

— Tam... tam... widzisz...? — Larks oświetlał ruchomą masę w głębi korytarza. Posuwała się wolno, dotykając ścian korytarza czymś, co przypominało giętke, poruszające się czułki.

— Nie mamy nawet dezintegratorów — powiedział pilot — nie pozwolili... dlaczego nie pozwolili? — powtórzył ze złością.

— Wracajmy na górę...

— Nie zdążymy. Automaty są szybsze i nie zdążyły.

Przywarli do ścian szybu i czekali. Najpierw z korytarza wysunęły się czułki i musnęły ich skafandry, potem wysunął się pancierz. Dwa rzędy potężnych chwytników przywierały do pancierza. Drżały one lekko, uderzając o pancierz i wydając chrzęst, który słyszeli.

— To... to automat obronny... — powiedział Larks i jeszcze silniej przywarł do ściany.

— Coś powiedział?

— Że to jest automat obronny.

— Jesteś pewien?

— Mój kosmolot miał podobne automaty... może mniej doskonałe.

— Całe szczęście — powiedział pilot i zdecydowanym ruchem odgarnął dotykające go czułki.

— Co... co robisz?

— Idziemy w głąb korytarza.

— A to...? Ten automat?

— Widzisz, że nic mi nie zrobił. Automaty, nawet obronne, nie dezintegrują ludzi.

— Myślisz, że jest to ziemski automat?

— Nie myślę. Mam na to dowód. Dotknąłem go i nie zaatakował.

Larks milczał przez chwilę, a w końcu zapytał:

— Podejrzewaliście, że to ziemski automat?

— Nie ja. Zespoły decyzyjne.

— I dlatego tu przylecieliśmy. My, ludzie.

— Tak. Sami ludzie, bez automatów. Automaty zostały zaatakowane, a przy okazji, oczywiście przypadkiem, my również moglibyśmy zostać zdezintegrowani.

— Rozumiem — powiedział Larks. — Ale dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Instrukcje. Instrukcje, których muszę przestrzegać.

— Ale po co?

— Rozpoznałeś ten automat.

— Ja?

— Oczywiście. Ja nigdy takich automatów nie widziałem. To modele sprzed kilkuset lat. Ich kształtów nie pamiętają nawet nasze mnemotrony.

— Więc po to potrzebny ci byłem ja, człowiek sprzed wieków?

— Brawo, Larks. Stajesz się coraz bardziej domyślny.

— Ale mogłeś mi powiedzieć...

— Nie mogłem ci nic sugerować.

— No tak... Człowiek sprzed wieków spełnił swoją rolę. Czy teraz odesłacie mnie na złom?

— Nie zwracaj głowy. Zbadamy tę sondę.

— Sondę?

— Tak przypuszczam. W twoich czasach ludzkość wysyłała sondy do wszystkich gwiazd wokół układu słonecznego. Były bezładne, bo szły z nadszybkością. Wtedy agregaty ciągu podświetlnego były jeszcze prymitywne i żaden człowiek nie wytrzymałby takich przyspieszeń...

Przeszli do końca korytarzem, który skończył się śluzą.

— Widzisz, archaiczna śluza wejściowa powiedział pilot. — Śluza rozwarła się gdy automaty sterujące poczuły ich obecność. — W waszych czasach wystarczyło być człowiekiem i wszystkie śluzy już stały otworem. Nasze automaty nie zdołały tu dotrzeć — powiedział pilot. — Gdybyśmy mieli tylko automaty, musielibyśmy rozłupać na pół ten kosmolot, by dotrzeć do jego wnętrza.

— A teraz?...

— Co teraz?

— Nie wystarcza być człowiekiem?

— Wystarcza. Tylko człowiek ma tyle postaci, że automaty nie zawsze go rozpoznają. W waszych czasach człowiek miał jeden kształt i kształt ten był jedyny w całym Kosmosie.

Larks spojrział na szafy ze skafandrami próżniowymi, umieszczone wzdłuż ścian, i był już pewien, że jest na ziemskim statku.

— Tu powinna gdzieś być winda łącząca śluzy ze sterownią — powiedział. — O, jest tutaj... Gdy podszedł, drzwi rozwarły się automatycznie. Weszli do środka i winda z szumem zjechała w głąb.

Sterownia była niewielka, tak jak w automatycznych sondach, w których człowiek przebywa tylko tak długo, aż gwiazdolot przekroczy orbitę Plutona i wyjdzie z płaszczyzny układu słonecznego.

— Sądzisz, że statek jest uszkodzony? — zapytał pilot.

— Nie wiem. Zaraz sprawdzę. Wywołam program kontroli lotu — powiedział Larks i nacisnął przyciski na pulpicie sterowania.

Światła zamrugały i w środku pulpitu zapłonęło wielkie rubinowe oko, a potem matowy głos powiedział:

— Rozdarcie pancerza na przestrzeni szesnastej i siedemnastej komory, uszkodzone automatyczne zabezpieczenie...

— Wiesz coś z tego?

— Tyle co i ty. Możemy zejść i sprawdzić, jeżeli nie otrzymałeś innych poleceń od tych automatów decyzyjnych.

— Zespołów — chciałeś powiedzieć. Nie, wewnątrz statku pozostawiono nam wolną rękę. Możemy już wracać, jeśli chcesz. Przylecimy tu zapewne raz jeszcze z odpowiednimi automatami, unieszkodliwimy tego automatycznego cerbera... i podniesiemy sondę w próżnię. W próżni badania kosmolotów są dużo łatwiejsze.

— Przedtem i tak trzeba będzie załatać ten otwór. Jestem kosmonautą starej daty i wolę wiedzieć, co się stało w kosmolocie, skoro już na nim jestem.

— A może...

— Powiedziałeś, że decyzja należy do nas. Chodźmy więc.

— Jak chcesz.

Zjechali windą do szesnastego poziomu i zesli wąskim, krętym korytarzem do śluz działowych.

Winda z cichym sykiem wróciła do sterowni, tak jak to przewidywał program.

— Jesteśmy na miejscu. Przypuszczam, że do siedemnastego poziomu nie ma oddzielnego wejścia

— powiedział Larks.

— Przypuszczalnie nie ma — zgodził się pilot. — Dlaczego automaty nie rozwarły jeszcze śluz?

— Zapominasz, że tam jest uszkodzony pancierz. Automaty blokują wtedy śluzy.

— Więc co zrobimy?

— Otworzymy je ręcznie.

— Można tak?

— Tylko od wnętrza statku.

— Dużo wiesz o tych kosmolotach.

— To mój zawód. Jestem kosmonautą.

Larks szarpnął dźwignię ukrytą we wnęce przy drzwiach. Śluzy rozsunęły się. Uderzył w nich strumień powietrza gwałtownie uciekającego z zamkniętych dotąd komór. Gdzieś w głębi słyszeli szum wdzierającej się wody.

— Rozdarcie musi być szerokie — powiedział pilot. — Zamknijmy śluzy, bo zatopimy cały statek.

Larks nie odpowiedział. Stał nieruchomo, wsłuchując się w trzaski płynące z głośnika jego skafandra.

— Słuchaj — powiedział w końcu — tam... tam ktoś wzywa pomocy... sygnał automatycznego wezwania pomocy... Słyszysz?

— To tylko trzaski...

— Słuchaj uważnie... teraz słyszysz?

— Złudzenie. Zamykamy śluzy, Larks.

— Nie. Słyszę wyraźnie. Któż by to mógł być?

— Pewnie automat.

— To sekwencja zarezerwowana dla człowieka, chyba również w waszych czasach.

— Więc co chcesz zrobić?

— Zejść tam.

— Po co? Przecież ten statek przyleciał z Ziemi. Nikt... nikt nie przeżyłby tego lotu bez anabiozy.... bez niczego. To musi być automat.

— Ja jednak tam zejdę.

— Zostań.

— Nie mogę. To jest wezwanie pomocy.

— Czekaj. Rozumujesz jak człowiek starożytny. Ja ci wytłumaczę...

— Potem. Zostań na zewnątrz i odblokuj śluzy, gdyby automaty zatrzęsły je automatycznie.

— Ależ Larks...

Larks nie słuchał. Minął śluzy i zapaliwszy naramienny reflektor, biegł opadającym w dół korytarzem. Czuł opływający go strumień powietrza i słyszał szum wody wdzierającej się do wnętrza statku. Sygnały w głośniku jego hełmu dudniły coraz głośniej. Potem korytarz się skończył i zobaczył ładownię. Woda była już tylko o kilka metrów niżej. Po jej powierzchni, oświetlonej snopem reflektora, pływały jakieś butle i ochraniacze. I nagle zobaczył skafander, nieruchomy kształt ludzki w skafandrze. Chwytnąjąc rękoma zaczepy mocujące ładunek zsunął się do powierzchni wody, zanurzył, odbił od ściany i popłynął do człowieka w skafandrze. Sygnały wezwania pomocy huczały

teraz w jego hełmie.

Wyjście z wody, mimo dodatkowego obciążenia, nie przedstawiało trudności, bo tymczasem woda podniosła się do poziomu wylotu korytarza. Potem ciągnął człowieka w skafandrze korytarzem w górę; zostawiając za sobą dwie smugi wody spływające z bezwładnych nóg tamtego. Wreszcie przekroczył śluzy i usłyszał charakterystyczny szcęk ich zwierających się powierzchni. Wtedy spojrzał poprzez szybę hełmu na twarz tamtego i odczuł lekki zawrót głowy. To była jego własna, martwa twarz.

— Przykro mi, Larks, że tak właśnie się stało. Powinniśmy byli cię o tym uprzedzić, ale nie przypuszczaliśmy, że może to się tak skończyć. — To był głos Toda.

Larks nic nie odpowiedział. Siedział w swoim fotelu, w swojej własnej kabinie i nawet nie był specjalnie ciekaw wyjaśnień Moda. Wiedział już, że oglądanie swojej twarzy po śmierci nie należy do przyjemności.

— Tak, powinniśmy byli cię o tym uprzedzić...

— Też tak sądzę.

— Sprawa w zasadzie jest prosta. Wiesz przecież, że przechowujemy w mnemotronach informacje równoważne osobowości i postaci każdego z nas. Nie syntetyzujemy na podstawie tej informacji ludzi tylko dlatego, że wygodniej jest nam podróżować przez Kosmos jako pęk fal elektromagnetycznych. Ale czasem zdarzają się przypadki szczególne.

— Na przykład ja.

— Ty też. Ciebie zachowujemy w postaci klasycznej jako...

— Jako pewnego rodzaju zabytek!

— Przesadzasz. Zresztą nie o to idzie. Gdy odkryliśmy ten statek-sondę, wysłaliśmy tam automaty i ciebie, poprzedniego ciebie, bo ty w obecnej postaci jesteś zsyntetyzowany według wzorca przechowywanego w naszych mnemotronach.

— I co?

— I nikt nie wrócił. Wiesz, w jaki sposób zostały rozbite automaty. Przypuszczaliśmy, że twoja rakietka została zniszczona przez miotacz sondy, zanim wylądowała. Teraz wiemy, że zniszczył ją automat i jej rozbite resztki wrzucił do oceanu, wtedy gdy ty, pierwszy ty, byłeś już wewnątrz sondy.

— Przypuszczaliście więc, że zginąłem na zewnątrz statku?

— Tak, potem zsyntetyzowaliśmy ciebie i pilota i posłaliśmy na statek bez automatów wiedząc, że wasze automaty niszczące nigdy nie dezintegrują ludzi.

— I rzeczywiście. Pod tym względem są niezawodne.

— Dobra starożytna robota.

— I nie przewidywaliście, że na statku znajdę samego siebie.

— Nie, nie rozumiem nawet, jak to się stało.

— Za to ja rozumiem — powiedział Larks. To bardzo proste. Za każdym razem, gdy moja pierwsza, a potem druga realizacja została przetransportowana na statek, robiłem to samo: badałem przyczynę uszkodzenia pancerza. Tylko za pierwszym razem, gdy otworzyłem śluzy i wszedłem do środka, woda wtargnęła do rozhermetyzowanych otwarciem śluz poziomów, dotarła do urządzeń sygnalizacyjnych i śluzy zawarły się automatycznie. Otworzyć je można tylko z zewnątrz.

— I gdy byłeś z pilotem, także zszedłeś do uszkodzonych poziomów?

— Tak.

— Godna podziwu konsekwencja.

— Odruch normalnego kosmonauty. Zresztą ten statek ma jeszcze przecieki powietrza. Atmosfera

wewnątrz nie jest czysta.

— Wiem o tym. Usuniemy je, zanim wyprowadzimy go w próżnię.

— Powiedz mi jeszcze... dlaczego... dlaczego powtórnie wysłaliście mnie dopiero... dopiero osiem dni po wyprawie mojej pierwszej realizacji?...

— Musieliśmy cię po prostu zsyntetyzować... Ciebie i pilota. To skomplikowany proces, Larks. Potrzeba nam na to ośmiu dni, dokładnie ośmiu dni... I powiem ci jeszcze jedno. Twoja pierwsza realizacja nie uwierzyła, że jesteśmy ludźmi. A ty uwierzyłeś.

— Zasługa pilota. Kopia, która tak doskonale imituje człowieka i niczym się od niego nie różni, jest po prostu człowiekiem.



# PLOXIS

Czy to naprawdę nie jest możliwe? — patrzyłem niemal błagalnie w oczy układocełnika.

— Nie, w żadnym wypadku! — Był niewzruszony.

— Ależ to przecież tylko trzy puszki. Wyłącznie do osobistego użytku.

Wzruszył ramionami.

— Mnie na tym bardzo, ale to bardzo zależy...

Tym razem przyjrzał mi się uważnie.

— Nie, to naprawdę niemożliwe — pozbył się swego oschłego, urzędowego tonu. — Wiesz przecież, że wszystkie rzeczy pozaziemskiego pochodzenia, nie wyszczególnione w żadnej taryfie, nie mogą być przewożone na Ziemię bez specjalnego zezwolenia komisji wwozowej.

— A kiedy zbiera się ta komisja...?

— Za miesiąc chyba — układocełnik odpowiedział po chwili wahania.

— Dlaczego tak rzadko?

— Biorą w niej udział sami profesorowie z różnych ziemskich ośrodków i trudno ich razem zebrać.

— A po cóż aż profesorowie?

— Żeby zdecydować, czy to, co się wwozi, nie jest niebezpieczne.

— Niebezpieczne?

— No tak. Gdyby nie oni, ludzie przywoziliby z planet wszystko, a potem byłby kłopot na Ziemi. Tak jak z tą rdzenicą, rośliną z Wenus. Przywieźli, żeby ją hodować, a ona tymczasem zaczęła wędrować...

Skinąłem ze zrozumieniem głową i wysłuchałem do końca historii o rdzenicy. Potem zapytałem:

— A może Ploxis był już kiedyś wwożony? Tylko trzy puszki...

— Nie. Nie ma w spisie... — znowu przybrał urzędowy ton i patrzył na mnie, jakbym był przezroczysty.

— No, trudno... — wyjąłem ze swego bagażu trzy metalowe puszki do złudzenia przypominające konserwy i zamknąwszy autokufer, pozwoliłem mu powędrować do rakiетки odwożącej bagaż na Ziemię.

Rakieta nasza po powrocie z Marsa krążyła od kilku godzin po ślepym, eliptycznym torze wokół Ziemi. Pasażerowie wysyłali najpierw swoje bagaże, a potem sami małymi, kilkusobowymi raketami odlatywali na ziemski kosmodrom. W wielkim bocznym ekranie obserwowałem, jak coraz to nowe rakiety, błyskając błękitnym ogniem gazów wylotowych, schodziły ku brunatnej bryle Ziemi.

Co robić? Wziąć po prostu trzy puszki jako osobisty bagaż? Niemożliwe. Niezawodne automaty układocełników odkryją je na pewno. I znowu nie pozwolą zabrać mi ich na Ziemię. A zostawić puszek w rakiecie także nie mogłem. Nie mogłem zawieść zaufania Borda. Bord był czymś więcej niż tylko moim przyjacielem, był dla mnie autorytetem i wyrocznią.

Wszedłem do swojej kabiny. Crash był już tam i właśnie wkładał swój skafander. Uśmiechnął się do mnie, szczerząc jak zwykle swoje duże zęby.

— No co, stary, nareszcie tak jakbyśmy byli na Ziemi!

— Tak jakby...

— Coś ty taki smętny? — Crash przyjrzał mi się uważnie. — Czyżby nostalgia za Marsem? Byłby to pierwszy wypadek tej choroby w historii ludzkości — roześmiał się znowu.

I wtedy właśnie nadeszła ta decydująca chwila. Postanowiłem prosić Crasha o pomoc. Co prawda znaliśmy się tylko tak długo, jak długo trwała podróż z Marsa, ale Crash wzbudzał zaufanie.

— Słuchaj, Crash, mam kłopot, poważny kłopot — dodałem, by zgasić uśmiech na jego twarzy.

— Czy dziewczyna nie wyszła na kosmodrom? — śmiał się znowu.

— Nie, to naprawdę poważna sprawa.

— No to powiedz wreszcie, co się stało?

— Układocełnicy nie chcą mi zezwolić na wwóz Ploxisu — wymawiając nazwę, ściszyłem głos.

— Czego?

— Ploxisu.

— A co to takiego?

— Nie wiem.

— No, to wyjaśnia częściowo sprawę. Ale po co chcesz wwozić coś, o czym nie wiesz, czym ono jest?

— Bord prosił mnie o to.

— Bord, ten areograf?

— Ten sam.

— A skąd on wziął ten, no, Ploxis?

— Nie wiem.

— I co ty masz z tym zrobić?

— Oddać jego przyjacielowi Covertowi z Instytutu Areobotaniki. On już wszystko będzie wiedział.

Wyjąłem trzy puszki i postawiłem na stole.

— To właśnie to? — zainteresował się Crash.

— Tak.

— Wygląda jak konserwa. Ciekawe, dlaczego tak to opakowali?

— Pewnie, żeby nie było dostępu powietrza i światła.

— Może... A czy to jest trujące, żrące, wybuchowe?

— Chyba nie... — odpowiedź moja nie wypadła zbyt pewnie.

— Najlepiej odeślij to Bordowi z powrotem — zaopiniował Crash.

— Nie mogę. Przyrzekłem mu dostarczyć to osobiście Covertowi.

— Więc co zamierzasz zrobić?

— Nie wiem. Sądziłem, że może razem wymyślimy...

Crash zamyślił się. Potem przyjrzał się z uwagą puszkom.

— Automaty układocełników wykryją je.

Skinałem głową.

— Ale wiesz, mam myśl... — Crash wyprostował się gwałtownie. — Przypominają do złudzenia puszki z kompotem pomarańczowym. Weźmiemy więc skrzynkę kompotu i trzy puszki zamienimy.

— To wzbudzi podejrzenie. Nikt przecież nie transportuje kompotów z raket na Ziemię.

— Zapominasz, że sprawdzać będą automaty. Automaty się nie dziwią.

— A jeśli sprawdzać będzie człowiek...

— To odkryje zamianę. Ale z drugiej strony, czy widzisz inną możliwość przewiezienia Ploxisu?

— Nie.

— Więc nie ma się nad czym zastanawiać. Przynieś skrzynkę kompotu.

Gdy po chwili wróciłem, dźwigając skrzynkę z trzydziestoma konserwami, zastałem Crasha wpukującego jedną z moich puszek.

— Coś tam się rusza — powiedział.

Wzięłem puszkę ze stołu i przytknąłem do ucha. Początkowo nic nie słyszałem, lecz gdy

wstrząsnąłem puszką, zabulgotała i coś jakby poruszyło się w środku.

— Zostaw to lepiej — powiedział Crash. Diabli wiedzą, co ten twój Bord mógł tam wpakować do środka. Może jakieś wyżej zorganizowane beztlenowce marsjańskie?

— Niemożliwe, przecież mogłyby się na Ziemi błyskawicznie rozplenić...

— Gdyby to było coś zupełnie zwykłego, ten Ploxis, Bord posłałby go zwyczajnie kosmopocztą.

— Oddajmy to w ręce Coverta, a tej miary specjalista żadnego głupstwa nie robi.

— Zapewne.

Crash odkleił z trzech konserw kolorowe etykiety. Podałem mu puszki z Ploxisem. Po naklejeniu etykietek niczym nie różniły się od zwyczajnego kompotu.

— Trzeba je jakoś zaznaczyć — dodał Crash. Ostatecznie wydrapaliśmy na ich dnach znak w kształcie trójkąta.

— A teraz pijmy kompot — zaproponował Crash.

— Ja nie lubię pomarańczy.

— Ale pić musisz. Chcesz zdekonspirować całe przedsięwzięcie? — zaśmiał się Crash, otwierając ostatnią konserwę. — Pod nasz Ploxis! — dodał i podniósł puszkę do ust.

Piliśmy kompot, podczas gdy automat wynosił naszą skrzynkę. Potem zesliśmy na dół do słuz rakiety. W tunelu wyrzutni czekała już na nas rakietka. Obok niej stał układocełnik. Jego automaty sprawdzały nasze osobiste bagaże. On sam przypatrywał się nam uważnie, zbyt uważnie. A może odkryli już Ploxis wśród pomarańczowych kompotów, może odczytali nadawcę w pamięci autokufrow i układocełnik za chwilę mnie zapyta: „To ty jesteś właścicielem tych trzech puszek?” Nie odpowiem nic, bo gdy tak zapyta, to znaczy, że wie na pewno, że nim jestem, i żadne tłumaczenia nie pomogą. A prawo ziemskie surowo karze za planetarny przemyt. Tym bardziej że tam jest Ploxis... Lecz co to jest ten Ploxis? Jaka może być kara za przemyt Ploxisu? Myśl ta nie opuszczała już mnie do końca odprawy. Nagle celnik powiedział coś do Crasha, czego nie dosłyszałem. Crash zaprzeczył.

— A ty? — zwrócił się do mnie celnik.

— Co ja? — bąknąłem zmieszany.

— Czy nie przewozisz nic, co byłoby sprzeczne z ziemskim statutem wwozowym?

— Nie... nic takiego...

— No, to możecie lecieć — układocełnik obojętnie skinął nam głową.

Jedna chwila i byliśmy w rakiecie. Zatrzasnęliśmy właz, pole magnetyczne wyrzuciło nas w próżnię.

— Nasz Ploxis ląduje już na Ziemi — zaśmiał się Crash, spoglądając na zegarek.

Ja, wyciągnąwszy się wygodnie w fotelu, nie myślałem już o Ploxisie. Za półtorej godziny będę w domu, w prawdziwym, ziemskim domu...

I wtedy właśnie milczący zawsze głośnik, służący jedynie do łączności z kosmodromem w nagłych wypadkach, zachrypiał głosem dowódcy portu:

— Ogłaszam zamknięcie arowarskiego kosmoportu. Wszystkie rakiety skierować do kosmoportu w Nori...

Głośnik zamilkł, a my, minąwszy ogromną białą chmurę, wyszliśmy nad arowarski kosmodrom. Autopilot, posłuszny radiowemu wezwaniu, poderwał raketę w górę, zmienił kurs i skierował się do Nori. Kilka minut i kosmodrom zniknął za horyzontem. Czuję pustkę w głowie i strach. Chciałem zapytać Crasha, co on o tym myśli, ale wystarczyło spojrzeć na jego twarz. On wiedział to samo co ja. Przeklęty Ploxis!

Do Nori dolecieliśmy nie zamieniwszy ani słowa. Nori leży w Azji Mniejszej, a nad Azją Mniejszą tego właśnie dnia świeciło słońce. Nasza rakietka wyhamowała kilkaset metrów przed gmachem portu kosmicznego, zajmując przeznaczony dla niej kwadrat, zarysowany wielometrowej wielkości cyfrą. Gdy tylko wysiedliśmy, poderwała się jak konik polny w górę i zniknęła za wieżą kontroli ruchu.

Skierowaliśmy się ku budynkowi portu. Od betonoidalnej płyty kosmodromu, nagrzanej słońcem, bił żar. Ludzie poruszali się leniwie, w przeciwieństwie do automatów, które prawem kontrastu zdawały się niezwykle ruchliwe. Po kilkunastu krokach byliśmy złani potem. Budynek był jednak coraz bliżej, a w nim klimatyzacja, chłodne napoje i wszystko to, co w razie upału stosuje nasza cywilizacja. Budynek wychodził nam na spotkanie cieniem gigantycznej werandy, ukrytej pod bajecznie kolorowym materiałem, miarowo podnoszącym się i opadającym, spełniającym rolę wielkiego wachlarza. Na tej werandzie siedzieli ludzie czekający na przylatujących. Na nas nikt nie czekał. Jednak gdy doszliśmy do połowy werandy, zza stolika podniosło się czterech mężczyzn, wraz z czterema towarzyszącymi im automatami podeszli do nas.

Myślę, że Crash zorientował się pierwszy. Staął, rozejrzał się w obie strony, jakby szukając drogi ucieczki między stolikami, momentalnie opanował się jednak i zatrzymał, czekając na nadchodzących. Ja pojąłem wszystko nieco później, gdy byli o kilka kroków od nas. Otoczyli nas i jeden z nich zapytał mnie:

— Ty jesteś Wor?

Nie przeczyłem. Pytanie było formalnością: Wiedzieli, że to ja jestem ja, a ich automaty znały mnie lepiej niż najbliżsi przyjaciele. Ilość informacji, przekazana ich mózgom w ciągu kilku minut, była niemal równa tej, jaką życie przekazało mi w ciągu wszystkich lat od urodzenia:

— Jesteś zatrzymany pod zarzutem przemytu kosmicznego.

— To nie była moja wina... — bąknąłem.

— My o tym nie decydujemy.

— Ale naprawdę.

— Chodź z nami. Wszystko na pewno się wyjaśni.

— Za co go zabieracie? — Crash zdawał się oburzony.

— Słyszałeś.

— Ale dowody?

— Dowody na pewno są. W przeciwnym wypadku nie zatrzymywalibyśmy was w ogóle.

— Ja jednak mam prawo wiedzieć...

— W stosunku do ciebie nie ma żadnych zarzutów.

— O tym ja wiem najlepiej, ale tu chodzi o niego.

— Jeśli niewinny, sprawa dziś jeszcze się wyjaśni.

— On jest na pewno niewinny.

— Jeśli tak, to umówcie się gdzieś dziś wieczorem.

— Nie wieczorem, tylko zaraz. Lecę z wami. Muszę jedynie zawiadomić instytut o swoim powrocie.

— Nie możemy na ciebie czekać. Masz tu nasz faloadres. Możesz przylecieć, kiedy zechcesz.

Crash zapamiętał faloadres w swym podręcznym mnemotronie i niemal biegiem ruszył ku stacji dalekich połączeń wideotronicznych. Mnie poprowadzono w drugą stronę, ku bijącej żarem płycie kosmodromu. Rakietka stała niedaleko. Zanim wszedłem do jej wnętrza, stanąłem i spojrzałem w niebo, w niebieskoszare niebo upalnych ziemskich dni, z oślepiającym białym słońcem w zenicie. Podobno na Plutonie, dokąd wysyłają skazanych, Słońce jest tylko jedną z wielu gwiazd czarnego

nieba i w jego świetle skały nie rzucają cieni.

ON mieścił się w pokoju, który zamiast okien miał ekrany, w nich czasem pojawiali się ludzie mający coś do powiedzenia o sądzonym. Gdy świadkowie nie byli potrzebni, w ekranach płonęły dalekie gwiazdy zagubione w czerni Kosmosu. Może miały one obrazować wieczność, a może nicość człowieka... Nie wiem. Wiedział to zapewne wideotronik programujący to wszystko. Bo gwiazdy w ekranach były także częścią JEGO. Gdy wszedłem do tego pokoju, zobaczyłem GO od razu w szarym, wydobywającym się zewsząd i znikąd świetle. Myślałem w pierwszej chwili, że to jest człowiek, chciałem podejść bliżej i wtedy zobaczyłem, że to jest ON, czarny, nieruchomy obelisk ludzkiego wzrostu, ON — ogromny mózg znający człowieka i jego historię, znający budowę ludzkiej tkanki i prawidłowości w prądach krążących w ludzkim mózgu.

Właściwie znajdowałem się w jego wnętrzu, w potężnym gmachu zawierającym jego zespoły i zasilanie. Ten obelisk to tylko symbol, do którego może mówić sądzony. Gdyby go usunąć, człowiek mówiłby do pustych ścian i nie wiedziałby, czy one go słuchają. A sądzony musi wiedzieć, że się go słucha, że jego racje zostaną rozważone.

Stałem nieruchomo w szarym świetle nocy, aż oczy moje przyzwyczyły się do mroku i wtedy dostrzegłem Węgę płonąca w jednym z ekranów. Równocześnie ON się odezwał:

— Ty jesteś Wor?

— Tak.

— Znam ciebie. Znam twoje dzieciństwo i młodość. Dziwię się, że się spotykamy.

— Także się tego nie spodziewałem.

— Czy uznajesz się winnym?

— Nie.

ON milczał chwilę, a potem powiedział:

— Zadam ci teraz pytanie, na które odpowiesz zgodnie z prawdą. Wiesz przecież, że mnie oszukać nie można. Odkryję każdą najmniejszą sprzeczność w tym, co powiesz. Nie będzie to korzystne dla ciebie, jestem bowiem zarówno twoim oskarżycielem, obrońcą i sędzią, najbardziej obiektywnym sędzią, na jakiego stać było ludzkość.

— Wiem o tym — odpowiedziałem.

— Dobrze. Powiedz mi więc, jak długo byłeś na Marsie?

— Pół roku.

— Tęskniłeś za Ziemią?

— Tak... chyba tak.

— Widziałeś w wideotronii bazy na Plutonie?

— Tak.

— Wiesz, kto do nich leci na wieloletni pobyt?

— Wiem.

— To dobrze — milczał chwilę. — Co zatrzymano w twoim bagażu?

— Może Ploxis. Nie wiem...

— A co to jest Ploxis?

— Nie wiem dokładnie. Nazwa czegoś.

— Czego?

— Nie wiem. Można chyba znaleźć ją w akumulatorach informacji.

— Nie można.

— Szukałeś? — tym razem zapytałem ja.

— Szukałem, nie ma.

— Ja nie wiem, co to może być. Może jakiś specjalistyczny termin?

— Skąd wzięłeś ten Ploxis?

— Dostałem od Borda.

— I co miałeś z nim zrobić?

— Oddać Covertowi.

— W swoim bagażu przewoziłeś jakiś kompot, czy tak?

— Tak.

— Po co?

— Tam właśnie był Ploxis.

— Układocelnikom wydało się to podejrzane. Wysłali automat, by sprawdził zawartość puszek.

— I co?

— Jak to, nie wiesz? Przecież sam poprzednio powiedziałeś, że w twoim bagażu jedynie Ploxis mógł zostać zatrzymany.

— Tak, chyba tylko Ploxis.

— Ale jeśli się domyślałeś... wiedziałeś, jakie mogą być tego konsekwencje.

— Gdybym się domyślał, nie prosiłbym układocelnika o pozwolenie wwozu Ploxisu.

— Prosiłeś, ale może przypuszczałeś, że on nie będzie wiedział, co to jest?

— Prosiłem go, by poszukał...

— Może wiedziałeś; że nie znajdzie?

— I sądziłem, że nie znalazłszy pozwoli mi go przewieźć na Ziemię? Przecież to nonsens.

— Tak, jeżeli nic nowego się nie dowiem w tej sprawie — ON zgodził się natychmiast.

— A czego nowego możesz się dowiedzieć?

— Tego nie wiem.

— Ja ci w każdym razie powiedziałem wszystko.

— To się okaże. Zrobimy kopię twego mózgu...

— Jak to kopię?

— Wierną kopię twego mózgu, tylko zamiast komórek tkanki nerwowej użyjemy elementów nieorganicznych.

— No i co z tego?

— Taką kopią potrafiemy sterować. Jeśli wiesz coś o Ploxisie, możesz tego nie wypowiedzieć, ale engram zawierający tę informację zostanie w twoim mózgu niezależnie od twojej woli. Taki właśnie engram odszukamy w kopii i sprawa będzie wyjaśniona. Rozumiesz?

— Tak.

— Widzisz więc, że jeżeli wiesz, co to jest Ploxis, dalszy upór do niczego nie prowadzi. Pogarsza tylko twoją sprawę...

— Ale ja naprawdę nie wiem, co to jest Ploxis, naprawdę, słyszysz? — zorientowałem się, że niepotrzebnie krzyczę.

— A możesz mi powiedzieć... przepraszam zamilkł na chwilę. — Właśnie mi doniesiono ciągnął — że przybyli Crash z Covertem, by złożyć wyjaśnienia. Włączę ich zaraz na ekrany.

Rzeczywiście w tej samej chwili rozjarzyły się dwa ekrany. W jednym dostrzegłem twarz Crasha, z drugiego patrzył mężczyzna o ogromnych oczach rozstawionych szeroko w małej twarzy. Na głowie miał tradycyjny turban, którego już prawie nikt nie nosi w naszych czasach.

— Sprawa Ploxisu wyjaśniona — krzychał Crash — Covert wszystko wyjaśnił.

— Tak, Ploxis to rodzaj rośliny marsjańskiej. Bord przysłał mi ją w puszkach do dalszych badań.

Ona, to znaczy Ploxis — dodał i uśmiechnął się — jest zupełnie nieszkodliwa.

— Tej nazwy nie ma w żadnym akumulatorze informacji. Dlaczego? — zapytał ON.

— To nowa nazwa. Praca o tej roślinie nie została jeszcze opublikowana.. Jednakże w mnemotronie centralnym naszego instytutu znajdziesz tę nazwę.

— Sprawdź. Co prawda w tej chwili przyszła odpowiedź Borda identyczna z twoją.

— Pytałeś go o to? — zdziwiłem się.

— Zaraz gdy tylko podałeś mi jego nazwisko. — Wszystko dobrze, Wor, nieporozumienie się wyjaśnia — Crash, szczerząc zęby, śmiał się do mnie z ekranu.

— Rzeczywiście, informacja taka jest w mnemotronie instytutu — ON odezwał się znowu. — Czy chciałbyś coś wiedzieć jeszcze? — zapytał Covert.

— Nie. Teraz już wiem wszystko. — Pomyślałem, że Sokrates powiedział kiedyś coś wręcz przeciwnego i że ON musiał na pewno wiedzieć więcej ode mnie o Sokratesie.

— Żegnaj, Wor — powiedział ON. — Przykro mi, że musiałeś ze mną rozmawiać. Wiem, że to żadna przyjemność, ale tak się po prostu złożyło.

— Do widzenia — odpowiedziałem i jednocześnie pomyślałem, że jednak lepszym zwrotem byłoby „żegnaj”.

Spojrzałem na ekrany. Nie było już w nich nikogo. W tym, gdzie przed chwilą widziałem Coverta, jasno płonęła Wega.

Crash czekał na mnie na lotnisku przy helikopterach. Z wesołości, jaką popisывał się na ekranie, nie zostało śladu.

— Dziękuję ci — uściśnałem mu rękę. Gdyby nie twoja interwencja, co najmniej skopiowano by mój mózg.

Sądziłem, że wybuchnie śmiechem i powie jak zwykle coś zabawnego, ale Crash pozostał poważny i nagle zdałem sobie sprawę, że tak poważnego nie widziałem go od początku naszej znajomości.

— Co się stało? Od kiedy zostałeś ponurakiem? — Wor, to nie moja sprawa i chciałbym, żebyś raczej ty o wszystkim zdecydował — patrzył mi prosto w oczy.

— Jaka sprawa? — zdziwiłem się.

— Chodzi o Ploxis.

— O tę roślinkę...

— Roślinkę... — Crash uśmiechnął się jakoś dziwnie.

Czekałem, co powie, ale milczał, więc ja odezwałem się pierwszy:

— Nie rób tajemniczej miny, tylko powiedz, o co chodzi?

— Widzisz, gdy przyleciałem do Coverta, pracował właśnie w swoim ogrodzie. Powiedziałem mu, co się stało. Covert zbladł i usiadł z wrażenia na grządce między różami. Chciałem biec do jego domu i wezwać automeda, ale zatrzymał mnie. Zamknął oczy i przez kilka minut, zdaje się, intensywnie myślał. Potem powiedział, że wszystko to razem jest nieporozumieniem, które on wyjaśni. Ja poleciałem tutaj. On miał przylecieć za kilka minut. Kiedy leciałem, przyszło mi do głowy, że dobrze by było, gdyby Bord zechciał złożyć JEMU telewizytę z Marsa i wszystko wyjaśnić osobiście. Wezwałem fałę Coverta. Właśnie rozmawiał. Chodź, posłuchaj! — wciągnął mnie do kabiny swego helikoptera.

— Odtwórz — rozkazał automatowi.

Pomyślałem, że wcześniej poinformował automat, co ma odtwarzać.

— Przekazniki planetarne gotowe... — to powiedział automat przekazujący wiadomości.

— Informacja pilna na Marsa... — to już mówił Covert, podał fałę Borda. Sama treść była krótka: — Ładunek nie doleciał. Ploxis roślina, dawnej Arat. Koniec. — Chwila ciszy i zaraz Covert rzucił wezwanie: — Mnemotrony Instytutu Astrobotaniki.

— Gotowe — odpowiedziały automaty.

— W informacji dotyczącej Arat, formalnie słowo Arat zmienić na Ploxis. Koniec — Covert przestał mówić i automat odtwarzający zamilkł.

— I co ty na to? — zapytał mnie Crash.

— Więc Ploxis...

— Ploxis to roślina, której nigdy nie było.

— Ale kontrola...

— Kontrola nie ma żadnej. Nie zapominaj, że te mnemotrony są tylko mnemotronami instytutu, a nie powszechnymi. Była tam zapisana zaczęta praca naukowa Coverta o roślinie zwanej Arat. Nic prostszego niż nazwać tę roślinę Ploxis. Wiadomo od razu, co ta nazwa znaczy, i można to w każdej chwili w tych właśnie mnemotronach sprawdzić — zamilkł na chwilę.

— Ale Ploxis...

— Czeka — przerwał mi. — Jeszcze nie skończyłem. Otóż jest jeszcze Bord, dla którego Ploxis znaczy zupełnie co innego, Bord, którego o Ploxis na pewno zapytają. Donosi się więc Bordowi, co teraz znaczy Ploxis, i to jest pierwsza rozmowa Coverta.

— Tak, rozumiem. Ale... co to właściwie jest Ploxis?

— Nie wiem, ale jednego jestem pewien. To nie jest czysta historia, Wor.

— Tak, chyba masz rację...

— Reszta należy do ciebie.

Podszedł do automatu, włożył rękę do szczytowej komory i wyjął kryształ.

— W tym kryształcie zawarty jest głos Coverta. Daję ci go — wcisnął mi kryształ do ręki. Możesz o tym zapomnieć, wszystko będzie jak dawniej. Istnieje jeszcze jedno wyjście, ale ty sam musisz o tym pomyśleć, a ja na razie lecę do domu, teraz już naprawdę — uśmiechnął się po raz pierwszy od początku naszej rozmowy.

Uściskałem mu rękę i wyskoczyłem z kabiny:

Śmigło jego helikoptera natychmiast ruszyło i kabina uniosła się w górę, by zniknąć nad wierzchołkami drzew pobliskiego lasu. Zanim jednak zniknęła, zobaczyłem, jak czerwone światelko zabłysło na końcu kadłuba. Zapadał zmrok i autopilot zapalił światło pozycyjne. Było już na tyle ciemno, że nie mogłem odróżnić poszczególnych pni odległego o sto kroków lasu. Czułem jednak jego zapach. Wtedy po raz pierwszy, od kiedy opuściłem raketkę, pomyślałem, że jestem na Ziemi i że tam, gdzie mieszkam, jest teraz lato. Zaraz za moim domem zaczyna się wiklina, a dalej rzeka, wielka rzeka, po której można pływać żaglówką.

Odwróciłem się ku budynkowi, gdzie czuwał ON. Pod palcami, w zagłębieniu dłoni, czułem mały, ostry kryształ...

Nie poszedłem jednak do NIEGO. Wcześniej musiałem się dowiedzieć, co właściwie stało się w arowarskim kosmoporcie. Wróciłem do stacji terroplanów i w kilkanaście minut później byłem już w powietrzu. Gdy zobaczyłem w dole światła Arowaru, była już późna noc. Z informatora pokładowego wiedziałem, że kosmoport jest nadal zamknięty. Lądowałem na małym zapasowym lotnisku, na którym mój terroplan wyhamował z trudnością. Poza pasem, kilkadziesiąt metrów dalej, czekał już na mnie helikopter wezwany przez radio jeszcze z terroplanu. Nim właśnie poleciałem do miasta.



W Arowarze miałem kolegę Torksa. Byliśmy kiedyś razem na wstępnym kursie konstrukcji kosmodromów. Nie skończył go nawet, przeniósł się na astronawigację i w końcu został reporterem wideotronii. Spotkałem go kilka miesięcy wcześniej w bazie wschodniej na Marsie, dokąd przyleciał z wycieczką wideotroników: Zostawił mi wtedy swój faloadres. Nie przypuszczałem wówczas, że odwiedzę go w tak krótkim czasie.

Wylądowałem według faloadresu. Mieszkał w niewielkim domku, już na przedmieściu. Schodząc z płyty helikopterowej jego domu wąską, nie oświetloną ścieżką zatrzymałem się, by zapalić papierosa. Byłem nieco zdenerwowany. Nie wiedziałem, mówiąc szczerze, jak przeprowadzić tę rozmowę. Wtedy usłyszałem kroki, ktoś biegł w moim kierunku. Instynktownie usunąłem się ze ścieżki. Biegący zobaczył jednak ognik mego papierosa i zatrzymał się.

— To ty przy leciałeś tym helikopterem? — zapytał.

— Ja.

— Można ci go zabrać? Ogromnie mi się spieszy.

— Niestety.

— Odlecisz tym, który wezwałem. Powinien tu być za kilkanaście minut.

— Mnie także się spieszy. Czy wracasz od Torksa?

— Ja jestem Torks.

— Torks. Nie poznałem cię. To ja, Wor.

— Wor?! Witaj. Co cię do mnie sprowadza o tej porze? Inna sprawa, że jeszcze kilka minut i nie zastałbyś mnie. Cieszę się, że cię widzę.

— Chcę z tobą chwilę porozmawiać.

— Może poczekaś na mnie w domu? Spieszę się teraz.

— Jeśli chcesz, polecę z tobą.

Torks zawahał się jakby przez moment.

— Dobrze. Jak chcesz. Tylko nie będę ci mógł poświęcić zbyt dużo czasu. Jestem zajęty zawodowo. Mamy małą sensację lokalną.

— Co się stało?

— Jakaś przedziwna heca w kosmoporcie — chwycił mnie pod ramię i zawróciliśmy w kierunku płyty helikopterowej. — Biegnę zrobić o tym reportaż. Może wejdzie do dziennika lokalnego, a może nawet ogólnoswiatowego... W każdym razie sensacja.

Zatrzasnął za mną drzwiczki helikoptera i silnik zawarczał. Światelka domów pozostały w dole.

— Powiedz wreszcie, co się stało.

— Układocelnicy sprawdzali dzisiaj ładunki z Marsa. Coś tam otworzyli. Widziano w ich budynku obłok, biały obłok pary. Potem jeden z układocelników, który przyjechał właśnie z miasta, zaszedł do nich i zastał ich pogrążonych we śnie.

— Nie zbudzili się?

— Czekaj... Początkowo myślano, że to jakiś zamach na układocelników. Przemysł z Marsa na dużą skalę z uspieniem celników. Co prawda ostatnia taka heca zdarzyła się dwieście lat temu, ale nigdy nic nie wiadomo. Zarządzono więc alarm i zamknięto kosmoport. Zatrzymano wszystkich pasażerów, którzy przesyłali cokolwiek rakieta towarową, wiozącą ładunki z marsjańskiej rakiety. Oczywiście nic nie znaleziono.

— A celnicy?

— Obudzili się i zaczęli odpowiadać na nie wypowiedziane jeszcze pytania.

— Nie rozumiem.

— Po prostu. Wystarczyło pomyśleć pytanie i już odpowiadali. Między sobą w ogóle nie

rozmawiali na głos. Gwałtowny wzrost zdolności telepatycznych. Rozumiesz?

— O ile pamiętam, telepatia to odbiór fal elektromagnetycznych, fal wytwarzanych podczas pracy mózgu...

— W tej chwili jestem ekspertem od tych spraw. Zanim mnie spotkałeś, łączyłem się z domu z informatorem szczegółowym. Cała historia polega na tym, że fale te odbiera mózg odbiorcy poniżej poziomu szumów, bez względu na to, jak byłyby słabe, a więc można je odbierać ze znacznych odległości.

— I oni tak...

— Właśnie. I to wszyscy. Odpowiadają na pytania ludzi z innego domu, z innego miasta... Nie wiadomo niekiedy nawet, kim są pytający...

— To bez sensu. W ten sposób trudno się porozumiewać.

— Dlatego też telepatia jako środek porozumiewania się jest u ludzi w zaniku.

Usłyszałem zmianę tonu pracy silnika i helikopter zaczął opadać na dużą, ograniczoną prostokątem, płaszczyznę helidromu.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Torks. — To Instytut Bioniki, w którym przebywają pod obserwacją.

— Mogę tam z tobą wejść?

— Spróbujemy. Najwyżej cię nie wpuszczą. — Przeszliśmy płytę helidromu. Potem Torks przeprowadził mnie przez korytarz i weszliśmy do sali, którą Torks określił jako salę wykładową. Ściany tej sali stanowiły ekrany.

— To oni — powiedział szeptem Torks wskazując ludzi w ekranach.

Siedzieli nieruchomo, ubrani w białe kombinezony. Jeden człowiek w ekranie, widocznie pracownik instytutu, przechodził od jednego do drugiego, dotykając jego głowy. W końcu spojrzał na salę wprost z ekranu.

— ...tak więc w siedem godzin po zaobserwowaniu pierwszych objawów, na czole u wszystkich badanych wyodrębniają się dwa symetryczne, szybko rosnące zgrubienia. Równocześnie stwierdziliśmy wzrost selektywności odbioru... Następnym komunikatem za godzinę.

Ekran zgasł i zapłonęło światło. Dopiero teraz spostrzegłem, jak wiele ludzi jest na sali.

— Telepatyczny odbiór selektywny, to może czemuś służyć — powiedział ktoś tuż obok mnie. — Te narośle poprawiają im odbiór. Przedziwna technika — skomentował Torks.

Odwróciłem się ku niemu i wtedy spostrzegłem Coverta. Nigdy nie spostrzegłbym go, gdyby nie jego turban, którego nikt nie nosi w naszych czasach. I to była chwila olśnienia. Bez słowa podszedłem do Coverta i szarpnąłem z całej siły biały materiał upięty na jego głowie. Nie myliłem się! Pomiędzy rzadkimi czarnymi włosami z jego czoła wyrastały dwie symetryczne, stożkowate narośle. Przed uderzeniem zasłoniłem się automatycznie, z nawyku nabytego podczas długich miesięcy treningu. Nie uderzył powtórnie. Ludzie stojący wokół zacieśnili krąg, tak że nie można było nawet ruszyć ręką. Wszyscy patrzyli na jego głowę.

Przepchałem się ku wyjściu. Torks został wewnątrz i wychodząc słyszałem jeszcze jego głos wybijający się ponad szmer sali.

Wiedziałem już, do czego miał służyć Ploxis. Przechwytywanie myśli ludzi. Ludzi nieświadomych tego. Zdobywanie informacji o nich samych wbrew ich woli. Jeśli wierzyć starożytnym legendom, nie po raz pierwszy Ploxis trafiał na Ziemię...

I teraz mogłem już lecieć do NIEGO. Sięgnąłem do kieszeni i pod palcami wyczułem kryształ, który dostałem od Crasha, mały, ostry kryształ...

# BIOHAZARD

Ciężarówka zatrzymała się przed zakrętem; Wysiadł, chwycił swoją gdzieś przetartą torbę podróżną, uśmiechnął się raz jeszcze do kierowcy i ruszył w górę. Za sobą słyszał warkot ciężarówki mijającej zakręt i zjeżdżającej w dół, w dolinę. Szedł powoli i zatrzymywał się co dwieście, trzysta metrów, mimo że boczna droga, w którą skręcił, była dość szeroka i wznosiła się pod niewielkim kątem przecinając stok. Poprzez koszulę czuł na plecach ciepło promieni południowego słońca. Wokół na białych skałach rosły karłowate sosny, ale słońce wysuszyło je podczas upalnego dnia i czuł tylko zapach swego potu i ledwo uchwytną woń morza, które było gdzieś za najbliższymi wzgórzami. Minął tablicę zakazu wjazdu i drugą informującą o tym, że znajduje się na terenie prywatnym. Gdy ją mijał, ból nasilił się. Stał i z górnej kieszeni koszuli wyjął fiolkę z pastylkami. Wysypał je na rękę, wsunął jedną pod język i po krótkiej chwili wahania jeszcze połówkę następnej. Nie czekał, aż ból ustąpi zupełnie, i ruszył dalej. Dalej było więcej cienia, bo drzewa były wyższe. Jeszcze jeden zakręt i stanął przed bramą. Spodziewał się jakiejś tablicy, ale brama była anonimowa, kuta z żelaza, nieco staroświecka. Obok stała portiernia zbudowana jak wszystko tutaj z białego kamienia. Wszedł do niej i wtedy zobaczył człowieka. Tamten siedział za niewielkim, przymocowanym do ściany stolikiem, na którym stał telefon. Miał na sobie coś, co mogło być uniformem, bo guziki błyszcząły metalem, ale nie miał pasa ani czapki, tylko na głowie niewielki metalowy hełm okrywający potylicę.

— Pan był umówiony? — zapytał.

— Nie. Przyszedłem...

— Przeczytał pan tablicę?

— Oczywiście, ale...

— Proszę się zastosować do tego, co pan przeczytał, i opuścić teren. To własność prywatna.

Gdybym przyjechał tu własnym samochodem, rozmawiałby ze mną inaczej — pomyślał mężczyzna.

— To posiadłość doktora Egberga? — zapytał.

— Tak, ale powiedziałem już panu...

— Jestem przyjacielem doktora Egberga, znajomym z dawnych lat — dodał, by osłabić poprzednie zdanie, które nie było prawdą. Człowiek w uniformie nie zdziwił się, nie zawahał, tylko podniósł słuchawkę telefonu.

— Mówi brama — powiedział. — Z sekretariatem doktora proszę.

Centrala widocznie łączyła.

— Pana nazwisko? — zapytał ze słuchawką przy uchu.

— Ralf Molnar, profesor Ralf Molnar — uzupełnił, przypomniawszy sobie, że Egberg będzie go pamiętał jako profesora.

Odźwierny pozostał obojętny, tak jakby anonsowanie profesorów przychodzących pod bramę z siwiejącym dwudniowym zarostem było jego codzienną czynnością. Potem podał jego nazwisko i czekali obaj. Molnar oparty o mur, tamten nieruchomo wpatrując się w jakiś punkt na murze.

— Tak. Przyjdą po pana — powiedział w końcu. — Proszę zostawić swoje rzeczy.

— Moje rzeczy?

— Tak. Przyniesiemy je panu później. Tu są takie zwyczaje — dodał, jakby to wyjaśniało wszystko.

Molnar wzruszył ramionami i pchnął nogą swoją torbę w kierunku odźwiernego. Wtedy na ścieżce usłyszał kroki. Odwrócił się. To była dziewczyna, wysoka dziewczyna w letniej sukience bez rękawów. Tyle zauważył.

— Doktor Egber prosił, abym pana przywitała w jego imieniu. Mam się również panem zaopiekować, profesorze, i zapytać, czy zostanie pan u nas na dłużej...

— Zobaczę. Nie wiem jeszcze.

— W każdym razie do jutra na pewno. Jest już późno. Zresztą doktor zaprasza pana na kolację.

Szedł teraz za nią wykładaną kamieniem aleją, wśród gęstych, nie znanych mu krzewów. Musiały być tu specjalnie sadzone — pomyślał patrząc równocześnie na długie, mocno umięśnione, a mimo to smukłe nogi idącej przed nim dziewczyny. Znowu poczuł ból i ucisk w piersi, za mostkiem, ale nie zatrzymał się. Dom musiał być blisko. Rzeczywiście, wychodził w ogród wielką nie oszkloną werandą i nagle Molnar zdał sobie sprawę z tego, jak duży jest to dom. Jego wielkość maskowała zieleni, drzewa wpychające swe gałęzie wprost w okna i pnącza wspinające się po ścianach, sięgające pod sam niemal dach.

— Będzie pan mieszkał na pierwszym piętrze, profesorze — powiedziała dziewczyna, gdy wchodzili do domu.

Szła wprost ku schodom i wtedy Molnar zatrzymał się na chwilę. Stał przed wielkim, ciemnym obrazem oświetlanym przez niskie, czerwone promienie wieczornego słońca, ale nie widział obrazu — czuł tylko ból. Dziewczyna także zatrzymała się na chwilę. Nie powiedziała nic, tylko podeszła do windy i wcisnęła klawisz wezwania. Nie patrzyła chyba na niego, a jednak nie mógł się zdecydować na wyjęcie fiolki. Z wolna ból ustępował i widział już teraz monstrualną ośmiornicę sięgającą na obrazie dziesiątkami macek po żaglowiec idący pełnym wiatrem po wzburzonym morzu.

— Jest już winda, profesorze — powiedziała dziewczyna.

Chciał powiedzieć, że niepotrzebnie ją wzywała, ale nie powiedział nic. Wjechali na piętro i przeszli korytarzem gdzieś w głąb domu. Wygląda to jak hotel — pomyślał Melnar korytarz i dziesiątki drzwi. Drzwi bez klamek — dodał, zdając sobie równocześnie sprawę, że to nie ma sensu. — Normalny, duży dom.

— To tutaj — powiedziała dziewczyna i przepuściła go pierwszego.

Stał w pokoju, gdzie znajdowały się wszystkie niezbędne sprzęty oraz wielki telewizor. Na łóżko nie spojrzął nawet. Spał wszędzie dobrze, tak jak dawniej w młodości, a nie był tak wysoki, by niedostateczna długość łóżka mogła być problemem.

— Łazienka jest tutaj — dziewczyna uchyliła drzwi.

— A moje rzeczy?

— Będą zaraz.

Spostrzegł, że patrzy na niego i uśmiecha się. — Ciekawe, ile ma lat — pomyślał — na pewno wygląda na mniej niż ma w istocie.

— Doktor Egberg odezwie się wkrótce do pana.

— Odezwie się?

— Tak. Zapewne złoży panu telewizytę. Oczywiście zapowie się wcześniej.

— Ach, tak?

— Gdyby pan czegoś jeszcze potrzebował, proszę mnie zawołać.

— Zawołać?

— Mam na imię Mag.

— Ale jak zawołać?

— Panno Mag... albo po prostu Mag,

— Tu, w tym pokoju?

— W pokoju albo w łazience. Trochę głośniej niż pan zazwyczaj mówi, tak żeby dyskryminatory przepuściły.

— Tak, rozumiem — powiedział Molnar. Coś zaszurało za drzwiami i odezwał się brzęczyk umieszczony gdzieś u sufitu.

— Są już pana rzeczy — powiedziała dziewczyna. Uchyliła drzwi i sięgnęła po stojącą za nimi torbę.

— Po co to wszystko. Mogłem ją sam przynieść...

Nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się raz jeszcze i wyszła. Wtedy zobaczył w miejscu, w którym przed chwilą stała, jej sandał. Zgubiła sandał i nie zauważyła tego. Podniósł go z podłogi i szarpnął drzwi. Przez moment stawiała opór a potem otworzyły się.

Zupełnie jakby podejmowano decyzję, że mogą się otworzyć — pomyślał. Na korytarzu nie było nikogo. Stał przez chwilę z sandałem w ręce i nagle uświadomił sobie, że przez cały czas, od kiedy wszedł do tego domu, nigdzie nie spotkał nikogo.

W godzinę potem, ogolony, wykąpany i przebrany w wyjętą z torby koszulę, siedział w niezbyt wygodnym fotelu i patrzył w mrok za oknem. Klimatyzacja bezgłośnie tłoczyła chłodne powietrze, powietrze o zapachu soli i wodorostów, i przez chwilę wydawało mu się, że jest to prawdziwy powiew wieczornej bryzy, zanim nocą zmieni swój kierunek. Drzewa za oknem były nieruchome i widział tylko ruchliwe wielokąty nietoperzy na tle jaśniejącego jeszcze nieba. Zanim usiadł w fotelu, próbował otworzyć okno, ale zasuwy nie drgnęły nawet, mimo że napierał na nie z całej siły. Jestem zbyt słaby — pomyślał i zrezygnował, bo po wysiłku przychodził zawsze ból.

Siedział nieruchomo i myślał o portowej dzielnicy, w której ostatnio mieszkał, małym pokoiku (z jednym oknem), do którego szło się po stromych jak drabina schodach, o barce dwie przecznice dalej, gdzie siadywał popołudniami, i codziennej drodze do pracy rankiem wąskimi zakurzonymi uliczkami. O instytucie i dawnych czasach nie myślał nigdy.

— Dobry wieczór, profesorze — usłyszał głos tuż za sobą i odruchowo odwrócił się.

W pokoju nie było nikogo, tylko na matowym dotąd ekranie zobaczył twarz. To był Egberg, poznał go od razu, mimo tych kilkunastu lat, które minęły od czasów, gdy widywał go codziennie w instytucie. Te same szeroko rozstawione ciemne oczy i szerokie zrosnięte brwi.

— Cieszę się, że pana widzę, że mnie pan odwiedził.

— Cóż, prawdę mówiąc nie miałem innego wyjścia. Inaczej nie przyjechałbym tu.

— Widzę, że się pan nic nie zmienił przez te wszystkie lata. Zawsze mówił pan to, co chciał pan powiedzieć, w sposób najprostszy. Takim właśnie pana pamiętam.

— Domyśla się pan zapewne, po co przyjechałem?

— O tym może później. Zjemy razem kolację. Pamiętam, że lubił pan pstrąga z pieczarkami. Zawsze na wtorkowym obiedzie u Petty'ego.

— Od tych czasów zmieniły mi się gusty.

— Poleciałem jednak przygotować tę potrawę. Pstrągi sprowadzamy tu samolotami.

— Podziwiam pana pamięć.

— Byłem wtedy w tym wieku, gdy zapamiętuje się prawie wszystko. A wtorkowy obiad z panem to był szczyt marzeń każdego z nas. No więc oczekuję pana. Moja sekretarka za chwilę po pana przyjdzie — ekran zmatowiał.

Pstrągi u Petty'ego. Zapomniałem, że kiedykolwiek je jadłem — pomyślał Molnar.

— Pani sandał, Mag. Zgubiła pani sandał powiedział, gdy weszła.

— Nie szkodzi, mam ich dużo. Ja często gubię sandały — powiedziała.

— Jestem roztargniona... — dodała, gdy spostrzegła, że patrzy na nią uważnie. — O, widzi pan, mam już nowy!

Podał jej sandał, a ona wzięła go jakoś niezdecydowanie, co Molnar spostrzegł i zapamiętał.

— Doktor Egberg czeka — powiedziała. Przeszli znowu tym samym korytarzem i zeszli na parter. Korytarz oświetlały małe, żółto świecące lampki ze staromodnymi żarówkami. Wygląda to jak hotel gdzieś z początku wieku — pomyślał Molnar. Jadalnia, do której weszli, oświetlona była w ten sam sposób. Stół nakryty na dwie osoby, nakrycia ustawione naprzeciw siebie, tak że jedno pozostawało nieco w mroku. Znam Egberga, to ja będę siedział w pełnym świetle — pomyślał i spojrzał na ciemny, wieczorowy strój doktora. W swoich starych spodniach poczuł się przez chwilę nieswojo. Ale był to tylko moment.

— Naprawdę cieszę się, że pana widzę — powiedział Egberg i wskazał mu miejsce, które przewidywał.

Usiedli i wtedy Molnar spostrzegł, że Egberg też już nie jest młody. Był szpakowaty, właściwie prawie siwy, tą siwizną brunetów, która zaczyna się koło trzydziestki. Ale Egberg był starszy. Gdy widział go po raz ostatni, miał dwadzieścia kilka lat.

— Trafił pan tutaj do mnie bez trudu?

— Pana lecznica to znany ośrodek. Znany na całym kontynencie.

Egberg skrzywił się lekko.

— Raczej instytut, profesorze. To, że czasem przyjmuję kilku zamożnych pacjentów, o niczym nie świadczy. Z czegoś muszę utrzymać to wszystko. Ale przede wszystkim instytut. Prowadzimy interesujące prace, które w pewnym zakresie są kontynuacją tego, nad czym kiedyś pracowaliśmy wspólnie.

— Ja już nie mam z tym od dawna nic wspólnego. Na szczęście nie mam.

— Widzę, że pan już nie operuje — Egberg patrzył na dłonie Molnara.

— Nie jestem ani chirurgiem, ani neuronikiem. Dziś nie utrzymałbym nawet skalpela podniósł swoje dłonie tak, żeby tamten mógł się im przyjrzeć. Wiedział, że są spękane, z czarnymi śladami smaru w załamaniach skóry.

— Mówiono mi, że w ogóle porzucił pan nasz zawód. Początkowo spodziewałem się pana spotkać na jakimś kongresie, konferencji...

— Cóż bym tam robił? Wtedy skończyłem z tym wszystkim definitywnie.

Za to czytywałem o pana sukcesach w prasie codziennej, obok sportu i kroniki wypadków — dodał, by tamten nie zrozumiał tego inaczej. Podano zimne przystawki. Człowiek, który im usługiwał, robił to niezręcznie. Był to potężny mężczyzna, z trudnością mieszczący się w swym ubraniu. Molnar wyobraził sobie pięść tamtego trafiającą go w żołądek.

— A myśmy pana wspominali wielokrotnie — Egberg patrzył w jakiś punkt nad głową Molnara:

— Chociaż pana decyzja nie mogła niczego zmienić, był to niewątpliwie dowód dużej odwagi.

— Nie przesadzajmy. Po prostu w pewnym momencie zrozumiałem, że nie ma tam dla mnie miejsca. Nic więcej.

— Niewiele ludzi tak by postąpiło. No; zdrowie pana, profesorze. Pije pan, prawda?

— Jeszcze niekiedy piję. Wysilek woli koncentruję na niepaleniu — podniósł kielich białego wina.

Gdy podano pstrąga, zdecydował się wreszcie. Dawniej poczekałby z tym do kawy, ale pomyślał, że teraz zwyczaje świata, do którego już nie należał, nie obowiązują go dłużej.

— Domyśla się pan, doktorze, dlaczego pana odwiedziłem? — zapytał.

Tamten skinął głową.

— Niech się panu nie wydaje, że przyszedłem po pierwszych objawach.

Jestem po dwu zawałach i trzeci wydaje mi się kwestią najbliższych dni. Pozostałem trochę lekarzem. Z tego trzeciego nie wyjdę. Przy charakterystyce moich tkanek przeszczep nie wchodzi w

rachubę. Prawdopodobieństwo powrotu do normalnego życia — prawie żadne. A wegetować jeszcze rok czy dwa w szpitalu... To mnie nie interesuje.

— Chce pan, jednym słowem, dostać sztuczne serce?

— Właśnie.

— I stać się cyborgiem?

— No... tak.

— Przy pana poglądach na tę sprawę?

— Doktorze. Sam wszczepiałem pierwsze modele tych urządzeń. Moje zastrzeżenia zawsze dotyczyły mózgu i tylko mózgu. Chyba pan o tym pamięta.

— Oczywiście. Był pan znanym orędownikiem limitowanej cyborgizacji. Serce — świetnie, wątroba czy nerka — wspaniale, ale wara od mózgu. To były pana poglądy, profesorze.

— Tak, i nie zmieniłem ich.

— Gdyby je pan wtedy przeforsował, gdyby się panu udało, nasz instytut byłby dziś prowincjonalną, placówką bez znaczenia, a ja... ja przeszczepiałbym może serca w jakimś podrzędnym szpitaliku.

— Zrobił pan wtedy wszystko, żeby mi się nie udało.

— To prawda. Ale to nie jest ważne. Gdybym to nie był ja, byłby ktokolwiek inny. Postępu nie można zahamować.

— Jeżeli to jest postęp?...

Egberg nie odpowiedział. Dopił swój kieliszek wina i chwilę milczeli.

— Więc wie pan już, doktorze, o co mi chodzi — powiedział Molnar i odsunął pełny jeszcze talerz. Czuł narastający, gniotący ból. Nie wolno mi myśleć tak o tych sprawach. Nie jestem już profesorem. Nie mam z tymi problemami nic wspólnego. Jestem zwykłym starym elektromechanikiem z warsztatu żeglugi przybrzeżnej, który chce mieć wszczepione sztuczne serce.

— Dlaczego wybrał pan mnie akurat, mój instytut?

— Z tych kilku, w których można to zrobić, na tej półkuli robi to pan najlepiej. Zresztą gdzie indziej nie miałby żadnych szans. Po prostu brak pieniędzy, doktorze.

— Są jeszcze normalne kliniki...

Wiem, co chce pan powiedzieć. Tak, tam przyjęliby mnie może nawet za darmo. Ale musiałbym podpisać zobowiązanie, że zgadzam się na eksperymentalne metody i wszystko, co się z tym wiąże. A to jest może niezupełnie jawna, ale jakaś forma doświadczeń na człowieku. Poza tym, jaką mi oni dają gwarancję, że po tych eksperymentalnych metodach będę sprawnym człowiekiem. A mnie nie zależy na byle jakim przeżyciu. Chcę pływać, wiosłować, biegać po schodach, chcę żyć naprawdę.

— Zmienił pan zainteresowania. Dawniej tygodniami nie opuszczał pan instytutu. Mieszkał pan tam prawie.

— To, co było kiedyś, nie ma żadnego znaczenia. Wie pan, co teraz robię? Konserwuję automatyczne urządzenia nawigacyjne na statkach, które pływają od portu do portu i rozwożą drobnicę. Kończę pracę i resztę czasu mam dla siebie. Żadnych rozmyślań ani problemów. Czasem jakaś książka...

— Tak, rozumiem. Wolałbym, żeby pan miał pieniądze. Wtedy ja nie miałbym żadnych problemów. Zwyczajny pacjent...

— Wtedy zapewne nie zwróciłbym się do pana.

— Jest pan przynajmniej szczery, profesorze. — Zastanawiałem się długo, zanim do pana przyszedłem. Myślałem o drugiej półkuli. Tam robią to za darmo. Kiedyś, gdy byłem jeszcze profesorem Molnarem, zrobiliby to na pewno, ale dziś... Dziś z trudnością zebralibyśmy pieniądze na

podróż.

— Rozważył więc pan wszystkie możliwości i zostałem ja.

— Właśnie.

Egberg nie odpowiedział. Talerze zostały tymczasem zmienione. To, co podano, było pieczenią z sarny, ale Molnar już nie jadł. Czuł, jak ból nasila się i promieniuje za obojczyk. Egberg nie nalegał. Jadł sam szybko i obaj milczeli.

— Uważa pan, że teraz moja kolej? — zapytał w końcu Egberg.

Molnar milczał.

— Nie odpowiem panu tak po prostu. Muszę się zastanowić...

— Oby nie za długo. Mógłbym tutaj panu umrzeć. Nie, nie sędzę, żeby miał pan jakieś kłopoty, nawet gdyby sprawdzili, kim byłem i co nas, mówiąc oględnie, kiedyś dzieliło. To w końcu dawne sprawy. Na wszelki wypadek w moich rzeczach jest adres mego lekarza. Zaświadczy, iż fakt, że żyłem tak długo, jest i tak znacznym odchyleniem od tego, czego należałoby oczekiwać.

— Dobry specjalista?

— Cóż, prowincjonalny lekarz w średnim wieku, ale i przypadek nie jest trudny.

— Mam już ten adres. Jutro otrzymam wszystkie dane, jakie on posiada.

— Przeszukał pan moje rzeczy.

— Jak pan widzi. Zresztą nie ja osobiście.

— Przynajmniej pan też jest szczery. To coś nowego. Nie przypuszczałem, że przychodzi to z wiekiem.

— Pan mnie zawsze źle oceniał, profesorze. Nigdy nie zwalczałem pana osobiście. Zwalczałem tylko pana poglądy.

— Rezultat był ten sam. Nie wracajmy zresztą do tych spraw.

— Słusznie. Czy napije się pan kawy? Moim zdaniem nie może to panu zaszkodzić.

— Zgoda.

— Przejdźmy więc do mego gabinetu.

Kawa i koniak już na nich czekały na niskim stoliku, ustawionym obok wielkich, krytych skórą foteli. Światło było żółte, przyćmione, jak w całym domu. W głębi Molnar zobaczył w mroku coś, co przypominało wielki pulpit sterujący. Pulpit był ciemny, tylko prawie na jego skraju błyskało pojedyncze czerwone światło.

— Przepraszam, profesorze, na moment. Coś się jednak w instytucie dzieje. — Egberg podszedł do pulpitu, nad którym w tej samej chwili rozbłysnęły dwie jasne, promieniujące dziennym światłem lampy. Na ekranie pojawiła się twarz człowieka w białym kitlu.

— Co nowego, Dorn? — zapytał Egberg.

— W porządku. Tylko szesnastka jest niespokojna. Dlatego niepokoiłem pana.

— Próbowaleś dać napięcie polaryzujące?

— Tak. Nie pomaga.

— Dobrze, zaraz zobaczę — powiedział Egberg i odwrócił ekran tak, że Molnar nic już nie widział. Trzasnął przełącznik i Molnar usłyszał wycie, monotonne, niskie, prawie nieczłowiecze. Wstał i uważając, by nie potrącić stołu, podszedł do pulpitu. Egberg, pochylony nad ekranem, stał odwrócony do niego plecami. Był wyższy od Molnara i zasłaniał część ekranu. W pozostałej zobaczył jednak Molnar rękę kobiety, może dziecka. Dłoń rozwierała się i zaciskała kurczowo, potem było przedramię, a dalej metal, dziwna spleciona siatka prężąca i napinająca się w takt skurczów dłoni. Patrzył chwilę na rękę, a potem spojrzał w głąb ekranu. Tam, w wielkim przezroczystym kloszu pływał mózg. Nie mógł się mylić, był neuronikiem. Nagle wycie ustało, ekran



zgasł. Egberg odwrócił się i patrzył z góry na stojącego tuż przed nim Molnara.

— To był mózg — powiedział Molnar.

— Oczywiście.

— I ręka człowieka.

— Ręka była człowieka, ale mózg małpy. Steruje ręką człowieka jako urządzeniem lepiej wyspecjalizowanym od kończyn małpy. Podwójny układ hybrydowy.

Egberg zgasił światła nad pulpitem sterującym i Molnar widział już tylko fotele, stoliki i parującą kawę.

— Proszę, niech pan siada, profesorze. Prawdziwy naukowiec jest zawsze ciekawy, nieprawdaż?

— Ale po co... ten układ?

— Jakieś najprostsze usługi... podawanie płaszczy w szatni, zawijanie w papierki cukierków. Wszędzie tam, gdzie nie wymaga się nadmiaru myślenia, a ręka człowiecza jest sprawna... lub mile widziana. Gdybym jechał na jesienny kongres neuroniki, ustawiłbym tego cyboroga u wejścia i podawałby wszystkim wchodzącym dłoń.

— Obłądny pomysł.

— Ma pan rację. Może w nie najlepszym tonie, ale reklama murowana. Niestety nie jadę na kongres...

Pili teraz kawę w milczeniu. Niepotrzebnie tu przyjechałem — pomyślał Molnar. — To było do przewidzenia, że nie da mi sztucznego serca. Zapewne myśli teraz, w jaki sposób mi odmówić, tak żeby później nie mieć do siebie żalu. Chociaż czy taki człowiek miewa w ogóle do siebie samego żal o cokolwiek, co zrobił, a tym bardziej o to, czego nie zrobił. Potem pomyślał o swoim metalowym łóżku, chrobocie owadów w ścianach swego domu i wyciu syren statków wychodzących w morze.

— Pójdę już chyba do swego pokoju — powiedział — i jutro rano odjadę.

— Ależ profesorze, nie skończyliśmy naszej rozmowy.

— Obawiam się, że wynik jej i tak jest przesądzony.

— Przecież nie dałem jeszcze panu odpowiedzi.

— W tej chwili wydaje mi się to mniej ważne. — Zawsze pod wieczór ogarniają nas wątpliwości, których nie mamy rano. Dobranoc, profesorze. Moja sekretarka pana odprowadzi.

— Ta, co gubi sandały...

— Tak. Jest pan spostrzegawczy, profesorze — dodał po chwili.

Mag już stała w drzwiach.

— Dobranoc — powiedział Molnar i wyszedł za Mag.

Gdy został sam w pokoju, próbował otworzyć okno, bez rezultatu, tak jak poprzednio. Chciał wyjrzeć na korytarz i zawołać Mag, by mu pomogła, ale drzwi nie ustąpiły. I wtedy po raz pierwszy pomyślał, że stąd już nie wyjdzie. Mógł zawołać Mag czy Egberga, ale pomyślał o gabinecie i pulpicie, na którym zapali się czerwone światelko. Zrezygnował. Zbudziło go pukanie. Delikatne pukanie do drzwi jak w zwyczajnym domu. Za oknem świeciło słońce i zaczynał się codzienny upał trwający tutaj aż do późnego popołudnia.

— Tak, proszę — powiedział i podciągnął prześcieradło z kocem, którym był nakryty, pod samą szyję.

Weszła Mag i przyniosła tacę ze śniadaniem. Poczł zapach kawy.

— Dziękuję. Dlaczego jednak pani, a nie tamten...

— Ja opiekuję się panem. Myślałam, że robię to dobrze.

— Wyśmienicie. Poproszę jeszcze panią o otworzenie okna.

— Teraz jest upał i pył w powietrzu. Może wieczorem...

— Wieczorem już próbowałem.

— Ach, to pewnie jest pokój izolowany.

— Izolowany?

Nie odpowiedziała.

Jest speszona — pomyślał Molnar — obawia się, że powiedziała już za dużo.

— Pani nie chce mi odpowiedzieć, Mag.

— Proszę zapytać doktora Egberga. To przecież pana przyjaciel...

— Tak, oczywiście. Zapytam.

Widział ją po raz pierwszy w pełnym dziennym świetle. Wtedy przy bramie był zbyt zmęczony, by się jej przyjrzeć. Naprawdę ładna dziewczyna. — Z tych, które nie zwracają na siebie uwagi, są zawsze w drugim szeregu pomyślał i poczuł nieokreślony żal, który odczuwał niekiedy w ostatnich latach, gdy widział dziewczynę taką jak ta.

— Przyjdę do pana po śniadaniu. Doktor Egberg chciałby się z panem zobaczyć.

Skinał głową, już pochylony nad tacą. Czekał, aż wyszła, a potem podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Drzwi poddały się po tej drobnej chwili, która potrzebna jest elektromechanicznemu sterowaniu do podjęcia decyzji. Potem wrócił do śniadania. Był głodny i chciał mieć coś w żołądku przed kilometrami drogi, które go czekały. Ogolił się jeszcze, zebrał swoje rzeczy i wsunął do torby. Był zdecydowany. Wyszedł na korytarz, a potem schodami w dół. Tak jak przypuszczał, nie spotkał nikogo. Alejka wiodąca do bramy była teraz w pełnym cieniu, bo słońce zasłaniał dom. Szedł miarowym krokiem, który odliczał w myśli, Nie za wolno i nie za szybko. Gdy dochodził do bramy, naprzeciw wyszedł mu odźwierny. — Ten sam co wczoraj — pomyślał Molnar. Chciał go wyminąć, ale tamten schwycił go za rękę.

— Dokąd? Nie wolno.

Nie odpowiedział, tylko wolną ręką z całej siły uderzył tamtego w żołądek. Już w momencie uderzenia wiedział, że to, w co trafia, nie jest ciałem. Odźwierny prawie się nie poruszył. Nie zmienił nawet wyrazu twarzy. Molnar poczuł tylko, że palce odźwiernego jak metalowe szczytce rozgniatają mu ramię. Upuścił torbę. Tamten pchnął go lekko w pierś i puścił. Molnar zatoczył się.

— Nie wolno — powtórzył odźwierny.

Przejdę. Muszę przejść — pomyślał Molnar. Chciał zrobić krok w kierunku odźwiernego i nie mógł. Przyszedł ból taki, że nic poza nim nie było. Nie chciał upaść. Zacisnął zęby. — To przejdzie, zaraz przejdzie. — Potem widział już tylko wierzchołki sosen. Uderzenia upadku nie poczuł nawet. Wierzchołki sosen były rozmazane i coraz bardziej zlewały się z tłem nieba.

Gdy otworzył oczy, Egberg pochylał się nad nim. Ból, który znał i którego nadejście bezbłędnie rozpoznawał, znikł. Piekła go tylko skóra, gdzieś z wierzchu na klatce piersiowej. Spojrzał tam, ale był przykryty po szyję i zbyt słaby, by się poruszyć.

— Już wszystko dobrze — powiedział Egberg. — Miał pan szczęście, profesorze.

— Szczęście?...

— Gdyby nie to, że jest pan tu, w instytucie, już by pan nie żył. I tak ledwo zdążyłem. — To był już koniec.

— Tak.

— A teraz?

— Ma pan sztuczne serce:

— Więc jednak?

— Ratowałem pana życie.

— Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

— Ja też.

Mówienie męczyło go. Leżał nieruchomo i patrzył w sufit. Egberg milczał także. Molnar czekał, aż odejdzie.

— To trwało cztery, może pięć minut, zanim przywróciłem panu krążenie — powiedział jeszcze.

Jeszcze parę minut i byłbym odkorkowany pomyślał Molnar. — Wrak człowieka, którego komórki mózgu uległy rozpadowi funkcji.

Egberg zawahał się.

— Był pan lekkomyślny, profesorze, z pana sercem...

— Chciałem wyjść. Odejść stąd — powiedział cicho Molnar.

— Mógł mnie pan uprzedzić.

— I zostać w zamkniętym pokoju... izolowanym, jak pan to nazywa.

— Blokada przypadkowo włączyła się na noc.

A więc Mag powiedziała mu — pomyślał Molnar.

— Nie wierzę w takie przypadki, Egberg.

— Nie potrafię pana przekonać. Ale jak pan widzi — obawy były chyba nieuzasadnione... — Nie wiem.

— Żyje pan przecież!

— To fakt...

Egberg zawahał się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie powiedział już nic i wyszedł. Molnar przymknął oczy. — Teraz potrwa to kilka dni, zanim będę mógł stąd wyjść — pomyślał. — Nawet przy obecnych metodach szybkiego tworzenia blizn to musi trochę potrwać. I jednak uratował mnie. W tych warunkach nikt, nawet ja sam nie mógłbym mieć do niego pretensji, gdybym tu umarł. Widocznie jednak chciał mi dać to sztuczne serce. Pomyślał jeszcze o blokadzie drzwi i nie był już tego tak pewien. Potem zasnął.

Obudził się w nocy i czuł pragnienie. W pokoju było ciemno, paliła się tylko mała nocna lampka na stoliku przy łóżku. W jej świetle zobaczył Mag. Siedziała na fotelu, tym samym, niezbyt wygodnym, w którym jeszcze wczoraj sam siedział. Drzemała.

— Mag, panno Mag... — powiedział to cicho, a jednak się obudziła.

— Jak się pan czuje? — zapytała również szeptem.

— Świetnie — starał się do niej uśmiechnąć. — Napiłbym się wody.

— Proszę — podała mu kubek. Płyn miał smak soku pomarańczowego z dodatkiem czegoś, czego smak trudno było mu określić.

— Boli? — zapytała.

— Już nie.

— Goi się dobrze. Wieczorem doktor Egberg oglądał pana.

— Nie zbudziłem się nawet?

— Jest pan pod działaniem preparatu Brotkasa. To daje świetne wyniki — dodała.

— Jest pani, jak widzę, również wykwalifikowaną pielęgniarką.

— Sekretarką, asystentem i wszystkim. Ciekawa jestem, jaka będzie pana rola.

— Rola?

— No tak. Jest pan przecież nowym obiektem na farmie Egberga. My tak nazywamy między sobą jego instytut.

— Nie rozumiem.

— Nie mówił z panem?

Odruchowo chciał zaprzeczyć, ale pomyślał, że wtedy niczego więcej się od niej nie dowie.

— Wspominał tylko — powiedział.

— Pewnie dostanie pan coś ciekawszego ode mnie. Jest pan profesorem. Był pan kiedyś kolegą Egberga...

— Nawet jego szefem.

— Właśnie. Pewnie dostanie pan pracownię, elektroniczną. Od miesiąca jest bez kierownika.

— A poprzedni... wyjechał?

— Wyjechał... — Mag powtórzyła to z dziwną intonacją, której nie potrafił określić. — Nie, on po prostu umarł.

— A co mu się stało?

— Znaleźliśmy go w bunkrze. Tam wewnątrz jest zanik pola energetycznego. Wie pan, ściany na dwa metry grube, z żelbetu. Ekranują i energia nie dociera.

— Jaka energia?

— Napędzająca serce. On miał to samo co pan.

— Nie rozumiem — Molnar powiedział to, mimo że już zaczynał rozumieć. Przymknął oczy i poczuł dziwny skurcz w żołądku, jak wtedy, gdy w ładowni wielkiego statku kołysanego falą runęły z góry skrzynie roztrzaskując się koło niego.

— Będzie pan spał? — zapytała Mag po chwili milczenia.

— Nie. Wyspałem się już za wszystkie czasy — słuchał swego głosu i dziwił się, że jest tak zwyczajny. — I ta energia tutaj dociera? — zapytał.

— Oczywiście. Cały instytut i najbliższa okolica gdzieś w promieniu pół kilometra objęte są tym polem.

— A dalej?

— Co dalej?

— Jeśli chcę wyjść poza instytut, nad morze, czy pojechać do miasta — pytał, mimo że znał odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć od tej dziewczyny, która mówiła o tym wszystkim tak zwyczajnie.

— Nie może pan. To śmierć. Przecież wie pan o tym. Podpisał pan zobowiązanie, to z notariuszem i całym zabawnym ceremoniałem.

— Nic nie podpisywałem.

Mag chwilę milczała, a potem powiedziała cicho:

— Nie zdążył pan. Ale pan podpisze. To przecież zwykła formalność.

Chciał powiedzieć, że nie podpisze, ale przypomniał sobie historię z blokadą drzwi i nic nie powiedział.

— Po to tu przecież wszyscy przyjeżdżamy — dodała Mag jakby z żalem. — Ja, zanim tu przyjechałam, byłam sekretarką w firmie eksportowej w Buenos Aires. Sekretarką drugiego dyrektora — dodała jakby z dumą. — Pracowałam na dwunastym piętrze w centrali firmy. Trotam and Co. Zna pan tę firmę?

— Nie. Nigdy nie byłem w Buenos Aires.

— To były czasy. W sobotę jeździliśmy nad morze... Wie pan, tutaj najbardziej brakuje mi pływania i morza. Czasem wieczorem, gdy wieje wiatr, czuję je. Stąd do brzegu nie jest daleko.

— Wiem.

— Pan jeszcze tego nie odczuwa. To dopiero zaczyna się po kilku miesiącach, czasem po pół roku...

— Co?

— Trudno to określić. Chyba niepokój. Chce pan wyjechać, koniecznie wyjechać...

— Tęsknota?

— Nie, za domem, za najbliższymi, za ludźmi w ogóle tęskni się od początku. Ale tamto jest inne, trudniejsze do określenia, jakieś bardziej pierwotne. Niepotrzebnie to chyba panu mówię.

— Dlaczego. Chcę wiedzieć o tym wcześniej. — Ja nie wiedziałam. Nie wyobrażałam sobie, że to będzie właśnie tak. Czasem myślę, że chyba nie przyjechałabym tutaj, gdybym wiedziała.

— A wtedy?...

— Pewnie bym nie żyła. W najlepszym wypadku w wózku na kółkach.

Wtedy okropnie się tego bałam, chyba więcej niż śmierci. Wyobraża pan sobie? Patrzeć na to wszystko, na przechodniów, inne dziewczyny, ludzi jadących do pracy i wiedzieć, że jest się poza tym... na zawsze. Pozostanie tutaj to było jedyne wyjście. Chodzę, pracuję, czasem nawet pływam w naszym basenie. Z tym gorzej, bo nogi mam trochę sztywne, szczególnie stopy.

— Innego wyjścia nie było?

— Nie. Byłam u najwybitniejszych specjalistów. Nawet na drugiej półkuli, w Europie. Mój chłopak mnie wysłał. Odkładał na domek. Miałam wspaniałego chłopaka. Chciał się żenić, ale Egberg przyjmuje tylko samotnych. Zresztą nie wiem, czy i tak bym za niego wyszła. To nie miało sensu.

— A jak pani tu trafiła?

— Jeden z lekarzy, u którego byłam, gdy ośrodek oddechowy był już zagrożony, powiedział mi o tym. Mówił, że lecznica Egberga to jedyny ośrodek, który mógłby się podjąć zabiegu. Zastrzegł się przy tym, że nic mi nie radzi, po prostu informuje.

— A Egberg zażądał pieniędzy?

— Nie. Ta sprawa była zbyt nietypowa. Powiedział, że może się tego podjąć tylko eksperymentalnie. Wyniku nie gwarantował. Trzeba mu przyznać, że nie robił mi wielkich nadziei.

— I zgodziła się pani?

— A cóż miałam robić. Przeszłam przez te wszystkie formalności, podpisałam wszystkie upoważnienia i oświadczenia i... jestem. Żyję, jak pan widzi.

— A tamten?

— Kto?

— Ten w bunkrze.

— Ach, Bertold. On także wszystko podpisał. Nie miał po prostu pieniędzy. U niego było tylko serce.

— Kto to był?

— Elektronik. Starszy już człowiek. Kiedyś mówił mi, że pamięta jeszcze czasy, gdy obwody elektroniczne składało się z oddzielnych tranzystorów.

— I długo żył?

— Kilka lat. Był już, gdy tu przyszłam. Nawet go lubiłam. Taki spokojny, małomówny człowiek, którego prawie nie ma. Siedział w swojej pracowni i nawet nie zawsze widywałam go na obiadach. Wtedy też nie przyszedł, a potem Josph znalazł go w bunkrze. Bertold wiedział, że wejście do środka to dla niego śmierć.

— Tak samo jak odejście zbyt daleko od instytutu? — Molnar zadał to pytanie specjalnie, mimo że odpowiedź już przewidywał.

— Niezupełnie, w bunkrze pole urywa się nagle. Jest tam dobre ekranowanie... i efekt taki, jakby serce nagle stanęło. Tak mówił Egberg, gdy kiedyś nas o tym uprzedzał. A odejście poza zasięg pola, to powolna agonía. Natężenie zmniejsza się nieznacznie z każdym metrem.

— I on wpadł do bunkra?

— Widocznie zsunął się po pochylni. Tam jest taka pochylnia — dodała. — Zasłabł, zanim zdążył

wyjsć, tak twierdzi Egberg.

— A pani?

— Co ja?

— Co pani o tym sądzi? — zobaczył, jak odruchowo spojrzała w ekran.

— Ja? Cóż, zasłabł. To był stary człowiek. Chyba tak — dodała ciszej. — Chce się pan napić? — zapytała.

— Nie, dziękuję — przymknął oczy. Myślał o starym człowieku, który umarł w bunkrze, bo jego sztuczne serce, nie otrzymało energii z pola wytwarzanego w instytucie. Sztuczne serce stanęło, tak jak prawdziwe. Przypomniawszy sobie, wtedy przed bramą, upadek, którego już nie czuł, i wierzchołki sosen, tracące kontrast, rozplywające się na tle nieba. Potem zasnął.

Po kilku dniach już chodził po pokoju od łóżka do fotela. Egberg przychodził dwa razy dziennie razem z Dornem, swoim milczącym asystentem, którego Molnar widział wtedy po kolacji na ekranie. Zachowywał się jak lekarz, zwykły lekarz, i mówili o temperaturze ciała Molnara, jego ciśnieniu i oddechu. Zastanawiał się chwilami, kiedy Egberg mu wreszcie powie, że jest nowym nabytkiem jego farmy, ale tamten oglądał szwy i odchodził. Molnar zaś czekał. Był jeszcze słaby, zbyt słaby. Niekiedy przychodził sam Dorn, ale Mag nigdy. Molnar nie pytał o nią. Przemyślał wszelkie możliwości i nie pytał. Jeśli jej nieobecność była wynikiem decyzji Egberga, który słyszał ich rozmowę i uznał, że powiedziała zbyt wiele, pytanie o nią nie miało sensu. Jeśli zaś jej nieobecność była przypadkiem, w przyszłości mogła stanowić źródło informacji, jakich nigdy nie uzyska od Egberga czy Dorna, bo Dorn nie mówił prawie wcale. Raz tylko, gdy czerwonym ołówkiem naniósł nowe dane na kartę choroby Molnara, odezwał się doń zupełnie niespodziewanie.

— Uczyłem się kiedyś z pana podręcznika, profesorze.

— Naprawdę?

— Z tego nowego wydania. Ukazało się, gdy byłem jeszcze studentem.

Molnar pamiętał to wydanie. Wydawca odszukał go po kilku miesiącach poszukiwań. Pamiętał tego przedstawiciela firmy wydawniczej w ciemnym ubraniu, z czarną teczką, z której wyjął przygotowaną umowę, siedzącego przy małym stoliku przykrytym przepalonym gdzieniegdzie obrusem z tworzywa sztucznego. Pot ściekał mu strużkami po twarzy. Wycierał twarz raz po raz wielką białą chustką i do końca nie był pewny, czy siedzi naprzeciw właściwego człowieka, profesora neuroniki, którego podręcznik chce wydać jego firma. Później Molnar otrzymał czek, który w jego warunkach był już bogactwem, i kupił łódź z silnikiem. Łowił potem ryby z własnej łodzi i mężczyźni, z którymi pracował, zazdrościli mu.

— Pamiętam tę książkę — powiedział Molnar. — Gdy ją wydawali, uważałem, że mogliby znaleźć coś lepszego, a na pewno nowszego.

— To był dobry podręcznik — powiedział Dorn. — Dzisiaj jest już inaczej, ale wtedy to było zupełnie dobre. Pan też tak uważa?

— Nie wiem, nie potrafię tego ocenić. Nie potrafiłbym już napisać nawet takiego podręcznika. A co dopiero zrobić coś naprawdę.

— Myślę, że tego się nie zapomina, tak jak pływania czy jazdy na rowerze. Oczywiście nie zapominają ci, którzy robią to, bo jest to jedyna rzecz, którą w życiu chcieliby robić.

— Też tak kiedyś myślałem, a od lat robię co innego — powiedział Molnar. — Zresztą oprócz chęci potrzebna jest praktyka, którą się ma tylko wtedy, gdy pracuje się dzień po dniu przez miesiące i lata.

— Nie chciałem pana urazić, profesorze powiedział Dorn. — Zresztą pan by to potrafił również teraz.

— Już nie. Jestem za stary. A pan jest zbyt młody, by to zrozumieć.

— Mimo wszystko myślę, że mam rację.

— A może po prostu pan nie ma wyboru.

— Nie rozumiem?

— Cóż pan może innego robić będąc obiektem na farmie Egberga.

— Ja... ja nie jestem obiektem. Pracuję tu tylko.

— Ale mieszka pan tutaj i zawsze pan jest.

— Uważam, profesorze, że każdy młody lekarz, który chce coś potem przez całe życie umieć, powinien kilka lat pracować tak jak ja, być zawsze na miejscu, wszystko robić.

— Pan jest lekarzem?! Niech pan nie kpi, młody człowieku. Jest pan eksperymentatorem, najgorszym rodzajem eksperymentatora, jaki istniał kiedykolwiek. Eksperymentuje pan na własnym gatunku, na ludziach, którzy mogliby być pana przyjaciółmi, rodzicami, dziećmi. Przeszczepy mózgow, zmiany osobowości. Człowiek z dnia na dzień przestaje być sobą, drapie się za uchem albo ma pragnienie wtedy, gdy przyciśnie pan klawisz. Odwraca się ze wstrętem od kochanej osoby lub zdolny jest do poderżnięcia jej gardła, gdy pan wykona odpowiedni ruch palcem.

— Pan przesadza, profesorze!

— Nie, ja mówię tylko prawdę, i to całą prawdę. Wszystko, co myślę o tych eksperymentach i ludziach takich jak pan. Nie fałszuję tej prawdy, jak wy to robicie.

Dorn nie odpowiedział. Włożył do kieszeni swego białego fartucha ołówki, który obracał w palcach, i wyszedł.

Będzie się teraz zastanawiał nad tym wszystkim, co mu, powiedziałem — pomyślał Molnar — oczywiście jeśli tacy ludzie jak on w ogóle zastanawiają się nad tym, co robią.

Późnym popołudniem wychodził do ogrodu i póki było jeszcze gorąco, spacerował wąskimi alejkami wśród gęstych krzewów, które posadzono tu wtedy, gdy zbudowano instytut. Gdy upał mijał, kładł się na trawie albo na kamiennym obmurowaniu basenu i patrzył w niebo. Godziny mijały i gdy nadchodził zmrok, wracał do swego pokoju, dokąd Josph przynosił mu kolację. Miał dużo czasu. Niekiedy Josph wyjeżdżał niewielką, krytą brezentem półciężarówką i wtedy kolację przynosiła mu Mag. Stawiała tacę na stoliku, czasem pytała, jak się czuje, ale już w drzwiach, wtedy gdy wychodziła. Nie patrzyła w ekran ani w wylupiate soczewki przekaźników wizyjnych, ale i tak Molnar wiedział, że one patrzą na nich oczyma Egberga, a może Dorna. Jedyne Josph zdawał się ich nie dostrzegać, ale on nie był obiektem, tylko człowiekiem, dla którego świat nie kończył się na ogrodzeniu instytutu. Był sprawny, silny i palił te same papierosy, które kiedyś palił Molnar. Ich dym zostawał w pokoju, gdy Josph wychodził, i Molnar czuł ich zapach jeszcze w nocy, kiedy zasypiał. Kiedyś wziął jednego z paczki, którą Josph położył na tacy. Szukał zapalek, ale ich nie miał. Josph zapalił swą wielką benzynową zapalniczkę i po chwili Molnar czuł w ustach smak dymu.

— Doktor nie pozwala, co? — zagadnął Josph.

— Sam przestałem palić.

— Mnie na to nie stać. Kiedyś próbowałem. A te są niezłe. Kupuję w miasteczku hurtem, z przemytu.

— Do tego trzeba jeszcze jeździć tam.

— Nie ma pan co żałować. Podła dziura.

— Może pan jeździć dalej. Samochodem nigdzie nie jest daleko.

— Nie mogę, doktor nie zezwala. Wszyscy tu musimy być ciągle na miejscu.

— A on sam jeździ?

— Kiedyś jeździł do rodziny, niedaleko stąd, pięćdziesiąt kilometrów. Teraz i on nie jeździ.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Mówią, że rozwiódł się z żoną.

— A naprawdę?

— On mi się nie zwierza — Josph wziął tacę.

— A panu jeszcze się nie znudziło?

— Może trochę. Ale praca dobra. Gdzieś trzeba pracować.

— Ma pan tu sporo pracy.

— Wszystko robię. Sam pan widzi.

— Ma pan wszechstronne kwalifikacje. Instytut to prawie fabryka, przynajmniej pod względem pobieranej mocy.

— Bez przesady. Raczej zdalne sterowanie i przesyłanie informacji.

Moce nie są tu takie duże. Poza tym do aparatury specjalnej przyjeżdżają z zewnątrz.

— Chciałbym kiedyś zobaczyć tę waszą aparaturę.

— Niestety, to niemożliwe. W tych sprawach mamy ściśle instrukcje. Jakaś awaria i większość eksperymentów trzeba by powtarzać. Nie mówiąc już o materiale biologicznym, który tutaj jest dość kosztowny. Oczywiście mamy zabezpieczenia.

— Własne zasilanie awaryjne?

— Tak.

— Jasne. Przy niezbyt wielkich mocach to najprostsze wyjście.

Josph popatrzył na Molnara uważnie.

— Mówiono mi, że pan jest neuronikiem.

— Różne rzeczy mówią, ale moja specjalność jest dużo bardziej zbliżona do pana specjalności, niż się to panu wydaje — powiedział nie zastanawiając się nad tym, co mówi. Myślał już o czym innym: o niewielkiej mocy pobieranej przez instytut, i zrozumiał, że jeden z nich, Egberg lub Josph, nie mówi prawdy. — Wyjaśnię to — pomyślał i wiedział już, jak to robi. Nie zauważył nawet, kiedy Josph wyszedł. Mag spotkał następnego dnia w ogrodzie. Zobaczył, jak szła alejką ku domowi.

— Mag... Ma pani chwilę czasu?! — zawołał.

Zatrzymała się niezdecydowana.

— Jedną chwilę... — podszedł do niej.

— Powinnam być w sekretariacie — powiedziała niepewnie.

— A może jest pani niezręcznie rozmawiać ze mną tutaj?

— Nie, dlaczego?

— Wydawało mi się, że rzadko się teraz spotykamy.

— Mam tu dużo zajęć.

— Nie zabiorę pani dużo czasu. Chcę wiedzieć jedno. Czy odczuwała pani, pani osobiście, skutki zaniku pola?

— Ja nie, ale Bertold...

— Nie mówmy teraz o Bertoldzie. Czy pani sama nic nigdy nie czuła?

Zawrotów głowy w częściowo ekranowanych pomieszczeniach, czegoś takiego?

— Nie. Dlaczego pan pyta? Molnar chwilę nie odpowiadał.

— Powiem pani — zdecydował się wreszcie. — Podejrzewam, że tego pola w ogóle nie ma.

— Jak to?

— Po prostu nie ma. A właściwie istnieje ono tylko w wyobraźni pani i jeszcze kilku obiektów farmy, jak wy to mówicie. Jest to doskonały w swej prostocie pomysł Egberga.



— Nie bardzo rozumiem...

— To proste! Czy pani, mimo wszystkich swych zobowiązań podpisanych wtedy, przed operacją, zostałyby tutaj na stałe, gdyby nie pole?

— Nie, oczywiście nie. Ach... rozumiem! Uważa pan, że on mógłby to zrobić? Zasugerować nam istnienie pola, którego nie ma?

— Mógłby na pewno. Pani nie docenia swego szefa. Ja znam go dłużej.

— I jest pan pewny, że tak właśnie postąpił?

— Nie... Szczerze mówiąc nie. I dlatego chciałbym zaproponować pani eksperyment, eksperyment z udziałem pani.

— A cóż ja mogę panu pomóc?

— Wejdzie pani do bunkra, Mag, na krótko: na dwie, trzy minuty.

Jeśli się pani nic nie stanie, będzie pani wolna. Patrzyła na niego uważnie. Pomyślał, że jest dużo bardziej opanowana, niż początkowo przypuszczał.

— Myślę, że wejście tam to śmierć. A ja nie chcę umierać.

— Chce pani zostać tu do końca życia? Kilka dni temu...

— Wtedy miałam zły dzień. To mi się czasem zdarza. Ale chcę żyć, nawet tu, jeśli nie mogę inaczej.

— Słuchaj, Mag. O śmierci nie ma mowy. Będę cię asekurował z zewnątrz. Wyciągnę cię stamtąd po prostu, gdybyś straciła przytomność. W sekundę się nie umiera. Przewiążę cię liną i wyciągnę.

— Inaczej tego sprawdzić nie można?

— Nie można. Więc jak?

Nie odpowiedziała. Stali na środku alejki i Molnar wiedział, że prędzej czy później nadejdzie ktoś, kto przerwie tę rozmowę, którą musiał dokończyć.

— To także dla ciebie szansa. Nikt poza mną nie odważy się spróbować. Wy wszyscy tutaj boicie się Egberga. Nie zaprzeczaj. To widać. A do tego eksperymentu jedna osoba nie wystarcza. Pomyśl o Bertoldzie. Gdyby ktoś go wtedy wyciągnął stamtąd, żyłby do dzisiaj. Ale on próbował sam.

— On próbował?

— Tak sędzę. Musiał zauważyć to samo co ja. — Boję się, profesorze — ale spróbuję. Jeśli się nie uda, będziesz miał mnie na sumieniu. Myślał, że się uśmiechnie, ale ona patrzyła na niego uważnie, tak samo jak poprzednio.

— Kiedy chcesz próbować, profesorze? — zapytała jeszcze.

— Zaraz. Możesz? Linę przygotowałem. Dobrze. Tylko zmienię sukienkę.

— Po co?

— Gdyby się nie udało. Ta nie jest najlepsza...

— Ależ Mag, bądź rozsądna. Chodźmy!

Teraz uśmiechnęła się do niego.

— Zgoda. Nie obawiaj się, profesorze. Ja się nie wykręcąm. Wejdę tam, to już postanowione.

Do instytutu wrócili osobno i spotkali się przy schodach prowadzących do podziemi. Było tu chłodno i Molnar czuł stęchły zapach wilgotnej piwnicy. Schody były szerokie, a obok nich prowadziła w dół betonowa pochylnia. Pochylnia ta kończyła się u wejścia do bunkra półkolistym otworem, w który wjeżdżały wózki z preparatami do naświetlań. Był tam poprzednio, i obok, w stercie opakowań, ukrył linę. Była związana solidnym marynarskim węzłem z dwu krótszych, które służyły do zasuwania zasłon w jego pokoju. Zdjął je o świcie, kiedy było jeszcze szaro, i przypuszczał, że ci, którzy mogliby go obserwować, śpią. Mag nie sprawdziła nawet węzła. Przewiązał ją w pasie silnie, tak że ledwo mogła oddychać, a potem szarpnął kilkakrotnie liną

sprawdzając, czy wytrzyma jej ciężar. Chciał ją podnieść w górę na linie, tak jak poprzednio planował, ale był zbyt słaby. — Gotowe — powiedział. Nie zawahała się. Weszła do bunkra głęboko, aż lina się naprężyła.

Teraz czekał kilkanaście sekund.

— Co czujesz? — zapytał.

— Chyba nic. Jest mi tylko gorąco.

— To z wrażenia...

Patrzył na zegarek. Minęła minuta.

— A teraz?

— Nic. Naprawdę nic.

Gdy po pięciu minutach wyszła z bunkra, wiedział, że miał rację.

— Wygraliśmy, Mag — powiedział odwiązując linę. W półmroku widział zarys jej twarzy.

— Więc jestem wolna?... — mówiła powoli, z trudnością.

— Tak.

— To... wspaniale, profesorze. — Odwróciła się gwałtownie i pobiegła pochylnią w górę, ku jasnemu prostokątowi wyjścia. Molnar zwinął linę, ukrył ją wśród opakowań i poszedł za Mag schodami. W połowie pochylni spostrzegł sandał.

Więc pola nie było. Mógł teraz po prostu przejść na drugą stronę ogrodzenia i zejść w dół do miasteczka. Jakiś statek zabrałby go na pewno i za pięć, sześć dni byłby już u siebie, jeśli jego pokój nie został w tym czasie wynajęty. Ale Bertold umarł i to go niepokoiło. Nie był już młody i nigdy nie działał pośpiesznie. Postanowił powtórzyć eksperyment.

Wejdę do środka, a Mag będzie mnie asekurować — myślał. — Tylko czy jest ona dostatecznie silna, by mnie stamtąd wydobyć, jeśli stracę przytomność. Uznał, że zastanowi się nad tym dokładniej po kolacji. Ale po kolacji przyszedł Egberg.

— Myślę, profesorze, że powinniśmy porozmawiać — powiedział i usiadł w fotelu usuwając stamtąd jakieś rzeczy Molnara.

— Od dawna na to czekam.

— Wcześniej nie mogłem, bo nie znałem jeszcze wyników analiz i testów. Teraz mam już pełny obraz stanu pana organizmu.

— Pełny?

— Tak. Sprawdziliśmy to nadzwyczaj dokładnie. Okazało się, że moja decyzja była słuszna. Stan pana organizmu nie uzasadnia wszczęcia autonomicznego układu serca.

— Jak mam to rozumieć?

— W tej chwili pana serce napędzane jest energią z zewnątrz, wytwarzaną w generatorze pola siłowego, tu w instytucie. Dlatego nie może pan opuścić instytutu.

— I nie ma pan zamiaru wszczepić mi autonomicznego serca?

— Nie.

— Lubię jasne odpowiedzi. Ale to jest bezprawie. Nie zgadzałem się na taki zabieg.

— Ratowałem panu życie. Wybrałem ten układ sztucznego serca, który miałem. Wie pan równie dobrze jak ja, że z tego powodu żaden sędzia nie skaże mnie nawet na grzywnę.

— Ale mam prawo wymienić to serce.

— Oczywiście. Jeśli zakupi pan układ autonomiczny oraz niezbędne usługi związane z jego wszczęciem.

— To nierealne. Wie pan o tym, Egberg.

— Wiem.

— Więc jak długo chce mnie pan tu trzymać w instytucie?

— Odłączyć panu serca nie mogę, bo to zagrażałoby pana życiu, profesorze, i jest karalne. Mógłbym oczywiście przekazać pana do instytutów państwowych, ale to ze względu na naszą długotrwałą znajomość nie wchodzi w rachubę.

— Więc do śmierci?

— Mówmy otwarcie, nie ma pan długich perspektyw, profesorze.

— Po co ta szczerłość? Zdaję sobie z tego sprawę.

— Nie mówię tego bez powodu. Pozostała część układu krążenia i nerki w złym stanie. Poza tym podejrzewam nowotwór wątroby. W sumie dwa, trzy lata.

— Na więcej nie liczyłem.

Molnar wstał i chciał zapalić światło. W pokoju był już mrok i nie widział twarzy Egberga, a wiedział, że rozmowa jeszcze nie skończona.

— Niech pan usiądzie, profesorze. Jeszcze chwila. Nie zabiorę panu dużo czasu.

Molnar zawahał się i usiadł na poprzednim miejscu.

— Chcę panu coś zaproponować, profesorze — Egberg mówił cicho. — Przeszczep pana mózgu do młodszego i zdrowego ciała, absolutnie zdrowego. Zabieg eksperymentalny. O ile wiem, na świecie dokonano tylko kilku... tego rodzaju przeszczepów. Oczywiście wynik trudno gwarantować...

— Doktorze Egberg — Molnar przerwał mu — pan kpi sobie ze mnie. Wie pan nie od dziś, co o tym myślę...

— Teoretycznie, ale tu chodzi o pana życie! — A cóż pan sobie wyobraża, że z powodu kilku czy nawet kilkunastu lat życia zgodzę się na to? To, co pan proponuje, to jest zwykła, pospolita zbrodnia.

— Nic podobnego! Jeden człowiek umiera, bo w jego ciele funkcjonuje wszystko, tylko mózg ginie. A drugi ma zniszczone ciało i sprawny mózg. Z tych ludzi, dwu martwych prawie ludzi, tworzę jednego — zdrowego.

Tworzę człowieka! Człowieka, którego nie było.

— Pan jest pozbawiony wyobraźni, doktorze. To także kalectwo... A jeśli ten mózg, wszczepiony do nowego ciała, nie zechce wraz z tym ciałem umrzeć i będzie szukał nowego, następnego nosiciela, a potem jeszcze następnego? Mieć zawsze dwadzieścia kilka lat, aż do śmierci mózgu, nigdy pan o tym nie marzył. Zmieniając pięciu, sześciu nosicieli, można to osiągnąć. Nigdy fizycznej starości. Młodość, wieczna młodość w kolejnych ciapach.

— Pan przesadza, profesorze. Zostaną ustalone przepisy...

— Tak zawsze można powiedzieć, ale to nic nie zmienia. Pasożytowanie na własnym gatunku, temu naprawdę służą pana eksperymenty.

— Słyszałem to już kilkanaście lat temu.

— Jak pan widzi, nie zmieniłem zdania. A teraz proszę wyjść.

Potem długo nie mógł zasnąć. Myślał o człowieku, w którego ciało Egberg chciał wszczepić jego mózg. Był to zapewne mężczyzna, młody mężczyzna, i Egberg w zapisie aktywności elektrycznej jego mózgu dostrzegł te zmiany, które poprzedzają śmierć. Pewnie miał kolegów, rodzinę, czytywał kronikę sportową i kiedy chciał być sam, wypływał w morze daleko od brzegu.

Molnar przewrócił się na drugi bok, potem wstał, przeszedł do łazienki i odkręcił kran z zimną wodą. Wsadził pod nią głowę i czuł, jak zalewa mu nos i uszy.

Zasypiał już naprawdę, gdy zbudził go Egberg pytając z ekranu, kiedy ostatni raz widział Mag. I wtedy wiedział już, że samotnie wejdzie do bunkra.

Wszedł tam bez wahania następnego dnia, rankiem. Nie mógł dłużej czekać. Wiedział, że Egberg nie rezygnuje ze swych planów. Zrobił dwa kroki w głąb. Stał. Czuł, że szybciej oddycha. To strach — pomyślał. Ale potem poczuł zawrót głowy, ucisk i wiedział, że nie wyjdzie już z bunkra.

Zbudził się i leżał w ciemności. Zmuszał się do myślenia i czuł, że wymaga to wysiłku. Pamiętał wejście do bunkra i wiedział, że od tej chwili minęło wiele dni. Stan, w którym się znajdował, nie był więc anabiozą, bowiem jego mózg notował upływ czasu. Poza tym były jeszcze jakieś fragmenty obserwacji, ale nierealne, które rozplływały się, gdy koncentrował się na nich. Oddychał normalnie, nie czuł bólu. Po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś dotyka jego głowy, a do żył rąk wtlaczany jest jakiś płyn. Nagle zaczął widzieć — zdjęto mu opaskę z oczu. Zobaczył Dorna.

— Widzi mnie pan? — zapytał Dorn.

— Widzę — odpowiedział, ale mówił z wysiłkiem, sylabizując.

— Słyszysz mnie pan dobrze?

— Tak.

Dorn wyjął igły z jego żył.

— Proszę spróbować wstać.

Molnar wstał. Całe ciało miał sztywne i ruchy nie skoordynowane.

Zrobił dwa kroki i zatoczył się.

— Jest pan osłabiony? — zapytał Dorn.

— Nie. Zesztywniałem.

— To brak koordynacji. Zdobędzie ją pan w ciągu kilku dni. Teraz przejdziemy do gabinetu.

Dorn otworzył drzwi i przeszli do gabinetu Egberga. Egberga tam nie było.

— Uratowaliście mnie? — zapytał Molnar.

— Tak.

— A Egberg?

— Zostawił panu list. Proszę, niech pan siądzie. — Dorn sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podał Molnarowi zapieczętowaną kopertę.

— Jeśli czuje się pan dobrze, przejdę do sąsiedniego laboratorium.

Gdybym był panu potrzebny — proszę zawołać.

Molnar rozerwał kopertę. List był pisany ręcznie.

*Szanowny Profesorze!*

*List ten jest kontynuacją naszej rozmowy, której wtedy nie dokończyliśmy. Otóż osobą, której ciało chciałem panu wtedy zaproponować, byłem ja sam. W tej chwili, jeśli pan list ten czyta, przeszczep udał się i jest pan mózgiem mojego ciała...*

— Dorn! — krzyknął Molnar.

Dorn uchylił drzwi.

— Lustro!

— Mam przygotowane. — Dorn podał mu niewielkie lusterko i wtedy Molnar zobaczył odbicie twarzy Egberga. Była jakaś inna. Po chwili Molnar zrozumiał, że oczy są jego własne. Odłożył lustro.

*...W moim przekonaniu — czytał dalej — postąpiłem słusznie. Stan pana organizmu przedstawiłem podczas naszej rozmowy w sposób obiektywny. U mnie natomiast stwierdzono guz mózgu, powiększający się dość szybko, tak że musiałem się spieszyć z przeszczepem, jeśli sam*

miałem zaplanować i przygotować operację. Przyczyny mojej decyzji są dwojakie: po pierwsze osobiste, których nie zrozumie pan zapewne. W każdym razie, jeśli zaakceptuje pan ten przeszczep, czeka pana, przypuszczam, około dwudziestu lat życia, możliwość pracy naukowej w instytucie, który jest pana własnością. Wyrównuje to w moim przekonaniu pewne zobowiązania, które miałem względem pana. Moimi osobistymi sprawami pana nie obarczam. Z rodziną jestem rozwiedziony, rozłączony z materialnie jest ona zabezpieczona. Moja żona zna faktyczny stan rzeczy i z jej strony nie przewiduję żadnych kłopotów. Drugą przesłanką mojej decyzji jest fakt, że pana zawodowe przygotowanie umożliwi dalsze prowadzenie instytutu, a przede wszystkim dokonanie obserwacji subiektywnych odczuć przeszczepu. Sugerowałbym panu sporządzenie raportu o tej sprawie. Oczywiście decyzja należy do pana. Co do przebiegu operacji dokonał jej Dorn z asystą zewnętrzną. Moją zgodę znajdzie pan wśród innych dokumentów, a pan został potraktowany jako „ciało z wypadku”. Prawnie jest to w porządku, aczkolwiek ustawodawca nie przewidywał przeszczepień mózgu w tej konfiguracji. Ponadto uważam, że wszelkie inne zastrzeżenia, jakie mógłby pan mieć w stosunku do mojej decyzji, są o tyle nieuzasadnione, że w każdej chwili, w razie braku akceptacji z pana strony, może pan zlikwidować przeszczep i umrzeć. Ze spraw mniej istotnych pozostaje mi jeszcze jedno wyjaśnienie. Wejście do bunkra dowodzi, że nie wierzył pan w istnienie pola siłowego, generowanego w instytucie, dostarczającego energii pana sercu. Przypuszczenia pana są słuszne. Takiego pola nie ma. Serce pana zasilane było z baterii, zawierającej pierwiastki promieniotwórcze, wszczepionej wraz z sercem. Natomiast rytm pracy serca regulowany był zewnątrz, przez impulsy przekazywane bezprzewodowo z generatora instytutu. Gdy wszedł pan do bunkra, synchronizacja znikła. Efekty tego odczuł pan osobiście. Muszę się przyznać: przypuszczałem, że wejdzie pan do bunkra, i czekaliśmy tam na pana. Właściwie od momentu wyjazdu Mag wszystko stało się dla mnie jasne. Liny znalezione przy bunkrze stanowiły tylko potwierdzenie moich przypuszczeń. Nie mógł pan jednak wiedzieć, że Mag, która miała przeszczepiony rdzeń przedłużony, jest całkowicie niezależna od naszej synchronizacji, pan natomiast nie. Cóż, działał pan w pewnym sensie na swoją niekorzyść i odejście Mag jest dla pana stratą bardzo dobrej sekretarki. Ale tego pan nie mógł przewidzieć.

Jak już wspominałem wcześniej, pozostawiam do pana decyzji sprawę ogłoszenia komunikatu dotyczącego przeszczepu. Innymi słowy może pan dalej żyć jako Egberg lub też pod własnym nazwiskiem. Wszystkie dokumenty, niezbędne w obu przypadkach, są przygotowane.

Egberg

Odłożył list i siedział nieruchomo nie myśląc o niczym. Po kilku minutach do gabinetu zajrzał Dorn.

— Jak pana samopoczucie? — zapytał.

— Doskonale.

— Jestem dumny z tej operacji — powiedział Dorn. — Czy będziemy ogłaszać komunikat?

Molnar nie odpowiedział.

— Co z moim ciałem? — zapytał po chwili.

— Spalone i pogrzebane. Już trzy miesiące temu. Taki przeszczep to zabieg wielofazowy.

Największe kłopoty...

— A jego mózg? — przerwał mu Molnar.

— Separowany.

— Żyje?

— Tak. Niech pan spojrzy.

Podszedł do pulpitu i wcisnął odpowiednie klawisze. W ekranie, w wielkim naczyniu, w bezbarwnej niemal cieczy pływał mózg. Widział połączone z nim oczy, z których jedno patrzyło na nich wprost z ekranu. W głośniku słyszał cichy szum pomp tłoczących odżywczy płyn, a potem zobaczył zapis przebiegów elektrycznych w mózgu Egberga. Był to zapis aktywności czuwającego mózgu. Ten mózg widział, myślał... i wiedział. Szklane ściany słoja, z którego nie ma wyjścia, to był jego cały świat.

— On tak zdecydował? — zapytał Dorna.

— Nie. Nic na ten temat nie mówił. Ale mózg był nam właśnie potrzebny do doświadczeń z zakresu sterowania ruchem raket towarowych do planet zewnętrznych. Opracowujemy tu taki temat.

— Ale jego mózg?

— Ten guz nie daje chwilowo większych efektów. Uwarunkujemy go?

— Więc nie godził się na to?

— Nie, ale fragmenty pooperacyjne zawsze wykorzystujemy.

— Dorn, jest pan zwykłym łajdakiem — powiedział Molnar. — Która to sala?

— Siódma.

— Proszę klucze. Klucze Egberga.

— Ma je Josph.

— Niech pan je przyniesie.

— Ale...

— Powiedziałem. Ja tu decyduję.

Po chwili Dorn wrócił z kluczami. Molnar wziął je.

— Pan tu zostanie — powiedział.

Przeszedł korytarzem i otworzył drzwi sali siódmej. Wszedł i spostrzegł, że oczy mózgu go nie widzą. Uważając, by nie wejść w pole widzenia oczu, podszedł do pompy włączającej do klosza płyn i odłączył ją. — To będzie najlepsze wyjście — pomyślał. — Umrze z niedotlenienia nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Przecież mózg nie ma układów kontrolujących zawartość tlenu. Po prostu zaśnie i nie obudzi się już. Gdybym usunął płyn z klosza, umarłby wcześniej, ale wiedziałby, że umiera. Patrzył jeszcze przez chwilę na zapis aktywności mózgu w ekranie oscyloskopu, a potem wyszedł.

Zamknął drzwi i wtedy spostrzegł Dorna.

— Niech pan mi odda swoje klucze — powiedział.

— Nie... nie mam.

— Trudno. Zostawi je pan u portiera. Od dzisiaj nie pracuje pan już w instytucie.

— Dlaczego? Przecież ja...

Nie słuchał dalej. Schodami zszedł do podziemi. Zataczał się lekko i niekiedy wspierał się o ścianę. Brak koordynacji; jak to określił Dorn — pomyślał — ale muszę być teraz skoordynowany przynajmniej na kilka minut. Doszedł do drzwi komory zasilania. Zamek był skomplikowany, a palce miał niezbyt zręczne. W końcu wszedł jednak do środka. Światła zapaliły się automatycznie. Zobaczył grube miedziane przewody, bezpieczniki i tablice ze skrzyżowanymi piszczelami. To była instalacja główna. Poszukał awaryjnej. Najpierw wyłączył akumulatory i zerwał przewody tej instalacji.

— Co pan robi?

To był Dorn.

— Proszę stąd wyjść! — powiedział Molnar.

— Ależ tak nie można, wszystkie doświadczenia... wszystko stanie. Preparaty zginą...

Molnar sięgnął do głównych bezpieczników.

— Nie! — krzyknął Dorn i rzucił się na niego.

Odepchnął go z całej siły. Ręka Egberga była silna. Tam ten uderzył głową w płytę rozdzielczą i upadł. Leżał nieruchomy na kamiennej posadzce. Teraz Molnar wyrwał bezpieczniki. Światło zgasło. Bezpieczniki cisnął za skrzynię akumulatorów i wyszedł na schody. Gdzieś w górze buczała syrena alarmowa.

Preparaty zginą — pomyślał. Potem myślał jeszcze o trzymiesięcznym czuwaniu mózgu Egberga, nieustannym czuwaniu, szklanych ścianach klosza i oczach, które nie mają mięśni, by zmienić swoje położenie, o czekaniu ze świadomością, że nic poza czekaniem zdarzyć się nie może. Doszedł do bramy.

— Pan wychodzi, doktorze? — zapytał odzwierny.

— Tak.

— Czy mam pójść z panem?

Molnar spojrzał na niego uważnie:

— Dlaczego: „pójść ze mną”?

— Pan mi uratował życie, doktorze. I wychodzi pan, gdy jest alarm i słyszę syrenę. Pan wychodzi na dłużej?

— Tak, ale zostań... Sancho.

— Nazywam się Tomb.

— Ja też naprawdę nazywam się Molnar.

Skinął mu głową, minął bramę i zaczął ścieżką schodzić w dół.

# ELEKTRONOWY MIŚ

Kupiłem go na imieniny synowi. Wróżka skinęła swoją czarodziejską laseczką i automat przyniósł go śpiącego w ogromnym, perłowo opalizującym pudle. Potem uśmiechnęła się do mnie i powiedziała swym zawodowo melodyjnym głosem:

— Myślę, że będziesz z niego zadowolony.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się także.

— Jesteś sam, bez syna, więc nie będę cię pouczała, że misia nie można krzywdzić, nie można mu wykręcać łap, wydłubywać fotokomórek ani wrywać kondensatorów, ale nie zapomnij o tym powiedzieć synowi.

— Nie zapomnę — zapewniałem. — Poza tym możesz być spokojna, będę go traktował jak własne dziecko.

— No, to cieszę się, że mój wychowanek zyskał takiego ojca. Musisz go przeprogramować, by mówił do ciebie „papa”. Tym razem śmieliśmy się oboje i równocześnie pomyślałem, że ktoś wpadł na genialny pomysł zatrudniając w Domach Bajek takie właśnie dziewczyny jako wróżki. Skinęła mi swą różdżką na pożegnanie i wskoczyłem na ruchomy chodnik sunący ku wyjściu. Tłum dzieciaków z zazdrością dotychczas spoglądający na misia w pudełku rozproszył się i pomknął ze śmiechem ku ogromnemu wideotronowi, gdzie rozmazaną pasami tarczą wisiał nieruchomo Jowisz. Grzmiący bas opowiadał, jak Tomcio Kosmonauta pokonuje górne warstwy jego atmosfery.

Po drugiej stronie lśniła w promieniach wideotronicznego słońca wideotroniczna szklana góra. Wznosiła się jakby tysiącem metrów wzwyż idealnie równą powierzchnią, po której bez wysiłku, jak mucha po szybie, wspinał się książę w skafandrze planetnika. Za górą rósł prastary, ciemny bór, przeniesiony jakby bezpośrednio w nasze czasy z ery „dymiących fabryk”. Między pniami, porośniętymi mchem, przemykały elektroniczne krasnoludki, fosforyzując czerwono swymi stożkowatymi czapkami. Na skraju lasu stała chatka Baby Jagi, a przed nią automat, odpowiadający na wszelkie dziecięce pytania, otoczony rozwrzeszczaną dzieciarnią, mającą już swoje problemy. Gdyby zbudować taki automat dla dorosłych, dopiero byłoby przy nim tłoczno...

Wszedłem. Ogromny android w zbroi średniowiecznego rycerza pożegnał mnie przy wyjściu zapytując, czy nie zgubiłem swego dziecka. Widocznie nie był przyzwyczajony do dorosłych ludzi przychodzących tu samotnie. Nie, nie zgubiłem. Mój syn został w domu. Siedział zapewne w tej chwili przed ekranem wideotronu wpatrując się bezmyślnie w przesuwające się obrazy. Tak siedział każdego popołudnia.

Mają zdaje się rację psychologowie twierdząc, że w pewnym wieku dzieci nie należy zabierać z Ziemi. Mój syn przyleciał na Marsa zbyt wcześnie lub zbyt późno. Tam na Ziemi zostali jego towarzysze zabaw, z którymi, bawiąc się w kosmonautów, przemierzał okoliczne wzgórza jako nieznane tereny tajemniczej planety, został nasz ogród, gdzie znał każdy krzak, i dom o rozsuwanych ścianach pachnących drzewem sandałowym. Na Marsie dzieci były inne, bardziej przyzwyczajone do automatów niż do biegania boso po trawie. Kupiłem mu więc misia...

— Niech się nazywa... no powiedz, jak się może nazywać? zwrócił się do mnie, gdy po otwarciu pudła, wysłuchując instrukcji, doszliśmy do miejsca, w którym powiedziano: „...Przed uruchomieniem należy go nazwać, a wtedy we wszystkich wolnych miejscach jego programu pozostawionych na imię nazwa ta zostanie trwale wpisana”.

— No więc jak? — powtórzył, gdy nic nie odpowiedziałem.

— Może Kation — poddałem.

Rozważył chwilę w myśli.



— Nie, tak można nazwać żywego psa, ale nie misia. Jego imię musi być zwykłe.

— No, to wymyśl coś.

— Mógłby być Bob — spojrzał na mnie pytająco.

— Świetnie, niech będzie Bob.

Nacisnąłem ukryty pod futerkiem klawisz zasilania i gdy martwe dotąd oczka misia zajarzyły się zielonym światłem, powiedziałem wyraźnie:

— Nazywasz się Bob. Wstań.

Jak wyrzucony sprężyną, miś wyskoczył z pudełka. Niewielka, metrowa może figurka o zabawnym pysku, obrośniętym rudawym włosem. Stał, rozejrzał się wokoło, a następnie sięgnął do pudełka, wyjął stamtąd szczotkę i zaczął czesać swoje zmierzwiłe futerko. Gdy doprowadził je do porządku, zwrócił się do syna lekko się jękając:

— Ja jestem t... teraz t... twój miś?

— Tak.

— A kto to? — łapą wskazał na mnie.

— Mój ojciec.

— T... to dobrze.

— Słuchaj — zwróciłem się do syna — może go wymienimy. On się strasznie jęka.

— T... tylko trochę i wtedy, gdy jestem dłużej wyłączony. Ooo... Inne misie mają większe braki. Znałem t...takiego, co w łapie miał ponad sto woltów napięcia, b... bo był źle skonstruowany i wszystkim łapę podawał.

— No co, wymienimy? — ponowiłem pytanie.

— Nie zgódź się. Ja umiem grać w piłkę i rozwiązuję zadania z matematyki. Naśladuję głosy i umiem wideotron r...rozłożyć.

— No więc?

— Niech zostanie.

— Od razu widać, że jesteś miły chłopak. Będę dobrym misiem. Zobaczysz.

I został. Był to dziwny automat. Niejednokrotnie zastanawiałem się, dlaczego tak wszechstronny i zdolny układ myślący wmontowano w zabawkę dziecięcą. Bo o tym, że nie był to standardowy automat wytwarzany seryjnie do zabaw z dziećmi, byłem przekonany od początku. Miś przejawiał pewne cechy ludzkie, które są dostępne tylko najbardziej skomplikowanym automatom. Był na przykład leniwy. Wypełniał oczywiście wszelkie polecenia, jak każdy automat, lecz wypełniał je w ten sposób, by poświęcać im jak najmniej czasu, unikając wszelkiej niepotrzebnej krzątaniny, tak charakterystycznej dla większości automatów. Potem, gdy nie miał już nic do roboty, godzinami trwał w bezruchu lub spał.

Po jakimś czasie odkryłem, że w pewnym sensie jest do mnie przywiązany i zawsze gotowy przerwać milczącą kontemplację swoich owłosionych łap i towarzyszyć mi, gdy wstawałem zza biurka i przechodziłem do pulpitu sterujących moich podręcznych mnemotronów. Kiedyś rozwiązywałem nocą w swoim gabinecie problem wielograwitacyjnych pól sterowanych. Miś jak zawsze, gdy syn spał, towarzyszył mi tkwiąc nieruchomo w kącie. Godziny mijały jedna za drugą, a mimo to prawie nie posuwałem się naprzód. Mój mózg podręczny raz po raz sygnalizował mi przeładowanie pamięci i dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że zagadnienie to powinienem rozwiązywać z dużo pojemniejszymi mózgami. Pochylony nad ekranami nie zwracałem uwagi na to, co dzieje się w gabinecie. Nagle usłyszałem chrząknięcie. Podniosłem głowę. Przede mną stał miś.

— Nie śpisz, Bob?

— Ja rzadko śpię.

— Jak to, przecież masz w programie rytm snu i czuwania.  
— Tak, ale nie jest to program bezwzględny. Mogę go regulować.  
— Naprawdę? — zapytałem z niedowierzaniem.  
— W pewnych granicach o... oczywiście.  
— I nie śpisz?

— Nie...  
— A co robisz nocą?  
— Myślę, rozwiązuję zadania...  
— Co, udowodniłeś może twierdzenie Pitagorasa?  
— Nie, roz... wiązałem wła... właśnie twój problem... wielograwitacyjnych pól sterowanych.  
— Żartujesz.  
— N... naprawdę. Masz tu wynik.

Na małym prymitywnym funkcjografie mego syna, który trzymał w łapie, wyznaczona była zależność. Przez moment chciałem go wyrzucić z gabinetu. Pracuję już nad tym rozwiązaniem przez wiele godzin bez żadnego rezultatu, a nagle przychodzi ta zarozumiała zabawka i wypisuje mi rozwiązanie ze swego małego mózdzku. Opanowałem się jednak. Przecież to tylko automat i w dodatku miś mego syna.

— Dziękuję — powiedziałem krótko. — A teraz idź do pokoju. — Funkcjograf położyłem na biurku i wróciłem do pracy. Wynik otrzymałem nad ranem, gdy wielka kopuła marsjańskiej bazy bielą już w promieniach wschodzącego słońca. Był identyczny z rozwiązaniem podanym przez mego misia.

— Bob, Bob! — zawołałem.

Przyszedł po chwili, jakby z ociąganiem.

— Powiedz, jak tyś to zdołał rozwiązać? — zapytałem. Przecież to problem dla gigabitowych mózgów.

Milczał.

— Odpowiedz! — rozkazałem.

W ten sposób odwoływałem się niemal do osnowy jego programowania, do bezwzględnego posłuszeństwa człowiekowi.

— Mózg ten jest skonstruowany na specjalnej zasadzie, przy założeniu równoczesnej wielotorowości myślenia. W związku z tym jego pojemność myślowa jest dużo większa... siedziałem oniemiały, bowiem słowa te wypowiadał miś niskim, chropowatym głosem, w niczym nie przypominającym jego zwyczajnego miłego altu.

— Coś ty powiedział? — zapytałem szeptem dopiero po chwili.

— N... nic nie mówiłem... miś jąkał się w zwykły sposób.

— Jak to nic. Powtórz

— N... nic nie mówiłem.

— Ależ nie to. Coś przedtem powiedział?

— N... nie rozumiem.

Mówił prawdę. Więc to było poza jego świadomością. Nie wiedział nic o tym głosie. To wyglądało jak jakiś cytat z cybernetyki stosowanej. Ale jakieś wielotorowe myślenie... Nigdy o tym nie słyszałem. Podszedłem do wizofonu i wezwałem Tana, jednego z moich kolegów cybernetyków. Specjalizował się w teorii myślenia nieorganicznego i powinien był o czymś takim wiedzieć.

— Tan? Tu Andrzej. Powiedz mi, czy słyszałeś cokolwiek o wielotorowym myśleniu?

Uśmiechnięta na przywitanie twarz cybernetyka zgasła i odbił się na niej wysiłek myślenia.

Dopiero w tej chwili spostrzegłem, że Tan jest zaspany i nie ogolony. Wyrwałem go widocznie z głębokiego snu. A jednak uśmiechał się nawet. Faktem jest, że Tan słyszał z uprzejmości, lecz tym razem sam sprawdziłem, jak bardzo opinia ta była uzasadniona.

— Wiesz, Andrzej, niczego takiego sobie w tej chwili nie przypominam. Ale skąd tyś w ogóle wziął tę nazwę?

— Usłyszałem ją od automatu.

— To jakiś automat do programowania cybernetycznego? Zapytaj go więc o wyjaśnienie.

— Nie, to nie jest automat cybernetyczny...

— No, a co to jest?

— Miś mego syna.

— Co takiego?

— Mówię ci. Miś mego syna.

— Ależ niemożliwe. Przecież to są zupełnie prymitywne automaty.

— Sam słyszałem, Tan.

— Andrzej — ciągnął Tan po chwili milczenia — a może ty się przepracowujesz. Na ogół ludzie już wstają, a ty się jeszcze nie położyłeś spać.

— Słuchaj, Tan. Mówię ci to wszystko zupełnie poważnie. Nie wierzysz, trudno.

— Ależ tak, wierzę... Sprawdzę nawet to wielotorowe myślenie w głównym akumulatorze informacji cybernetycznych. Jeśli coś znajdę, dam ci natychmiast znać.

— No, to dziękuję.

— Dobranoc, Andrzej. — Tan uśmiechnął się i zniknął z ekranu.

Odwróciłem się ku biurku, lecz misia tam nie było. Wyszedłem z gabinetu, by go poszukać. Siedział przed drzwiami dzieciennego pokoju i spał, jak gdyby przez całą noc nic innego nie robił.

Dni mijały i zapomniałem niemal o tej historii. Miś okazał się idealnym kolegą. Co dziwniejsze, zauważyłem, że inni chłopcy nie traktują go z pogardliwą wyższością, z jaką traktowali zwykle automaty. Z przerażającą szybkością rozwiązywał wszystkie ich zadania szkolne tak długo, aż zabroniłem mu kategorycznie tego robić. Potem miś błysnął wiedzą astronoma i razem z moim synem siedzieli długie godziny przy radioteleskopach. Miś bezbłędnie podawał z pamięci współrzędne sferyczne wszystkich gwiazd w każdej chwili dnia i nory. Ale przede wszystkim, co dało się dopiero zauważyć po dłuższej obserwacji, miś wykazywał ogromną celowość działania. Jeśli ruszył lewą łapą, to można było być pewnym, że będzie mu to do czegoś w przyszłości potrzebne.

W drugim tygodniu pobytu misia w naszym domu zobaczyłem na funkcjografie syna naniesiony zbiór elips o różnorodnych mimośrodkach i jednym ognisku wspólnym. Zaciekawiony zapytałem syna:

— Coś tu narysował?

— To nie ja, to Bob.

— Ale co to jest?

— Hipotetyczny układ planetarny Formalhauta, alfy gwiazdozbioru Latającej Ryby.

— Skąd on to wie?

— Bob wszystko wie! — powiedział to z takim przekonaniem, że spojrzałem nań zdziwiony.

— Nie wierz temu. To na pewno jedna z wielu bajek, jakie można znaleźć w pamięci każdego elekronowego misia. Muszą przecież coś opowiadać dzieciom. Ale to jeszcze nie powód, by tak duży chłopak, jak ty, wierzył w takie bajki.

— Nie wierz, jeśli chcesz, ale to naprawdę nie jest bajka — odpowiedział z uporem.

— Więc myślisz, że to jest prawda?

— Nie, to tylko hipoteza Gladstone'a — spojrzał na mnie poważnie, jak młody naukowiec.

— Kto ci to powiedział?

— Bob.

— Bob! — zawołałem głośno.

Przyczłapał po chwili.

— Czy to jest rzeczywiście układ planetarny Formalhauta?

— Tak twierdzi Gladstone w swojej hipotezie. Rozumowanie swoje opiera na charakterystycznym przesunięciu prążków w grawitacyjnym widmie tej gwiazdy.

— Bob — zapytałem cicho. — Skąd ty to wszystko wiesz?

— Posiadam pewne wiadomości kosmonautyczne pozostawione mi w celu popularyzowania kosmosologii.

— Jak to pozostawione?

— Pozostawione w moim programie.

— A w jakim zakresie znasz kosmosologię?

— W zakresie kursu podstawowego, na pewno.

Pod wpływem tej rozmowy siadłem w gabinecie i wystosowałem pełen pochwał telelist pod adresem Domu Bajek. Odpowiedź otrzymałem jeszcze tego samego dnia. Dom Bajek cieszy się bardzo, że jestem zadowolony z elektronowego misia i że dzięki moim staraniom miś osiągnął tak wysoki, odbiegający od standardu innych misiów poziom inteligencji. Poza tym prosi mnie o podanie operacji cybernetycznych, jakim poddałem misia celem uzyskania tak wysokiej inteligencji przy stosunkowo niewielkiej pojemności pamięci.

A więc ani ja, ani też Dom Bajek nie zrobiliśmy niczego w kierunku rozbudowy mózgu misia. Ale ponieważ geniusze wśród automatów nie zjawiają się przypadkowo, tak jak wśród ludzi, Dom Bajek wezwał Ziemię, by sprawdziła, skąd pochodzą elektronowe misie. Odpowiedź miała nadejść za kilka dni. To nie tak prosto w wielomiliardowej masie mieszkańców Ziemi znaleźć tych, którzy wiedzieliby wszystko o elektronowym misiu wysłanym przed kilkoma miesiącami na Marsa.

Potem zapowiedział się wideotronicznie Tan i oczekiwałem go w południe. Był jak zwykle nadzwyczaj punktualny. Przeszliśmy do pokoju syna. Kończyli właśnie z misiem omawianie końcowego odcinka jakiejś kosmicznej podróży, gdy decelerowany statek przechodzi już z toru parabolicznego na eliptyczny. Tan przysłuchiwał się przez chwilę z zainteresowaniem. Potem zapytał mnie szeptem:

— Jak on się nazywa?

— Kto, syn?

— Nie, automat.

— Bob.

Słuchał jeszcze chwilę w milczeniu, a potem nagle zawołał rozkazująco:

— Bob, chodź tutaj!

Automat podszedł natychmiast.

— Co to jest elipsa? — zapytał.

Automat niemal bez zajknięcia podał definicję.

— Nie rozumiem. Wyłumacz mi.

I automat zaczął tłumaczyć, tak jak się tłumaczy łatwe zadania leniwemu uczniowi, powoli, krok za krokiem. Tan przerwał mu:

— Sądzisz, że osiągnięcie innych galaktyk gwiazdolotami jest możliwe?

Automat jakby przez chwilę zawahał się, lecz zaraz potem odpowiedział:

— Nie wiem. Podaj mi dane, to obliczę.

Po tym pytaniu posypały się następne. Trwało to dość długo, aż mój syn podszedł do mnie i zapytał:

— Kiedy on pójdzie sobie, żebyśmy z Bobem mogli skończyć obliczenia?

Tan uśmiechnął się do chłopca i zadał misiowi ostatnie pytanie:

— Czy masz świadomość sprzężenia posłuszeństwa?

— Nie — odpowiedzi miś.

— No dobrze, możesz wrócić do swoich obliczeń. A. my — zwrócił się do mnie — chodźmy do twego gabinetu.

— To tylko przypuszczenia — powiedział. — Moim zdaniem, mózg misia został prawdopodobnie odrzucony przy psychicznej kontroli układu ze względu na pewną niestabilność zachowania i trafił do centrali odpadów. Tutaj założono mu dużą ilość sprzężeń stabilizujących: ograniczono możliwości zwiększając równocześnie stabilność. Tan mówił to tak, jakby osobiście był obecny przy nakładaniu tych sprzężeń.

— Pamiętasz, pytałem go o możliwości dotarcia do galaktyk gwiazdolotami. Każdy normalny miś powiedziałby, iż jest to możliwe zgodnie z regułami wszystkich bajek, ale ten twój miś zażądał danych do obliczeń. Wydaje mi się, że on nie zawsze opowiadał bajki. Nie wezwałem automatu cybernetycznego bazy i nie rozłożyłem misia na części. Zrobiłbym to nawet może, ale wyobrażałem sobie zdziwione spojrzenie dyspozytora.

— Wzywasz automat do naprawy tej zabawki. Czy naprawdę sądzisz, że nie mamy nic innego do roboty?

Wy tłumaczyłbym mu zapewne, że nie chodzi tu o naprawę, że miś to nie jest zwykły miś, tylko bardzo dziwny miś, który zbyt wiele umie, by być zwykłą zabawką i niczym więcej, ale wątpię, czyby mi uwierzył.

W każdym razie nie zrobiłem nic.

Tymczasem miś z moim synem tworzyli nierozłączną parę, przesiadywali w obserwatorium albo zbierali marsjańskie kamienie w pustyni za bazą, w których kryształły kwarcu błyszczały jak w ziemskich kamieniach z mego dzieciństwa.

Gdzieś pod koniec marsjańskiej zimy, gdy wzgórza na horyzoncie pociemniały od rozwijającej się wśród skał roślinności, kontrola łączności radiowej Marsa powiadomiła nas, że przechwyciła serię sygnałów, które według ich namiarów zostały nadane z naszej bazy. Reno, kierownik sekcji łączności z Ziemią, zebrał nas u siebie. Byłem jednym z kilkunastu ludzi, którzy należeli do tej sekcji, i pełniłem obowiązki głównego inżyniera drugiej zmiany.

— To bzdura — powiedział Reno. — Kto i po co miałby od nas coś takiego nadawać. Namierzyl jakież sygnały rakiet, jak zwykle niedokładnie, i teraz szukają winnego. Wiecie, jak oni tam pracują. Rozumiem, że muszą przedstawić jakieś osiągnięcia tej swojej placówki, ale dlaczego nas w to mieszają...

— Raport podaje dokładny czas i jest podpisany przez samego Twera...

— Nabrali go. Zwyczajnie nabrali. Ta banda, która przyleciała zaraz po studiach z Ziemi. Im się jeszcze wydaje, że Mars to tajemnicza planeta, na której dzieją się historie, jakie na Ziemi nie zdarzają się. Nie wiecie, jak to jest? Wszyscy przeszliśmy przez to.

Nikt nie oponował, bo Reno przeżył na Marsie tyle lat, ile wszyscy pozostali razem. Wyjaśnienie w tej sprawie przygotował nasz stażysta. Nie zawierało ono właściwie nic obraźliwego, ale sugestia, by dali nam święty spokój, była dość wyraźna.

Potem przez kilka dni nic się nie działo, aż przysłała do nas wiadomość z Ziemi. Kontrola radiowa Marsa po naszym „wyjaśnieniu” przesłała zapis sygnałów do Ogólnoplanetarnego Instytutu Szyfrów. Tekst po rozszyfrowaniu był lakoniczny: „Fragmentaryczny transfer zrealizowany”, natomiast sam szyfr był na tyle skomplikowany, że Instytut równocześnie z tekstem przysłał podziękowanie za tak interesującą i niespotykaną próbkę szyfru.

Na drugim zebraniu Reno dalej w nic nie wierzył, ale nie był już tak pewny siebie. Po zebraniu poprosił mnie na chwilę do swego gabinetu.

— Widzisz, Andrzej, ja w to wszystko nie wierzę, ale nie chciałbym, żeby ktokolwiek mógł powiedzieć, że zlekceważyłem tę całą sprawę. Chciałbym się ciebie poradzić, jak ich przekonać, że to nie od nas pochodzą te sygnały.

— To trudna sprawa. Niezbyt wiele wiemy o tych sygnałach.

— Mimo wszystko coś jednak wiemy — powiedział Reno. I wtedy zrozumiałem, iż nie jest tak zupełnie pewny, że sygnały te nie pochodziły z naszej bazy.

— Mam pewien pomysł... — powiedziałem i urwałem, bo wtedy właśnie w drzwiach gabinetu stanął miś.

— S... syn cię szuka — wyjąkał.

— Zaraz idę... — I wtedy spostrzegłem zdziwiony wzrok Rena.

— Co się stało? — zapytałem.

— Nie rozumiem... nie rozumiem, jak automat wejściowy przepuścił tę zabawkę.

Spostrzeżenie było proste, ale jakże trafne. Ja, przyzwyczajony do stałej obecności misia, nie zwróciłem na to uwagi. Ale Reno miał rację. Automat wejściowy jego gabinetu nie powinien przepuścić żadnego człowieka czy automatu bez specjalnego zezwolenia.

— Jak tu wszedłeś? — zapytał misia.

— Normalnie. Na dwóch łapach — odpowiedziała zabawka.

Reno poczerwieniał i wybiegł z gabinetu.

— Co się stało z synem? — zapytałem misia.

— Poparzył się prądem wysokiej częstotliwości.

— Coś poważnego? Już idę. Prowadź.

— Nic takiego. Możesz dokończyć rozmowę. Tylko ręka.

— A gdzie ją włożył?

Miś nie zdążył odpowiedzieć, bo wrócił Reno. Był blady.

— Automat... automat dostał zezwolenie na przepuszczenie tej... zabawki... Od kogo? Pytam się, od kogo?

— Nie ode mnie — powiedziałem.

— Więc od kogo? Może ty wiesz, kreaturo?

— Ja wszedłem i już.

— To wiem. Ale skąd?

— Reno, przecież to zwykła zabawka. Nie będzie tego wiedzieć. Pewnie jakieś przekłamanie z centralnego mózgu bazy. To się zdarza.

— Ale nie powinno.

— Oczywiście, ale automaty są zawodne.

— Nie powinny!

— Jasne, ale skończmy naszą rozmowę. Muszę już iść, bo mój syn poparzył sobie rękę prądem naskórkowym.

— Dobrze, cóż więc proponujesz?

— Założę zupełnie niezależną sygnalizację nadawania u siebie w gabinecie, odbierającą sygnały na zewnątrz bazy. Co o tym sądzisz?

— Chyba dobry pomysł. Tyle że nie wierzę, by w ogóle te sygnały się powtórzyły.

Wyszedłem z misiem i poszliśmy do syna. Jego rękę opatrzył już automed. Gdy podszedłem do fotela, w którym siedział, nie spojrzał na mnie.

— Muszę się uczyć — powiedział.

— Słusznie, ale skąd ta refleksja?

— Nie potrafię zrobić najprostszej rzeczy i nawet Bob się ze mnie śmieje.

— Gdzieś poparzył rękę? — zapytałem.

— Nie powiem — nadal nie patrzył na mnie.

— Ale zrozum, to trzeba zabezpieczyć. Inni także mogą się poparzyć.

— Nie powiem — powtórzył z uporem.

— Jak chcesz. Więc ty powiedz, Bob, gdzie to było?

— Nie wiem — odpowiedział Bob i wtedy spostrzegłem wzrok syna. Ze zdumieniem i chyba z odrobiną strachu patrzył na Boba.

Instalacje odbioru zewnętrznego założyłem dwie, zupełnie od siebie niezależne, jedną w gabinecie, drugą przy pulpitych mnemotronów. Myślę, że kierowało mną zwykłe wygodnictwo. Instalacje były proste, ich założenie nie przedstawiało żadnych trudności, a niewygodnie byłoby pracując przy mnemotronach nasłuchiwać równocześnie brzęczyka z gabinetu. Potem w wideotronii powiedziano, że kierowała mną przezorność starego inżyniera doceniającego zawodne działanie automatów. Ale to chyba nie było tak.

Wtedy minęła chyba północ. Siedziałem w gabinecie nad jakimiś wykresami, gdy nagle wydało mi się, że w sali mnemotronów słyszę brzęczyk. Nadsłuchiwałem przez chwilę. Tak, nie było wątpliwości. To był brzęczyk założonego przeze mnie urządzenia alarmowego.

Już biegnąc do centrum nadawczego bazy uświadomiłem sobie, że druga instalacja w moim gabinecie nie nadała sygnału alarmu. Pomyślałem wtedy, że po prostu niezbyt dokładnie ją sprawdziłem, i byłem zły na siebie, bo nie lubię niedokładnej roboty.

Dyżurny android centrum przepuścił mnie, gdy podałem hasło. Ten, który przeszedł tędy przede mną, także musiał znać hasło, a więc jest to jeden z nas, pomyślałem.

Biegłem teraz korytarzem do sali nadawczej, ale jej drzwi nie przepuściły mnie. Szarpnąłem dźwignie — daremnie. Drzwi zostały zablokowane, zablokowane centralnie ze sterowania bazy. Zrozumiałem, że ktoś, kto jest tam w środku i z naszej anteny wysyła w Kosmos sygnały, ma dostęp do centralnego mózgu bazy. I wtedy zacząłem się bać. Mimo to działałem optymalnie, z przyzwyczajenia zapewne.

Pobiegłem z powrotem korytarzem do drzwi wejściowych. Otworzyłem je i zablokowałem, tak że nie mogły być zamknięte na polecenie zespołów koordynujących bazy. Potem spojrzałem na androida. Musiałem mieć chociaż jeden automat do swojej dyspozycji. Doskoczyłem do niego i wyrwałem mu czułki odbioru sygnałów centralnych. Szarpnął się, ale nie zaatakował mnie, bo byłem człowiekiem.

Potem chciałem się połączyć wideotronicznie z Renem, ale łączności już nie było. Centralny mózg bazy zablokował kanały informacyjne. Spodziewałem się tego. I wtedy zrobiłem coś, co można zrobić tylko wtedy, gdy życie mieszkańców bazy jest w niebezpieczeństwie. Szarpnąłem dźwignię alarmu pierwszego stopnia. Przytrzymująca ją stalowa nić spięta plombą napięła się, lecz wytrzymała. Wtedy uwiesiłem się całym ciężarem na dźwigni. Nić pękła raniąc mnie w rękę. Równocześnie usłyszałem narastające zawodzenie syren i głuche uderzenia zapadających

gazoszczelnych grodzi. Towarzyszył temu jeszcze jeden dźwięk. Zewnętrznym korytarzem zbliżając się do centrum nadawania szły automaty. Wiedziałem, że mnie nie mogą nic zrobić. Byłem człowiekiem. Ale mogły mi zniszczyć narzędzia i jedyny android. Mogły... jeśli sterował nimi centralny mózg bazy.

Broni nie miałem. W bazie nikt nie nosi broni. Wyrwałem androidowi palnik do cięcia metali, zawarłem i zablokowałem drzwi, by automaty nie mogły natychmiast wedrzeć się do wnętrza centrum nadawania, i wraz z androidem pobiegłem korytarzem do sali nadawczej. Jej drzwi rozwarły się. Wydało mi się to podejrzane.

— Idź — powiedziałem do androida.

Automat wypełnił rozkaz bez wahania. Przekroczył drzwi. Wtedy z góry spadł na niego czarny przewód. Zobaczyłem błysk wyładowania i automat znieruchomiał.

Przewód zakołysał się. Nie czekałem, aż zostanie podciągnięty do góry. Wychyliłem się zza drzwi i nacisnąłem spust palnika, przesuwając regulację na pełną moc. Coś niewielkiego spadło z występu nad drzwiami, paląc się. Słyszałem przejmujący skrzek. To był miś... mój miś. Upadł na posadzkę, chciał się zerwać, ale przytrzymałem go w płomieniu, aż pancierz pękł z cichym trzaskiem i zabawka znieruchomiała. Tylko brązowe kudły na śmiesznym pysku tliły się jeszcze. Zrozumiałem, dlaczego nie działała instalacja w moim gabinecie. I wtedy... zobaczyłem syna. Siedział blady na posadzce w kącie.

— Myśmy się tylko tak bawili... — wyszeptał.

Staliśmy nad otwartymi pokrywami centralnego mózgu bazy. Wewnątrz zawieszono w płataninie przewodów luźno rozrzucone leżały nieforemne szare kryształy.

— To tutaj — powiedział Tan.

Dłoń, w której trzymał niewielki plazmowy nóż, wsunął aż po ramię między przewody. Zataczał ręką niewielkie półkola, a koniec noża płonął błękitnym żarem. Potem sięgnął drugą dłonią i wyjął dwa kryształy, z wyglądu podobne do innych.

— Już gotowe — powiedział. — Całe szczęście, że się udało.

— Myślisz, że mogło to zagrażać całej bazie?

— Teoretycznie tak. Centralny mózg bazy steruje niemal wszystkimi agregatami bazy.

— Ale jak ta zabawka...

— Przede wszystkim po co? Komu to miało służyć? A sama zabawka to jeden z bardziej skomplikowanych automatów, jaki widziałem w życiu. Jeżeli jeszcze uwzględnimy niewielką objętość tego automatu i nie wykorzystaną przestrzeń, w której przechowywane były kryształy przed zainstalowaniem ich w mózgu bazy... — tu wskazał dłonią na leżące na posadzce nieforemne, szare bryły.

— Sądzisz, że kryształy te były przechowywane we wnętrzu misia?

— Sprawdziłem to. Gdy zainstalowany został pierwszy kryształ, nadany został pierwszy komunikat.

— A treść drugiego komunikatu?...

— „Całościowy transfer zrealizowany”.

— To znaczy, że następnych komunikatów już by nie było.

— Tak. Miś bawiłby się z twoim synem, a my nawet nie podejrzewalibyśmy, że centralny mózg naszej bazy pracuje w takt sekwencji sygnałów zmagazynowanych w obcych kryształach.

— Dla kogo jednak przeznaczone były te komunikaty?

— Tego jeszcze nie wiemy. Ale nie martw się. Odkryją i to. Kilka milionów ludzi niczego innego



nie robi w tej chwili prócz poszukiwania odbiorcy. Cała wideotronia pełna jest informacji o naszej bazie.

— Nie oglądałem.

— Żałuj. Jesteś za bohatera, który obronił samotną marsjańską bazę przed najeźdźcami z Kosmosu.

— Przesadzają.

— Jak zawsze. O inwazji z Kosmosu nie może tu być mowy. Ten miś to skomplikowany automat, lecz zwyczajny ziemski automat.

— Jesteś pewien?

— Najzupełniej. Częściowo użyte zostały nawet typowe układy produkowane seryjnie dla celów astronawigacji.

— Stąd jego wiadomości z tej dziedziny...

— Na pewno. Wiele wbudowanych informacji musiało pozostać w tych kryształach, mimo że użyte zostały w innym celu.

Milczałem chwilę. Nie wiedziałem, czy zapytać go o to, lecz w końcu się zdecydowałem.

— Powiedz, Tan, ale jak on tutaj mógł się dostać? Przecież to automat...

— Zapominasz, Andrzej, o swoim synu. On go tutaj wprowadził. Na tym polega ogromna przebiegłość twórcy tego pomysłu, na razie nie znanego jeszcze twórcy. Zamknąć ten układ w dziecięcą zabawkę. A dziecko to też człowiek. Odpowiednio zaaranżowana zabawa, przechodzą do centralnego mózgu bazy, twój syn podnosi pancerne pokrywy, a zabawka precyzyjnymi ruchami kierowanymi ze specjalnego programu wbudowuje pierwszy kryształ, nazwijmy go przystosowującym. Jego zadaniem jest przystosowanie nie znanego mózgu — w tym wypadku centralnego mózgu naszej bazy — do przyjęcia właściwego kryształu informacyjnego. Musi on zostać przejęty przez sieć mózgu tak, ażeby nie było w sygnalizacji żadnych uszkodzeń.

— A potem?

— Potem wbudowany zostaje w ten sam sposób kryształ informacyjny i mózg zaczyna działać nieco inaczej.

— Przebiegłe... — chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale wtedy wszedł Reno.

— Już wiemy, skąd się wziął u nas miś — powiedział.

— Wykryli, kto to zrobił?

— Sam się zgłosił.

— Kto?

— Profesor Taropat.

— Ten z Instytutu psychiki Automatów? Przed laty słuchałem jego wykładów. Ależ on musi mieć już dzisiaj ze sto lat — powiedział Tan.

— Osiemdziesiąt kilka. Wycofał się kilka lat temu z czynnego życia naukowego i posiada własne małe laboratorium gdzieś w Australii.

— Po co to zrobił?

Reno wzruszył ramionami.

— Podobno, żeby wykazać na przykładzie, że automaty mogą być niebezpieczne, niebezpieczne dla ludzi... To jego obsesja, obsesja od lat...

# POPYZEPIĄTY WYMIAR

Podobno cztery współrzędne wystarczą, aby jednoznacznie określić własne miejsce w czasoprzestrzeni. Zaczynam więc tę dziwną historię od współrzędnych. W samą historię wierzyć nie musicie. Zresztą, czy uwierzylibyście, nawet gdybym starał się was przekonać...

A więc było to jesienią, jesienią, która względem chwili, w której to piszę, jest przeszłością.

Tak więc współrzędną czasową już określiłem. Teraz miejsce. Historia zaczęła się w moim redakcyjnym pokoiku. Siedziałem za biurkiem i wystukiwałem na maszynie jakiś reportaż. Nie pamiętam nawet jaki, ale to nieważne. Dość że byłem w redakcji, w samym śródmieściu. Ulicą przejeżdżały samochody, oświetlone tramwaje, z kina naprzeciw wychodzili ludzie i biegli na przystanek; gdzieś nade mną w mieszkaniu grało radio. I właśnie wtedy zaczęło się. Zadzwoił telefon.

— Czołem, Jasiu. Dobrze, że cię złapałem — to był Kopot, fizyk.

— Jak się masz? Co się stało?

— Mój aparat gotów.

— Cieszę się, ale o czym mówisz?

— No, o titromie.

— Aha — powiedziałem to zdaje się bez specjalnego entuzjazmu, bo Kopot poczuł się urażony.

— No, chciałeś kiedyś przyjechać na próbę titroma. Zaczyna się za parę minut w Instytucie. Przepraszam, że tak późno ci o tym mówię, ale wiesz, jak to jest z przygotowaniami do doświadczeń. Zajmują zawsze dwa razy więcej czasu, niż możesz im poświęcić. Tym razem tak samo, ale mam nadzieję, że za to próba się uda. A wtedy masz murowaną bombę na pierwszą stronę.

— Dobrze, ale powiedz mi chociaż, do czego ten... no...

— Titrom.

— ...właśnie, więc do czego ten turom służy?

— Zobaczysz, jak przyjedziesz.

— Obawiam się, że i tak niewiele z tego zrozumiem.

— Zrozumiesz na pewno. W każdym razie wyniki będą dla ciebie rewelacją, zresztą przemawiającą do każdego.

— Przestań się chwalić i powiedz chociaż dwa słowa, żebym nie wyszedł na zupełnego ignoranta przed twoimi kolegami. Pomyśl, przyjaciel wielkiego człowieka, to zobowiązuje, nawet wtedy, gdy wielki człowiek jest fizykiem.

— Przekonałbyś mnie może, ale jest już zbyt późno. Nie mam czasu. Muszę zaczynać doświadczenie. Przyjedź zobaczysz. No, to na razie. Czekał na ciebie.

— Jestem za chwilę! — krzyknąłem w słuchawkę. Porwałem płaszcz i wybiegłem w jesienny wieczór. Mżyło i moje buty na gumie ślizgały się po mokrych płytach chodnika. Latarnie świeciły w owalu rozproszonego deszczem światła. Po asfalcie z szumem opon sunęły samochody.

W oświetlonym oknie kwiaciarni naprzeciw fioletowiały w ogromnym wazonie chryzantemy. Stałem na krawężniku, zatrzymując taksówki. Zajęta, znowu zajęta. Wreszcie jedna zwolniła i zjechała ze środka ulicy zatrzymując się przede mną.

— Instytut — rzuciłem kierowcy.

Latarnie, jedna za drugą, pozostawały w tyle. Długie, oświetlone rzędy sklepów, neony. Potem jakieś ogródki, kasztanowa aleja i żółte liście przyklepione do asfaltu, wreszcie podjazd przed Instytutem. W portierni za szybą drzemał staruszek z siwą, szczeciniastą brodą. Zapukałem w szybę.

— Którędy do pracowni doktora Kopota? Może mi pan powiedzieć?

— A jest... jest — staruszek podniósł się z krzesła.

— Ale którądy tam się idzie?

— Prosto tymi schodami na pierwsze piętro, potem na lewo długim korytarzem, trzecie drzwi na prawo; tam jest laboratorium.

— Dziękuję... — niezupełnie przekonany, czy dobrze zrozumiałem, wszedłem na schody.

Pierwsze piętro, korytarz, drzwi. To chyba tu. Wszedłem. Pokój był pusty, ciemny. Tylko z boku przez uchylone drzwi wpadała smuga światła. W półmroku dostrzegłem pod ścianami jakieś aparaty. Zwoje kabli wiły się po podłodze i znikwały w oświetlonej sali. Brodząc wśród nich, dotarłem do drzwi. Tuż za drzwiami, dwa kroki ode mnie, leżała na podłodze gruba metalowa płyta. Oświetlona reflektorem, zdawała się być centralnym punktem sali. Ku niej zwracały się ryje kilku dziwnych aparatów rozstawionych wokół. Dalej, pod ścianami, błyszczały punktami światła tablice kontrolne. Tam dostrzegłem Kopota i kilku innych mężczyzn. Ubrani w białe fartuchy, dyskutowali o czymś tak żaździe, że z dala wyglądało to raczej na kłótnię. Słów nie słyszałem. Ginęły w basowym pomruku prądów. Nie widzieli mnie w ogóle. Chciałem do nich podejść, lecz wolałem nie zbliżać się do dziwnych aparatów.

Zdecydowałem się przejść najkrótszą drogą wprost przez metalową płytę. Zaledwie jednak stanąłem na niej jedną nogą, światła na tablicach zamrugwały. Wszyscy odwrócili się jak na komendę. Widziałem dokładnie twarz Kopota. Wykrzywił się niesamowicie. Chciałem się cofnąć. Nie zdążyłem. Poczulem ciepło przenikające każdą chyba komórkę mego ciała. Przed oczyma zajaśniała mi biała, jaśniejsza od słońca plama i straciłem równowagę. Zrobiło się ciemno i upadłem.

Leżałem na metalowej płycie. Czułem jej chłód pod palcami. W laboratorium zgasły lampy i nie widziałem już nikogo. W upiornej ciszy światło księżyca rysowało na podłodze krzyże okienne. Co się stało z Kopotem i z nimi wszystkimi? Czyżbym ich zabił? Jakies wyładowanie... zresztą, czy ja wiem, co mogło się stać. Spojrzałem na miejsce, gdzie stali; wyężając wzrok, wypatrywałem na podłodze zarysu białych fartuchów. Nie, tam na pewno nikt nie leżał. W całym laboratorium nie było nikogo. Nikogo!

Ostrożnie wstałem. Staralem się zrozumieć, co się tu stało, i jednocześnie czułem, że zaczynam się bać. Wolno, krok za krokiem, rozglądając się na wszystkie strony, cofnąłem się ku drzwiom. Nacisnąłem klamkę. Były zamknięte. Czyżbym znalazł się w pułapce? Czułem krople potu występujące mi na czoło. W kącie laboratorium coś trzasnęło. Nie wytrzymałem. Z całych sił zacząłem walić w drzwi. Echo uderzeń niosło się korytarzami a ja waliłem bez opamiętania. Nagle przestałem. A może tamte drzwi, którymi wszedłem, są otwarte. Przecież kable... Skoczyłem ku drzwiom. Zamknięte na głucho, nie drgnęły nawa pod moim naciskiem. I co najważniejsze, kable zniknęły.

Wtem, gdzieś na zewnątrz, na korytarzu, usłyszałem kroki, właściwie powolne człapanie. W zamku zgrzytnął klucz, drzwi się uchylły i przez szparę wpadła smuga światła. Ktoś wszedł i przekręcił kontakt. Oślepiony światłem zamrugałem oczyma. W rogu stał staruszek z portierni.

— Co pan tu robi? Skąd pan się tu wziął? — W oczach jego dostrzegłem bezgraniczne zdumienie.

— Gdzie... gdzie Kopot? — wyjąkałem.

— O tej porze pewnie śpi w domu. Ale czego pan tu szuka?

— Kopot umówił się ze mną.

— Co, o pierwszej w nocy?

— No, nie...

— Ale jak pan tu wszedł? — staruszek podejrzliwie spojrzał na okna.

— Przecież sam mnie pan przed chwilą wpuścił.

Staruszek popatrzył na mnie, jakby dopiero teraz mnie zobaczył. Przyglądał mi się przez chwilę zastanawiając się widocznie, z kim ma do czynienia.

Potem powiedział zupełnie spokojnie:

— Panie, chcesz pan robić wariata ze mnie? Nie tędy droga. Wejść pan tu nie mógł, bo wszystko zamknięte. Mógł, pan tu tylko zostać z wieczora. Przyznaj się pan... Rozumiem, różnie w życiu bywa... — odsłonił w uśmiechu spróchniałe zęby.

— To pan robisz ze mnie wariata. Przecież dziesięć minut temu wszedłem tutaj i sam mi pan pokazał drogę. A w ogóle powiedz pan, gdzie jest Kopot — równocześnie zdałem sobie sprawę, że nie mówię, tylko głośno krzyczę.

— Mówiłem już. O tej porze prawdopodobnie śpi.

— Ale widziałem go tu przed chwilą.

— Może pan do mego zatelefonować i sprawdzić — staruszek stał się podejrzenie uprzejmy.

— Po co mam do niego dzwonić? Przecież jeśli nawet wyszedł, to do domu jeszcze nie dojechał.

— Na to panu nic nie poradzę.

— Ale przecież wychodził przed chwilą?

— Owszem, widziałem, jak wychodził o jedenastej rano. O pierwszej w nocy nigdy w Instytucie go nie ma.

— O której? — O pierwszej.

Spojrzałem na zegarek.

— Ale przecież teraz dopiero dziesiąta.

Tym razem staruszek cofnął się o kilka kroków.

— Niewątpliwie powinieś pan do niego zatelefonować — zaczął przymilnym tonem. — Chodźmy stąd. Zaraz pana zaprowadzę.

Otworzył drzwi i puścił mnie przed sobą. Zamykając uważał, by nie odwrócić się do mnie tyłem.

Telefon był w portierni. Nakręciłem numer Kopota. Słyszałem brzęczenie sygnału. Dopiero po dobrej minucie ktoś odebrał.

— Z doktorem Kopotem... — zacząłem.

— Jestem przy telefonie — powiedział niewyraźnie jak człowiek zbudzony z głębokiego snu.

— Mówi Jasio. Zaprosiłeś mnie, ja przyszedłem, a tutaj...

— Gdzie ja cię zaprosiłem? — senność w głosie Kopota ustępowała miejsca nie ukrywanemu zniecierpliwieniu.

— Zaprosiłeś mnie na doświadczenie, ja przyjechałem...

— Na jakie doświadczenie?

— Nie wiem, powiedziałaś, że na bombowe...

— Jasiu, jeżeli nawet o czymkolwiek wspomniałem, to naprawdę nie powód, by mnie budzić w środku nocy...

— Ale sam chciałeś, żebym natychmiast przyjechał.

— Jasiu, jesteś zalany. To się zdarza każdemu. Ale ja chcę spać. Nie dzwoń już więcej do mnie jutro pracuję od samego rana.

— Przecież o siódmej ty sam...

— To był na pewno ktoś inny. Proszę cię, Jasiu, jak przyjaciel, idź też spać.

— Po co w takim razie jechałem do tego Instytutu?

— Co? Jesteś w Instytucie? Skąd dzwonicz?

— Z portierni.

Na drugim końcu słuchawki Kopot milczał przez chwilę. Potem odezwał się swoim rzeczowym,

spokojnym głosem:

— Daj mi do telefonu portiera.

Wręczyłem słuchawkę stojącemu obok staruszkowi. Kopot mówił coś przez chwilę, a staruszek raz po raz powtarzał:

— Tak jest, panie doktorze. Zrozumiałem.

Potem oddał mi ceremonialnie słuchawkę.

— Słuchaj, Jasiu. Na przyszłość wygłupiaj się na własny rachunek. Nie chciałbym w każdym razie, żeby się rozniosło, iż moi przyjaciele rozrabiają po wódce w Instytucie. Słuchaj więc, powiedziałem portierowi, że jesteś dziennikarzem piszącym reportaż o nocnych stróżach i w związku z tym badałeś jego czujność, rozumiesz? A teraz naprawdę idź do domu,

— Chciałem ci tylko opowiedzieć...

— Dobranoc — Kopot powiedział to stanowczym tonem i zaraz potem brzęknęła odłożona słuchawka. Wzruszyłem ramionami.

— Proszę bardzo, zaraz panu otworzę drzwi wejściowe — staruszek z kluczem w ręku poszedł przodem.

Z dworu powiało świeżym nocnym powietrzem. Nad kamiennymi schodami zapłonęła lampa. Wyszedłem.

— Ale pan nie napisze, że mnie pan podszedł — w głosie staruszka wyczułem prośbę. — Wie pan, człowiek już stary, trochę się zdrzemnie, ale jakby się dowiedzieli, mogliby z pracy zwolnić.

— Nic nie napiszę... — bąknąłem.

— Serdecznie dziękuję, ale też pan wszedłeś jak duch... Jak duch. — Ale ja rzeczywiście wszedłem jak duch, i co gorsza, w niezrozumiały dla mnie sposób. A może Kopot zrobił mi kawał? Ale coś by przecież teraz już powiedział. Zresztą w jaki sposób zdążył dojść do domu. Nie, to zupełnie niemożliwe. A może on jednak miał rację i ja się po prostu zalałem. Ciekawe tylko, w jaki sposób i kiedy. Nic takiego nie pamiętam, ale to żaden dowód. Z drugiej strony, pamiętam jednak wszystko, i to logicznie, po kolei.

Przecież Kopot telefonował do mnie i zaprosił mnie. Nieładnie to z jego strony, że się teraz wypiera. Chyba musiałem przeleżeć na tej płycie kilka godzin. Przedtem padał deszcz... Tak, leżałem tam parę godzin, tylko dlaczego mnie nie cucili, nie ratowali? A może uznali mnie za martwego i chcieli tylko ukryć ciało? Zostawili mnie w laboratorium i czekali dogodnej chwili, żeby mnie wynieść. Ale w takim razie ten Kopot to zimny drań. Spać w takich okolicznościach albo udawać zaspanego! Tylko po co mieliby ukrywać ciało? Ostatecznie wypadek podczas doświadczenia to nie żadna zbrodnia. Pograżony w takich rozmyślaniach, doszedłem wreszcie do domu. Dozorca po otwarciu bramy przyjrzał mi się dokładnie.

— Naprawdę, panie redaktorze, zdawało mi się, że pan przed godziną przyszedł — odpowiedział na moje powitanie. Zrobiło mi się trochę niewesoło.

— Zdawało się panu — odpowiedziałem najpewniej, jak mogłem.

— Ależ oczywiście — zgodził się pośpiesznie. — Inaczej być nie mogło. Skoro pan teraz wychodzi, a przedtem nie schodził, to znaczy, że wtedy pan nie wchodził, a raczej ten kto wchodził, to nie był pan.

— Oczywiście — powiedziałem.

— Tylko kto to mógł być? — zmartwił się nagle dozorca. Zostawiłem go przy bramie, gdy rozwiązywał ten problem, i windą wjechałem na czwarte piętro. Przekręciłem klucz. Wszedłem do ciemnego korytarza. Drzwi do pokoju były uchylone i odniosłem wrażenie, że tam ktoś jest. Wsunąłem się do pokoju, tuż przy ścianie, i usłyszałem w ciemności czyjs ciężki oddech. Rzuciłem

się do kontaktu, potykając się w ciemności o jakieś buty. Zdawało mi się, że oddech słyszę tuż, tuż nad uchem. Przekręciłem kontakt. Ujrzałem łóżko. W łóżku leżał człowiek. Spał. Któż to mógł być?

Moje zaskoczenie było zupełne. Podeszedłem do łóżka i spojrzałem w jego twarz. Krzyknąłem. On poruszył się niespokojnie. Tak, nie omyliłem się. Tym człowiekiem byłem ja. Wyskoczyłem z mieszkania i przesadzając po dwa stopnie naraz zbiegłem w dół. W bramie dzwoniłem długo. Dozorca wybiegł, dopinając płaszcz.

— Co się stało? Panie redaktorze, co się stało? — był przerażony.

Nie odpowiedziałem. Biegłem ulicą w dół, byle prędzej. Tam gdzieś za rogiem stały taksówki. Szarpnąłem drzwiczki auta i jednym tchem rzuciłem adres Kopota. To, co ujrzałem, przekraczało możliwości mojej wyobraźni. Przecież widziałem dokładnie jego, a właściwie moje włosy, mój nos, nawet moją marynarkę rzuconą na krzesło. Nie miałem wątpliwości, że to tylko fragment zdarzeń dzisiejszego wieczoru. Klucz do nich spoczywał w ręku Kopota.

Na dzwonek długo nikt nie odpowiadał. Wreszcie usłyszałem kroki i w drzwiach stanął Kopot w szlafroku.

— Co, znowu ty! — zawołał na powitanie. — Mówiłem ci, żebyś poszedł spać.

— Słuchaj, musisz mi coś wyjaśnić, ale przede wszystkim wierz mi, że nie piłem kropli alkoholu.

— Komu ty to będziesz mówił, Jasiu — Kopot filuternie zmrużył oko.

— Ależ ja naprawdę nie piłem! — Kopot spojrzał na mnie przenikliwie.

— Dotychczas nigdy nie starałeś się uchodzić za abstynenta. Chuchnij. Rzeczywiście, chyba nie piłeś. Ale w takim razie co tu robisz? Chyba stało się coś poważnego? — W jego głosie wyczułem niepokój. — Chodź do środka.

— Nie wiem, czy stało się coś poważnego, ale w każdym razie coś niesamowitego i niezrozumiałego — urwałem.

— Powiedz.

— Powiedz najpierw, czyś się nie umawiał dzisiaj ze mną o siódmej?

— Nie.

— Ale byłeś w Instytucie?

— Nie. Miałem zebranie Towarzystwa Astronautycznego.

— Ale jednak zaprosiłeś mnie na doświadczenie z tym aparatem, no, jak on się tam nazywa?

— Chodzi ci o titrom?

— O, właśnie. Więc zapraszałeś mnie?

— Nie. Miałem co prawda zamiar...

— Więc kto mnie zapraszał? Ale to jeszcze nie jest najdziwniejsze. Co powiesz na to, że cię widziałem po siódmej w Instytucie?

— Że ci się wydawało...

— Zgoda, ale czy potrafisz mi wytłumaczyć, dlaczego przychodząc do własnego domu znajduję we własnym łóżku siebie, pomimo że stoję obok łóżka? — widziałem, jak twarz Kopota ożywia się w miarę wypowiedzania przeze mnie tych słów.

— Więc działa... — powiedział to prawie z entuzjazmem.

— Nie wiem, co tam działa, lecz powiedz mi, czy majaczę, czy zwariowałem...

— Nie, jak najbardziej nie. Pozwól, Jasiu, że cię uścisknę. Przynosisz mi fantastyczną wiadomość. Nic nie mogłoby mi sprawić większej radości. To wielki dzień. Chodź, napijemy się wina.

Kopot podeszedł do barku, otworzył i wyjął z jego głębi butelkę. Patrzyłem zdumiony w najwyższym stopniu. Kopot, od kiedy go znałem, był stuprocentowym abstynentem, i to niezłomnym tak, że to wino można było zaliczyć do niesamowitych wydarzeń dnia.

— Nie wiem, z czego się tak cieszysz — powiedziałem, gdy ochłonąłem z pierwszego zdumienia.

— Ja w tym, że zobaczyłem drugiego siebie, nie widzę nic radosnego.

— Ty nie rozumiesz, ale to jest zapowiedź, gwarancja prawie, że moje doświadczenia się powiodą.

— A dzisiaj ci się nie udały?

— Dzisiaj nie robiłem doświadczeń. Zrobię je w niedzielę.

— W przyszłym tygodniu?

— Nie, w tym.

— Jak to?

— Po prostu, dzisiaj jest czwartek.

Spojrzałem na niego tępym wzrokiem.

— Ale przecież...

— Przecież co...? Przecież czwartek minął kilka dni temu lub będzie za kilka dni. To chciałeś powiedzieć?

— No... tak.

— Otóż niekoniecznie... Słyszałeś...

— Kopot!!!

To powiedział ktoś za mną. Odwróciłem się gwałtownie. W pokoju stało dwu mężczyzn.

— Kopot, ty się zapominasz.

— Ależ... — twarz Kopota stała się szara i bez wyrazu.

— Nie musisz się tłumaczyć, Kopot. Chciałeś mu wszystko powiedzieć.

— Wielki naukowiec... wielki fizyk, śmiechu warte — dodał drugi.

— Ja naprawdę słowa bym mu nie powiedział...

— Wystarczy, że go przeniosłeś w czasie. Zdaje się, już zupełnie zapomniałeś, że przyjechałeś tu na stypendium historyczne... Zaczynasz się bawić w geniusza z ich epoki...

— Ależ, panowie — przerwałem — co to wszystko ma znaczyć?

— Nie przeszkadzaj nam, chłopcze. Jesteśmy starymi przyjaciółmi Kopota — zaśmiał się. — Brzydko się zachowałeś, Kopot. Nie mówię już o tym winie... Zdziczałeś trochę.

— Gdybyśmy się w porę nie zjawili, zrobiłbyś nam taki kawał jak Eliasz.

— Nic podobnego. Zresztą to przecież inna epoka.

— Parę tysięcy w tę czy w tamtą stronę nie zmienia postaci rzeczy. On też twierdził, że nic nie zrobił, tylko pounosił się trochę na antygrawitatorach. A oni mówią o nim do dzisiaj.

— Uważajcie — przerwał Kopot — przecież Jasio słucha...

— Nie szkodzi. Po ostatnich eksperymentach w Ameryce wiemy już przecież, że jeśli nawet jeden z nich wie coś o nas, reszta mu nie wierzy.

— On jest dziennikarzem...

— Nie szkodzi. W tej epoce naukowcy i tak nie dopuszczają go do głosu. Wiesz co, Uon. — zwrócił się do drugiego proponując, żebyśmy z nim zrobili drugi eksperyment. Wie już przecież trochę...

— A sprawdziłeś, kto był jego synem, wnukiem?

Ten ich sposób mówienia zirytował mnie trochę.

— Może byście wreszcie powiedzieli, o czym właściwie mówicie. Słuchaj, Kopot, skąd wzięłeś takie typy...

— Daj spokój, Jasiu — Kopot był wyraźnie zdenerwowany.

— Zaraz ci wytłumaczę, Jasiu — ten, którego nazywano Uon, uśmiechnął się do mnie. — Otóż nasz drogi przyjaciel Kopot, specjalista od socjologii epok zamierzchłych, został wysłany na

stypendium w dwudziesty wiek...

— Wysłany skąd?

— No, z naszej epoki... z przyszłości... Nie przemęczał się tu zresztą zbytnio i używał dwudziestowiecznego życia. Widzisz, takie wino na przykład jest nie do pomyślenia w naszych czasach. Potem nasz drogi Kopot wystąpił z projektem zbudowania titroma... Nie wynika z tego, że jest wielkim naukowcem. Takie titromy buduje w naszej epoce każde dziecko już w przedszkolu. Chciał badać reakcje ludzi waszego stulecia na ten bądź co bądź interesujący dla was wynalazek. Oczywiście o przenoszeniu ludzi w czasie nie było mowy... i przenosząc ciebie nadużył zaufania.

— Ależ on wszedł przypadkiem, naprawdę przypadkiem.

— Powinieneś się był przed tym zabezpieczyć, nieprawdaż, Nou? Ludzie z naszej epoki odpowiadają za swe pomyłki.

— Nie rozumiem — powiedziałem twardo.

— Czego nie rozumiesz? — zdziwił się Nou.

— Tego... przenoszenia w czasie.

— To przecież proste. Elementarna teoria „przeskoków”. Żyjemy w normalnej czterowymiarowej przestrzeni. Ludzie z waszej epoki potrafią się poruszać tylko w trzech wymiarach, natomiast czas płynie dla nich zawsze „naprzód”. — I cóż w tym dziwnego?

— To, że naprawdę przez piąty wymiar można się dostać w każdy punkt tej czterowymiarowej przestrzeni... można się przenieść do jutra, do wczoraj, do dnia narodzin swojej matki, w epokę lodowcową czy jeszcze odleglejsze czasy... — Jak można się przenieść do czegoś, czego przecież nie ma? Przecież nie w mówicie mi chyba, że dzień wczorajszy istnieje...

— Oczywiście, że istnieje. Tak samo jak dzień jutrzejszy...

— Bzdura — powiedziałem i roześmiałem się w nos temu Nou.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

— Czekaj. Spróbuję ci to wytłumaczyć przez analogię. Wyobraź sobie, że idziesz ścieżką wśród pól. Wyobraź sobie jeszcze, że nie potrafisz spojrzeć za siebie, nie potrafisz, żebyś nie wiem jak chciał. Idziesz więc ścieżką, a przy tej ścieżce rośnie drzewo. Wiesz, że istnieje, gdy do niego się zbliżysz; po prostu widzisz je. Lecz gdy je miniesz, przestaje dla ciebie istnieć. Nigdy więcej go nie zobaczysz, bo nie potrafisz się odwrócić. Zniknęło dla ciebie jak dzień wczorajszy...

Przez chwilę myślałem intensywnie, a potem zapytałem:

— Więc twierdzisz, że nie potrafimy się odwracać w czasie... do wczoraj, tak jak ten twój przykładowy gość nie mógł odwrócić się, by zobaczyć to drzewo...

— Wspaniale. Właśnie o to chodzi. Musisz wiedzieć, że w ogóle „odwracać się” można, ale niestety to nie jest takie proste. Trzeba umieć „odwracać się” w czasie. Nie możemy odwracając się nic zmieniać w waszym świecie, bo następstwa tego przenoszą się w przyszłość i zmieniają nasz świat...

— Jak to zmieniają?

— To po prostu sławny „paradoks dziadka”. Ach prawda, ty nie możesz jeszcze nic o nim wiedzieć. Więc wyobraź sobie, że przenosisz się kilkadziesiąt lat w przeszłość i zabijasz swego dziadka, gdy był jeszcze małym chłopcem. Potem wracasz do swoich czasów i co się okazuje... Jedno z twoich rodziców nigdy nie istniało. Ty sam nigdy się nie urodziłeś...

— Absurd.

— Tylko na pierwszy rzut oka. Każdy z ludzi w waszej epoce wie, że można kształtować przyszłość. Otóż przeszłość można kształtować zupełnie identycznie... i okazuje się, że właściwie nie różnią się od siebie niczym istotnym...



— Może... ale w redakcji tego i tak nie puszcza. Takie historie nie przechodzą nawet w ogórkowym sezonie... — Uon zaśmiał się radośnie.

— Z nimi właśnie tak jest. Gdy im się coś powie, po prostu nie wierzą. Muszą wszystko sami sprawdzić...

— To właśnie stanowi potęgę rodzaju ludzkiego, jego siłę... — powiedział drugi.

— Ale pomyśl. Jesteśmy ludźmi, to widać, ale to według nich jest zbyt proste i dlatego uważają nas za Marsjan, Wenusjan czy w ogóle przybyszów z innych gwiazd. A fakt, że jesteśmy ludźmi, że jesteśmy ich potomkami, narzuca się sam. Przecież możliwość powstania na innej planecie istot rozumnych, zewnętrznie podobnych do człowieka, jest nieskończenie mało prawdopodobna...

— No cóż — Kopot wstał ze swego krzesła — po tym, co już powiedzieliście, możecie się spokojnie napić wina... To się w ogóle nie będzie liczyło w ogólnym bilansie waszych przewinień...

— Mylisz się. My robimy eksperyment. Mamy na to upoważnienie.

— A sprawdziliście, co Jasio będzie robił potem i jak dzisiejsza rozmowa może zmienić jego życie...

— Nie martw się. To już nasza sprawa.

— W każdym razie, jeśli coś się zmieniło w moich czasach, będę wiedział, gdzie szukać winnych.

Nou wzruszył ramionami, a Uon wyszedł. Po chwili wrócił, niosąc... Kopota, drugiego Kopota — martwego.

— Niech cię to nie przeraża — powiedział do mnie Nou — to tylko kopia. Ona nigdy nie żyła. Jest syntetyczna. Co prawda, jak na wasze warunki dość doskonała kopia i dysponując waszymi środkami nie można jednak wykryć żadnej różnicy między nią a Kopotem. Dlatego wasz lekarz stwierdzi, że Kopot umarł na serce...

Nou uśmiechnął się.

— No, czas na nas — Uon ułożył kopię na kanapie. — Chodźmy...

Wyszliśmy na balkon. Uon wyjął coś z kieszeni i w tej samej chwili, bez żadnego dźwięku, zjawił się, dosłownie się zjawił, bo nie widziałem, skąd nadleciał, pojazd podobny kształtem do ogromnej meduzy...

Uon zniknął w jego wnętrzu. Stałem niezdecydowany, gdy nagle Nou położył mi rękę na ramieniu.

— Przełknij to — powiedział. Podał mi okrągłą pigułkę.

— Przełknij to, a o resztę my się zatroszczymy i wrócisz tam, skąd wyruszyłeś...

Przełknąłem ją... i stałem na metalowej płycie titroma. Ludzie w białych fartuchach stali przy deskach rozdzielczych jak wtedy. Jeden z nich mnie zobaczył.

— Proszę zejść z ekranu! — zawołał.

— Chyba nic mi się nie stało? — zapytałem, podchodząc do niego.

— Nie, to jeszcze nie działa, ale lepiej nie wchodzić na ekran.

— A kiedy uruchomicie aparat?

— Zaraz, jak tylko przyjdzie Kopot — spojrzał na zegarek. — Nie wiem, dlaczego się spóźnia. Powinien już tu być od godziny...

# GATUNEK HOMOSAPIENS

Ako wyłączył silnik i ledwie odczuwalna wibracja kadłuba ustała.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział. — Baza jest tam, za tym grzbietem — ręką wskazał piętrzący się w czołowym ekranie garb skalny. — Wolałem lądować tak, by nas nie widzieli — dodał.

— Wspaniale, że ci się udało. Kilka metrów dalej i zostalibyśmy na zawsze w tym miłym miejscu — War spojrzał na ostro oświetloną krawędź skalnej półki, na której wylądowali. Dalej zaczynała się przepaść, księżycowa przepaść, czarna jak sam Kosmos, z dnem nie oświetlonym ani jednym promieniem Słońca.

— Tak, dalej jest przepaść, głupie kilkadziesiąt metrów, widziałem na radarze — wyjaśnił Ako.

— Ty jesteś znany z takich wyczynów, Ako. Będę jeszcze na twoim pogrzebie.

Ako zaśmiał się.

— Nie masz racji, War. W instrukcji lotu mani wyraźnie powiedziane: wylądować w pobliżu bazy, w terenie niedostępnym bezpośrednio z niej obserwacji. To nie moja wina, że wszystkie takie tereny bardziej nadają się do wspinaczek selenistycznych niż na lądowiska rakiet. Jesteśmy na Księżycu, nie na Ziemi.

— W porządku. Nie ma o czym mówić.

— Ale miałeś emocje?

— To dopiero początek. Lądowanie na skraju przepaści, wędrówka wśród księżycowych skał, no i sama baza...

Także przypuszczam, że największe emocje są jeszcze przed tobą — Ako powiedział to poważnie, mimo że War wypatrywał śladu uśmiechu na jego twarzy.

— Zobaczymy — powiedział w końcu.

— W każdym razie, pamiętaj, wracam do bazy i jesteście tam na nasłuchu na zarezerwowanej fali. I bardzo cię proszę, wiesz, tak zupełnie prywatnie, jak kolegę, jakby coś się tam zaczęło dziać, nadaj wezwanie. Nie czekaj, co z tego wyniknie.

— Do byle głupstwa nie będę was wzywał. Zresztą, co mi się w końcu może stać. Za dwa dni przylecisz. Poza tym biorę pojemnik z dezintegratorem — War wzruszył ramionami i sięgnął po hełm.

— Tego właśnie nie wiesz, co ci się może stać. Z Setem nie możemy się porozumieć już drugi tydzień.

War nie odpowiedział. Nałożył hełm i przekręcił zawory. Potem wstał z fotela, chwycił pojemnik, potężny aluminiowy walec, który tutaj prawie nic nie ważył, i wyszedł przez śluzę na zewnątrz.

Rakietka stała w cieniu skały i tylko jej wysunięte anteny świeciły oślepiającym blaskiem. War wszedł na nasłonecznioną część półki i skinął ręką na pożegnanie. Skała drgnęła, gdy Ako wystartował. War patrzył jeszcze chwilę w niktące ognie dysz, a potem ruszył wśród głazów, tuż nad przepaścią, ku oświetlonemu grzbietowi. Tam, za tym masywem górskim, w kotlinie leżała baza.

Zobaczył ją w drugiej godzinie marszu, gdy minął skały grzbietu. Leżała w dole — biała półkolista narośl na szarym, chropowatym podłożu skał. Schodził ku niej długo, bo szedł po zacienionym zboczu, którego nierówności widział tylko na małym ekranie odbiornika infraczerwieni, wbudowanym wewnątrz hełmu.

Wreszcie zszedł na względnie równe dno kotliny i wtedy nadał wezwanie:

— Kotlina Światła Skał na odbiorze...

Odpowiedź nadeszła po chwili.

Kobieta — pomyślał — to musi być ona.

— Tu War, selenista. Jestem przed waszymi śluzami. Wpuśćcie mnie do środka — mówiąc to podchodził coraz bliżej ku bazie.

— Otwieram śluzę i schodzę do ciebie — powiedział ten sam głos.

Wejście do śluz zaznaczone było jak zwykle białym fosforyzującym pasem. Gdy śluzę rozsunięły się, wszedł do wnętrza i czekał w komorze przejściowej, aż ciśnienie powietrza osiągnie normę. Potem zdjął hełm.

Czekała na niego u wejścia do korytarza prowadzącego ku wnętrzu bazy.

— O, El, co ty tu robisz?

Wspaniale się dziwię — pomyślał o sobie z uznaniem.

— A więc to jednak jesteś ty. Od kiedy usłyszałam twoje nazwisko, zastanawiałam się nad tym. Cieszę się, że cię widzę — uściśnęła mu mocno dłoń i spojrzała nań z bliska. — Nic się nie zmieniłeś, War.

— Ty też. Ale powiedz, co tu robisz w tej bazie?

— Jestem asystentem docenta Woorra.

— Woorra mówisz. Wydaje mi się, że gdzieś słyszałem już to nazwisko...

Dobrze, War, coraz lepiej — pomyślał równocześnie.

— Możliwe... Pewnie jeszcze na Ziemi. Kierował placówką nasłuchu kosmicznego w Portos w Andach.

— Portos, mówisz? Czekaj, to tam była ta historia z odbiorem serii prawidłowych?

— To właśnie Woor — powiedziała to zupełnie spokojnie.

— Rzeczywiście, teraz przypominam sobie. Po tej mistyfikacji musiał zrezygnować z kierownictwa.

— To nie była mistyfikacja, War.

— Tylko co?

— On rzeczywiście odebrał te sygnały.

— Wiesz, El, trudno mi zabierać głos w tej sprawie. Nie byłem tam. Ale, jeżeli sobie dobrze przypominam, dalszy nasłuch nie doprowadził do niczego, a ta bajeczka z awarią automatów zapisu...

— Widzę, że interesowałaś się tą historią — przyjrzała się Warowi z uwagą.

— To była kiedyś głośna sprawa.

Błąd, popełniłeś błąd — pomyślał równocześnie. — Nie powinieneś był tak dobrze pamiętać tej historii.

— Dziwię się zresztą, że zgodziłaś się zostać jego asystentem.

— Tak się złożyło. Zresztą powiedziałam ci, ja wierzę, że on odebrał te sygnały.

— Możliwe. Wszystko jedno. W każdym razie cieszę się, że cię spotkałem. Wreszcie możesz być asystentem czym zechcesz.

— Też tak sądzę. A teraz powiedz mi, co się z tobą działo przez te parę lat, odkąd skończyliśmy studia?

— Większość czasu siedziałem na Marsie.

— W Instytucie Marsjańskim?

— Tak. Robiłem tam różne dziwne rzeczy, jakie matematyk może robić na Marsie.

— Stajesz się tajemniczy.

— Nie, El. Odwałamem zwykłą usługową robotę, którą z równym powodzeniem można robić na Ziemi. No, a teraz jestem na urlopie.

— Selenistyka?

— Trochę. Ale tylko po niewidocznej stronie Księżyca. Może to śmieszne, ale nie sprawia mi przyjemności włożenie na najtrudniejsze nawet szczyty po tamtej stronie. Świadomość, że nawet historyczni astronomowie znali je na pamięć i oglądali setki razy, nie należy do przyjemności, przynajmniej dla mnie...

— W okolicach naszej bazy nie grozi ci to.

— Wiem i dlatego tu przyjechałem. Okolice bazy Światła Skał to jedne z najmniej znanych miejsc na Księżycu. Tak twierdzą wszystkie przewodniki turystyczne.

— I nie myślą się, War. My sami tych skał wokół bazy nie znamy.

— I nie badacie tych okolic?

— Nie mamy sprzętu.

— Jak to?

— Widzisz, nasza baza jest bazą bez żadnego znaczenia. Nie ma tu złóż metali. Nie przebiegają tędy żadne szlaki komunikacyjne. Nie wiesz zapewne, że tylko my, Woor i ja, stanowimy stały personel tej bazy. Reszta to praktykanci, przybysze z Ziemi. Poza tym czasem zjawiają się turyści, tacy jak ty. Podejrzewam nawet, mimo że nikt tego nie powiedział oficjalnie, że ta baza jest czymś w rodzaju księżycowego schroniska. Peryferyjna baza bez znaczenia. Zresztą tylko dlatego Woor został jej kierownikiem po tej historii...

— I jak on to znosi?

El po raz drugi spojrzała na Wara uważnie.

— Przyzwyczał się — powiedziała. — No, chodźmy. Pokażę ci twoją kabinę.

Ruszyła przodem, a War niosąc pojemnik poszedł za nią. — Jest podejrzliwa, zdecydowanie podejrzliwa — pomyślał. — Nie rozumiem tylko, dlaczego. Przecież poinformowano mnie, że od przyjazdu Woor na Księżyc nie było w ogóle mowy o tym wszystkim.

— To tu — zatrzymała się i otworzyła drzwi. — Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie.

— Na pewno — chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nagle ekran lokalnego telewizofonu rozjaśnił się i patrzyła z niego twarz, twarz, którą, War znał ze stereofotogramu, twarz Woor.

— El, czy to Set wrócił? — zapytał Woor.

To dobrze — pomyślał War — to bardzo dobrze, że on pierwszy powiedział jego imię. Teraz wszystko będzie o wiele łatwiejsze.

— Nie, Seta nie ma.

Woor milczał, jakby czymś zaabsorbowany, i wreszcie po długiej chwili zapytał:

— Kto więc przyszedł?

— War. Nazywam się War. Jestem selenistą — powiedział War i odwrócił się twarzą do telewideofonu.

— Selenista to nie zawód. Kim jesteś naprawdę?

— Matematykiem.

— Wszyscy jesteśmy matematykami. Mniej lub więcej, ale jesteśmy. Ja chcę wiedzieć, czym się zajmujesz?

— Pracuję w Instytucie Marsjańskim, w dziale poszukiwań. — Egzamin mi urządza — pomyślał równocześnie — ale na to jestem przygotowany.

— To mój kolega — powiedziała El. — Kiedyś bliski kolega.

— Kiedyś? — War czuł się naprawdę dotknięty.

— Kiedyś na pewno.

— Dobrze — powiedział Woor — zajdź do mnie potem. Opowiesz nam o wielkim świecie.

— Nie byłem na Ziemi.

— Nie szkodzi. Dla nas wielki świat zaczyna się od centralnych baz Księżyca — zaśmiał się jakoś nieprzyjemnie. — No to do zobaczenia — ekran zgasł.

— On jest chyba trochę dziwny? — War odwrócił się ku El umieszczając równocześnie pojemnik w uchwycie.

— Wydaje ci się.

— Niewykluczone. A kto to jest Set?

— Praktykant, jedyny nasz praktykant. Ciekawy jesteś, War.

— Od urodzenia. No, ale w takim razie natłoku praktykantów nie macie.

— Nie mamy i nie będziemy mieć. Najlepsi tu nie trafiają.

— I ten Set, zamiast pracować, obija się i łązi po górach?

— Co gorsza, nie wraca już drugi dzień.

— Ale macie z nim łączność radiową?

— Nie.

— Dlaczego więc nie nadacie sygnału alarmu?

— Woor się nie zgodził.

— Jak to, drugi dzień i nie ogłaszacie alarmu? Przecież on może zginąć. To niesłychane — War podniósł głos. — Idę do Woor'a i powiem mu, co o tym myślę.

— Nigdzie nie pójdziesz. Ja... ja żartowałam... Set wyszedł przed chwilą do stacji automatycznego namiaru meteorów.

War spojrzął na El uważnie.

— Nigdy nie kłamałaś El, ale widzę, że się zmieniłaś. Nie wierzę ci.

— Ja naprawdę żartowałam. Zresztą idź do Woor'a i zapytaj go sam. Ośmieszysz się tylko. Poza tym on tu decyduje, nie ty. Jest kierownikiem tej bazy i do niego należy decyzja.

— Pójdę. Oczywiście, że pójdę. Jest chyba moim obowiązkiem wyjaśnić tę sprawę... I twoim, El — dodał.

El wzruszyła ramionami.

— Mówiłam ci, żartowałam. Ale jeśli uważasz to za swój obowiązek... Repertuar obowiązków selenistów jest, jak widzę, szeroki.

Odwrócił się i schwyciwszy pojemnik ruszył korytarzem w głąb bazy.

El szła za nim. Nie oglądał się i słyszał tylko miarowe uderzenia jej butów o akrynową posadzkę. Mijali rząd drzwi różnorodnych pracowni, które można znaleźć w każdej bazie księżycowej. Dochodzili już do centralnej sali, gdy nagle War usłyszał tupot, szybki tupot kroków. Drzwi jednej z pracowni były uchylone. War stanął. Kroki na chwilę umilkły, a potem odezwały się znowu, rytmiczne, jednostajne, tak jakby chodził automat. Były to jednak kroki człowieka. War skoczył ku drzwiom.

— Nie, nie! — krzyknęła El.

Słyszał jej krzyk i wiedział, że go ostrzega, lecz nie zatrzymał się. W pracowni panował półmrok i w pierwszej chwili oślepiiony jasnym światłem korytarza nie widział nic. Potem zobaczył mężczyznę. Mężczyzna stał chwilę nieruchomo i nagle ruszył przed siebie drobnymi krokami, tupiąc w ten sposób, jak dzieci bawiące się w pociąg. War nie odrywając wzroku od mężczyzny sięgnął do kontaktu. Sufit rozjarzył się i wtedy zobaczył jego twarz:

— Set?

— Mówiłam ci, że jest tutaj.

To był głos El, spokojny, opanowany, w niczym nie przypominający krzyku, który jeszcze słyszał. Odruchowo spojrzął na El, ale ona patrzyła nad głową Seta, gdzieś w sufit.

— Mówiłam ci, że żartowałam — powiedziała.

Set zatrzymał się na chwilę i znowu ruszył tupiąc. Nie spojrzął nawet na nich.

— Set! Set! — powtórzył. Nie było odpowiedzi. — Coście z nim zrobili? — odwrócił się ku El.

Jej twarz była bez wyrazu. Patrzyła tak, jak przedtem, nad jego głową, w sufit.

— Nie mówiłeś, że znasz Seta — powiedziała.

— Czy to ważne? Kobieto, co mu jest? — słyszał za sobą miarowy tupot kroków.

— Kłamałeś więc, War. Nie powiedziałaś, że szczególnie nim się interesujesz.

— Nie powiedziałem jeszcze dziesięciu innych rzeczy. Ale powiem. Powiem! Słyszysz? Zostałem tu wysłany, żeby dowiedzieć się, co z nim się stało, żeby wyjaśnić, dlaczego od dwu tygodni przy każdej rozmowie z centralą Seta właśnie nie ma lub właśnie wyszedł. Spodziewałem się, że spotkam tu dziwaka i dziewczynę, którą znałem...

— Teraz wiesz wszystko — powiedziała. — Ale to już nie ma znaczenia. Nie chciałam, żebyś tu wchodził — dodała tym swoim spokojnym, beznamiętnym głosem.

— Nie chciałaś... — urwał. Położył rękę na ramieniu Seta. — Set, poznajesz mnie? — zapytał.

— Jestem kosmonautą wśród gwiazd. Najpierw osiągnę Syriusza, a w drodze z powrotem odwiedzę Aldebarana.

— Sam rozumiesz, że nie mógł rozmawiać z Ziemią ani z centralą — powiedziała El.

— Ale Woor będzie musiał rozmawiać! Idę do niego!

Rzucił pojemnik i wybiegł na korytarz. Słyszał jeszcze tupot kroków Seta i głos El, która coś mówiła. Wbiegł do sali centralnej, wpadł w korytarz, na końcu którego, wiedział o tym, były drzwi gabinetu Woor. Pomyślał, że gdy będą zamknięte — wyważy je. Ale drzwi były otwarte.

— Woor, jesteś tu?! — zawołał i zatrzymał się tak nagle, że prawie upadł.

Z fotela wstał Set.

— Słucham cię i witam w naszej bazie.

— Skąd ty się tu wzięłaś? Byłaś tam w pracowni.

— Byłaś już tam...

— A Woor? Powiedz, gdzie jest Woor? — stanął przed Setem i spojrzął mu w twarz.

— Woor nie ma.

— Bzdura, rozmawiałem z nim przy wejściu.

— Ach, o to ci idzie. To tylko nagranie wideotroniczne.

Podszedł do pulpitu i w ekranie telewizofonu War zobaczył twarz. To była twarz, którą widział przy wejściu — twarz Woor.

— No więc, gdzie on jest?

— W tej postaci — Set wskazał ręką na ekran — nie ma go i nie będzie.

— A co się z nim stało?

— W tej postaci chwilowo nie istnieje.

— I nie zawiadomiliście centrali. Jak mogłeś, Set?

— Widzisz, centralę zawiadamia się tylko w wypadku śmierci. A Woor nie umarł. Tak naprawdę ja nie jestem w stu procentach Setem. Prawdziwego Seta widziałeś w pracowni. Ja tylko mam ten sam kształt. Jestem jednokształtny z Setem. Natomiast moja psychika jest równoważna psychice Woor.

— Set, ty naprawdę nie jesteś całkiem normalny.

— Ja nie jestem Set...

— A więc dobrze, nie jesteś, jeśli tak chcesz. W każdym razie muszę ci wyjaśnić, że jestem tu oficjalnie, jako wysłannik centrali, i mam prawo was stąd zabrać.

— To nie ma znaczenia. Nie zrobisz tego.

— Zrobię.

— Nie. Nie będziesz miał ochoty. Zapewniam cię.

— Dobrze, ale najpierw muszę jednak mówić z Woorem.

— Słuchaj, War. Czy nie możesz sobie wyobrazić, że oryginał może mieć kilka kopii?

— Oczywiście, że mogę, ale...

— Nie przerywaj. A czy sądzisz, że człowiek, cała informacja składająca się na daną osobowość nie może zostać przekazana dwu różnym osobnikom gatunku homo sapiens?

— Raczej nie.

— Dlaczego?

— Tego nie można zrobić.

— A może tylko ludzkość tego jeszcze nie potrafi?

— Więc ty twierdzisz, że dokonałeś takiej transformacji? — War spojrzał ciekawie na Seta.

Set nie zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się nagle i ciepły podmuch powietrza wraz z odgłosem głuchego stęknienia wtargnął do gabinetu. Zmiana ciśnienia była tak gwałtowna, że War przez chwilę nic nie słyszał.

— Co się stało? — Set podbiegł do drzwi.

— Raczej ty powinienesz to wiedzieć. Przypominało to eksplozję, gdzieś obok — urwał i pomyślał o pojemniku. W nim był dezintegrator.

— Tu nic nie mogło eksplodować. W żadnej pracowni. Nie prowadzimy eksperymentów. Mamy tylko gospodarczy reaktor zasilający.

— Zobaczę, co się stało.

— Czekaj, ja sam zobaczę — powiedział Set i skierował się ku drzwiom.

Wtedy War usłyszał terkotanie sygnalizacji alarmowej.

— Stój! — krzyknął do Seta. — Nastąpiło skażenie promieniotwórcze!

— Wywołam El — Set podszedł do mikrofonów. — El, jesteś u siebie? El, czy mnie słyszysz? — powtórzył głośnie.

— Pewnie wyszła z kabiny. Wołaj ją w całym systemie bazy — poradził War.

— Jeżeli system bazy jeszcze działa. Co tam się stało? El, tu Woor. Przyjdź do mojego gabinetu. Przyjdź natychmiast! Słyszysz?

— Nie ma jej. Chyba masz rację, Set. System łączności uległ awarii.

— Idę do służ... — urwał. — Chyba ktoś biegnie...

Teraz także War usłyszał tupot w korytarzu.

Gwałtownie szarpnięte drzwi otworzyły się z trzaskiem.

— Zatrzymajcie go! On ma dezintegrator! — El całym ciężarem oparła się o ścianę.

— Kto?

— Set. Woor, sprawdź, może jest jeszcze nad nim kontrola!

Powiedziała Woor — pomyślał War.

— Nie ma, nie ma żadnej kontroli.

Tupot był coraz bliższy.

— Uciekajmy! — krzyknął. Oni trwali w bezruchu.

— Stąd nie ma innego wyjścia, War — powiedziała El.

Tupot umilkł i w drzwiach stał Set. Podpierał się dezintegratorem jak laską. War ugiął kolana i chciał skoczyć ku niemu, gdy Set uniósł dezintegrator. Mierzył wprost w pierś Wara.

— Set, słyszysz mnie, poznajesz — wyszeptał. —

— Ty jesteś rośliną, rośliną z Syriusza, zwaną... — zastanowił się chwilę — zwaną precetaporon. A tam są zwierzęta — przesunął dezintegrator. — Ja poluję na zwierzęta — dodał tonem wyjaśnienia, a potem War zobaczył błysk, niebieski błysk, który go oślepił.

— Kotlina Światła Skał — powiedział Ako — lądujemy, War. Tam już na ciebie czekają. Będziesz miał z nimi ciężką przeprawę.

— Tak myślisz?

— Jestem pewien. Tam jest Sorv, a wiesz, jaki z niego numer — urwał i patrzył w rosnącą w zewnętrznym ekranie białą kopułę bazy.

— Ako — War mówił powoli — jesteś pewien że znalazłeś mnie przy śluzie wejściowej dopiero w dwa dni później?

— Najzupełniej. Leżałeś z dociśniętym hełmem, ułożony jak niemowlę. Masz przerwę w życiorysie?

— I rozmawiałeś z Woorem?

— Tak. Był w ekranie i powiedział, żebym nie wchodził dalej, bo korytarze są skażone promieniotwórczo.

— I nie poszedłeś?

— Nie. Skoro ciebie znalazłem. Oczywiście, w przeciwnym wypadku pchałbym się dalej. Miałem skafander, który sporo wytrzyma. To nie były żarty. Zaraz po starcie dostałem z bazy wiadomość, że nastąpił wybuch i trochę cię poturbowało...

War poczuł lekką zmianę przyspieszenia i rakieta wyhamowała przy platformie w bazie. Wychodzili już, gdy War położył rękę na ramieniu Ako.

— Słuchaj, czy nie wspominał ci, jak... jak powstało to skażenie?

— Mówił, że coś im eksplodowało w laboratorium i tyś w to wdepnął.

— A kiedy to się stało?

— Tuż przed moim przybyciem, tak powiedział Woor:

Śluzy zamknęły się za nimi. Był w tej samej komorze wejściowej i nagle zobaczył... El.

— El, cieszę się, że żyjesz — powiedział i urwał. — A może to jest Woor — pomyślał.

— Witaj, War — dawno nie widzieliśmy się.

— Nie trafił w was wtedy?

— Nie rozumiem, kto?

— No, Set.

— Dlaczego Set miał trafić?

— Jak to, wtedy tam, w gabinecie. Byłaś ty, on...

— War, ja wiem, że wdepnąłeś w tę naszą eksplozję w trzecim laboratorium. Bardzo ci współczuję.

— Nie zgrywaj się. Przecież wyemitował w was antyprotony.

— War, jest mi przykro, ale to właśnie Set zaniósł cię do śluzi.

— A gdzie on jest?

— W gabinecie Woor. Czekają na ciebie.

W gabinecie był Sorv z centralnej bazy. Oprócz niego kręciło się jeszcze kilku mężczyzn i wśród nich War poznał Seta. Cofnął się odruchowo. Sorv patrzył na Wara uważnie.

— Przeczytałem twój raport — powiedział. — Ci ludzie badają to pomieszczenie. Śladów promieniotwórczości tu nie ma. Co prawda, to był jeden niewielki wybuch i minął już miesiąc...

— Miesiąc? — War zbladł. — A Set...? — zapytał niepewnie.



— Widzisz go.

— Napisałem w raporcie prawdę — powiedział cicho War. — I przecież mój dezintegrator...

— Jest w pojemniku. Wykryłem nikłe ślady promieniowania. Mógł być używany równie dobrze rok jak miesiąc temu.

— Tak, rozumiem — powiedział War. — Nic nie potwierdza mego raportu. Jeszcze tylko jedno pytanie, Sorv. Z tego wszystkiego wynika, że miałem halucynacje, jestem niepoczytalny. Dlaczego jeszcze nie odesłaliście mnie na Ziemię rakieta pogotowia psychiatrycznego?

— Słuchaj, War — Sorv mówił powoli — takie wypadki muszą zostawić ślady. Rozumiem, to był dla ciebie wstrząs. Miałeś wysoką gorączkę... majaczyłeś... Podwójni ludzie... przyznasz, że to nie wygląda sensownie.

— Ale ja to przeżyłem... Tak było naprawdę!

— Jesteś całkowicie tego pewien?

— Tak.

— Cóż, w takim razie będziesz musiał odpocząć w zakładzie zamkniętym.

— Sorv, wierz mi, nie miałem nigdy żadnych zaburzeń psychicznych, mam wyniki badań lekarskich. Przeszedłem wszystkie testy... Naprawdę jestem zdrow.

— Rozumiem i... chcę ci pomóc. Dlatego cię tu wezwałem.

— Pomóc? W jaki sposób?

— Po prostu. Wycofaj swój raport. Niestety, nie zdołaliśmy zatrzymać go, powędrował już na Ziemię. Zdajesz sobie sprawę, że tam, na Ziemi, oni nie znają prawdziwych naszych warunków. Będzie się im wydawać, że wszyscy u nas są niezrównoważeni, a ty szczególnie...

— Nic na to nie poradzę. Napisałem tak, jak było — prawdę. Gdybym to odwołał... Nie, to niemożliwe. Nie odwołam. Tak było.

Sorv milczał, a potem zapytał:

— Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego kotlina ta nazywa się kotliną Światła Skał?

— Nie żartuj, Sorv.

— Mówię poważnie. Otóż te skały świecą. Oczywiście wykryć to można tylko za pomocą przyrządów, więc nazwa jest nieco naciągana.

— Ale co to ma do rzeczy?

— Skały te zostały napromieniowane.

— Dobrze, ale...

— Zostały napromieniowane wiele lat temu, gdy jeszcze nie było tu bazy.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Silniki statków kosmicznych podchodzących do lądowania skażają teren...

— Gwiazdoloty tutaj? — War niedowierzająco patrzył na Sorva. — Przecież tu są skały i przepaście, nic więcej.

— Kiedyś był tu równy teren. Dno krateru niezupełnie wygasłego wulkanu. Nie tak dawno, trzysta, czterysta lat temu, ułamek sekundy w geologicznej skali czasu.

— Nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z bazą...

— To proste. Tu ukryli swoją bazę. Umieścili ją w pieczarach sztucznie sfałdowanego terenu.

— Kto?

— Oni...

— Oni... Nie rozumiem, Sorv.

— Twój raport potwierdza tylko nasze przypuszczenia...

— Przypuszczenia?

— Przypuszczenia co do roli bazy Światła Skał. Czy wiesz, że ona nie odgrywała żadnej roli w systemie baz Księżyca?

— Przypominam sobie. El mówiła mi, że tu nic nie ma, że baza jest tylko schroniskiem selenistów.

— Miała rację. To jedyna niepotrzebna baza na Księżycu.

— Dlaczego więc ją zbudowano?

— To samo pytanie postawił sobie Anado.

— Kto to jest Anado?

— Twórca hipotezy rekonesansu, ale o tym później. Gdy przebywałeś w szpitalu, sprawy poszły naprzód. Baza ma dwieście lat. Chcesz się dowiedzieć czegoś bliższego o jej początkach? Sprawdziliśmy akta historyczne dotyczące wczesnego okresu kolonizacji Księżyca.

— No i co?

— Akt dotyczących bazy nie ma, zaginęły. Nikt nie potrafi odpowiedzieć, po co zbudowano tę bazę, której istnienie nie ma żadnego uzasadnienia, uzasadnienia z punktu widzenia ludzkości.

— Nie rozumiem...

— Jeszcze nic nie rozumiesz? Po prostu przybysze z Kosmosu.

— I sądzisz, że oni?

— Nie ja. Tę hipotezę wysunął Anado.

W gabinecie było cicho. Wszyscy wyszli. Został sam z Sorvem. Nagle poczuł się nieswojo. „To skojarzenia — pomyślał — to miejsce kojarzy mi się z Setem i dezintegratorem”

— Wytlumaczę ci do końca — powiedział Sorv. — Oni po prostu stawali się człekomopodobni. Przyjmowali ludzki kształt. W ten sposób mogli najłatwiej obserwować nas, ludzi. Ale nie potrafili całkowicie sztucznie syntetyzować człowieka. Musieli wykorzystywać do tego wzory żywych ludzi.

— Zabijali ich?

— Nie, powielali. Na to potrzebowali żywego człowieka i trochę czasu. Potem wymazywali z pamięci wzoru fakty związane z powielaniem i człowiek-wzór żył dalej, niczego nie podejrzewając.

— I miał sobowtóra?

— Tak. Jednego lub kilku. Tym sobowtórem był, mówiąc najogólniej, układ należący do ich cywilizacji, nie człowiek.

— To... to nieprawdopodobne!

— A czy nigdy nie słyszałeś o wypadkach zdumiewającego podobieństwa między ludźmi, którzy się nawet nie znają?

— I sądzisz, że jeden z nich...

— W świetle hipotezy Anado jest to bardzo prawdopodobne.

War siedział chwilę w milczeniu.

— Ale po co, po co oni to robią? — zapytał w końcu.

— Rekonesans. Tak twierdzi Anado. Zresztą oni to robią od setek lat. Wśród miliardów ludzi są ich tysiące.

— Ale ośrodki, w których się powielają. Gdzie one się znajdują?

— Jesteś w jednym z nich. Samotna baza bez znaczenia, do której przyjeżdżają samotni praktykanci. Opuszczają ją po jakimś czasie — powieleni. Te ośrodki muszą działać ciągle, powielając nowych nieludzi, bowiem ci ich nieludzie są śmiertelni.

— Więc Woor rzeczywiście nie żyje?

— Żyje w postaci Seta, powielonego Seta, którego ty widziałeś. A może ma już postać El.

— A tamten Set?

— Trafiłeś na moment powielania. Może jego pamięć, pamięć Seta-człowieka ulegała wtedy

wymazaniu. Może człowiek zachowuje się wtedy tak jak on właśnie.

— A skąd wiesz, że to są oni, nie ich kopie?

— A skąd wiem, że ty jesteś ty, a ja jestem ja? Nie wiem.

— Ale Woor był jednym z nich?

— To jest pewne. Gdy w kraksie raketowej zginął poprzedni kierownik tej bazy, nieczłowiek, trzeba było zastąpić go innym nieczłowiekiem. Wtedy Woor wymyślił historię z seriami prawidłowymi. Za takie rzeczy posyłano do opuszczonych baz, bez znaczenia, a w tej bazie było wolne miejsce.

— Wiesz, Sorv — War powiedział to po chwili — a może, może ja nie jestem człowiekiem?

— Ty jesteś.

— Skąd wiesz?

— Wiem. Inaczej nie mówiłbyś tego wszystkiego.

— Chyba masz rację. Teraz, gdy już wszystko wiem...

— Nie wiesz najważniejszego.

— Czego nie wiem?

— Że Anado przebywa w zakładzie zamkniętym.

— Dlaczego?

— Chyba nie sądzisz, że ktoś, kto głosi takie poglądy, nie wymaga leczenia klinicznego?

— Przecież są dowody, mój raport choćby...

— Ale o tym lekarze nie wiedzą i nie dowiedzą się. Dlatego ty musisz wycofać raport.

— Jak to?

— Nie można dopuścić do poszukiwań innych ośrodków powielania. Nie można dobrowolnie zrezygnować z tak doskonałej metody obserwacji gatunku homo sapiens.

War wpatrywał się przez chwilę w Sorva i wtedy zrozumiał...

— Więc ty, ty jesteś także?...

— Tak.

War zacisnął dłonie na poręczach fotela.

— Dlaczego mi to mówisz, dlaczego powiedziałeś mi to wszystko? — głos jego drżał lekko.

— Bo chciano wiedzieć, co się tam stało, wtedy w bazie. Tamci zginęli, wszyscy z wyjątkiem ciebie. Ci, których tu widziałeś, to tylko kopie, któreś tam z rzędu kopie wyjęte z magazynu.

— Przecież mój raport...

— Nie wiadomo, czy wszystko napisałeś w raporcie, a sprawa była poważna. Wyobraź sobie naszą sytuację. Otrzymujemy sygnał alarmu. Przybywamy tutaj. Oni, ci nieludzie, których mieliśmy do dyspozycji w tej bazie, są zniszczeni. Żyjesz tylko ty — człowiek. Paradoksalna sytuacja. Niebezpieczna sytuacja. Ludzie w ostatnich kilkuset latach zrobili ogromny krok naprzód i zaczynają niekiedy nam dorównywać.

— A Set?

— Spalił się sam dezintegratorem. W każdym razie zastaliśmy go już martwego. Musieliśmy bazę doprowadzić do porządku. Wyciągnęliśmy z magazynów kopie El i Seta. Widziałeś je. Potem chcieliśmy powielić ciebie.

— No i co?

— Nie zdążyliśmy. Dostaliśmy wiadomość, że Ako wystartował po ciebie. Wtedy jeszcze baza nie była gotowa, więc musieliśmy ciebie wypuścić stąd, żeby nie mieć kłopotów z Ako. Ale, jak widzisz, jesteś z powrotem. Zresztą wszystko, co wiesz, nie jest już dla nas niebezpieczne. Za chwilę zapomnisz o tym i pamiętać będziesz tylko podmuch, gorący podmuch wybuchu, gdy wszedłeś do

śluz.

War chciał zaprotestować, ale czuł się zmęczony, tak zmęczony jak człowiek, który przebył długą drogę w górach i wreszcie dotarł do schroniska, w którym jest ciepło i bezpiecznie.

— Czujesz senność? — zapytał Sorv. — Jesteś w zasięgu emitera.

— Czekaj,.. powiedz... po co... dlaczego wy to robicie?

Sorv uśmiechnął się.

— Bo homo sapiens jest interesującym gatunkiem. Tylko dlatego. Zbyt interesującym. Zbyt szybko się rozwija. Jest coraz więcej takich wypadków jak ten. Zmniejszacie dystans między naszymi cywilizacjami, a wasza jest o kilkanaście milionów lat młodsza. Osiągnęliście już granice układu słonecznego i za kilkaset lat może zechcecie ruszyć ku gwiazdom i osiągnąć naszą Ataridę...

Nie słyszał trzasku otwieranych drzwi. Twarz Ako zobaczył nagle tuż przed sobą... Sorv coś krzyknął, ale War nie zrozumiał tego. Oślepił go błękitny błysk, a potem poczuł orzeźwiającą woń ozonu... Odrętwienie, które odczuwał, mijało. Widział teraz znowu twarz Ako.

— Zapomnieli sprawdzić, nie wiedzieli o włączonym nadajniku, który włożyłem ci do kieszeni skafandra... Daruj, że nie wyrwałem cię stąd wcześniej, ale chciałem nagrać całą tę waszą rozmowę. To będzie uzupełnienie, wyczerpujące uzupełnienie twego raportu.

# ZEROWEROZWIĄZANIE

Łoskot, huk pękających spoiw i zgrzyt rwanego pancerza wszystko to już minęło. Cisza, ta cisza, w którą wsłuchiwała się Emi, była zwykłą księżycową ciszą. Widziała twarz Korota wykrzywioną grymasem za przezroczystą powłoką hełmu, twarz Nora pochyloną nisko nad stołem na tle ekranu zewnętrznego, w którym oślepiająco jasne skały rzucały wyjałowione ze szczegółów czarne cienie. Wiedziała, że oni również czekają, nasłuchując syku, ledwo słyszalnego syku uchodzącego na zewnątrz powietrza.

— Trzyma — powiedział wreszcie Korot. — Ta stara, zmurszała księżycowa puszka od konserw jednak wytrzymała.

— Gazoszczelne grodzie zwały się automatycznie po uderzeniu. — Nor wyprostował się i spojrzał w ekran. — Nie uderzył więc w sterowanie bazy.

— Sądysz, że to był bolid?

— Na zderzenie z Ziemią to nie wyglądało.

— No, a urządzenia dezintegrujące bazy, całe zabezpieczenie?

Dezintegratory mają zasięg setek metrów.

— To był bolid, bolid — powtórzył raz jeszcze — nie żaden drobny meteor, parujący w siłowym polu dezintegratora.

— Ciekawe. Nie było przecież sygnału alarmu. — Korot wstał i zsunął z głowy hełm.

„To nie jest istotne — pomyślała Emi. — Przynajmniej nie w tej chwili”.

— Czy to istotne? — zapytała. — Sprawdźmy lepiej urządzenia nadawcze.

Teraz Nor spojrzał wprost na nią.

— Spójrz w ekran, Emi. Widzisz, tam za tym kamieniem? To głowica emitera nadawczego. A jeśli to był bolid, powinni go byli zaobserwować na satelitach pogotowia meteorowego i zbadać miejsce jego upadku.

Wiedziała już: nie wywołają centrali i nie usłyszą przytłumionego głosu dyżurującego automatu. Spojrzała na Korota i zrozumiała, że on też w tej chwili dopiero spostrzegł wyłamaną głowicę.

— I tak dobrze, że byliśmy tutaj — powiedziała pierwsza, zanim Korot zdążył się odezwać. — To dlatego, że mieliśmy wysłuchać audycji z centrali. Centrala właściwie dobiera czas audycji. — Starła się uśmiechnąć, ale oni tego nie zauważyli. — Że też musiał uderzyć w bazę... — Korot krążył tam i z powrotem między niszą, gdzie wisiały próżniowe skafandry, i ścianą z matowo błyszczącymi ekranami telewizyjnej łączności z centralą. — Na Ziemi spaliłby się w atmosferze dziesiątki kilometrów nad jej powierzchnią... — Stał i spojrzał na nich. — Tak, ale prawdopodobieństwo trafienia w bazę... — Emi urwała.

— Prawdopodobieństwo... — Korot pochylił się nad jej fotelem. Nie masz w tej chwili większych zmartwień? Zachowujesz się, jakbyś siedziała jeszcze w audytorium w Akademii Kosmonautycznej na Ziemi. Tu jest Księżyc, rozumiesz.

— Spokój, Korot, wiemy o tym — Not nie odwrócił się nawet i dalej patrzył na skały w ekranie.

— Jak się słucha tego wszystkiego...

— Nie denerwuj się, Korot. W tym stanie zużywasz więcej tlenu — patrzyła na niego, aż wyprostował się i odszedł, a potem spojrzała w ekran, „Nor też patrzy tam, na skały i tak jak ja ma nadzieję, ale prawdopodobieństwo...

— Jest trochę duszno — powiedział Korot.

— Stężenie dwutlenku węgla podnosi się. — Nor pochylił się nad przyrządami. — Wskaźniki mam tutaj, ale regeneratory zostały po tamtej stronie.

— Wszystko zostało po tamtej stronie, awaryjna radiostacja także.

„Awaryjna radiostacja jest w automatycznym rozrządzie bazy. Rozrząd nie został zniszczony, bo uruchomił gazoszczelne grodzie. A więc zniszczone zostało tylko przejście i urządzenia zewnętrzne bazy”. Emi wiedziała, że stało się tak właśnie.

— Że też musiał trafić w przejście.

— Wolałbyś, Korot, żeby trafił w kopułę? — Tym razem Nor patrzył wprost na Korota.

„Wtedy nas by już nie było” — pomyślała Emi.

— Ile mamy jeszcze tlenu? — zapytała, bo nie chciała, aby Korot odpowiedział.

— Tu na jakieś trzy godziny i jeszcze na sześć w pojemnikach skafandrów próżniowych.

— Znajdą nas?

— Wątpię... — Nor odpowiedział dopiero po chwili.

— Więc wyjdźmy na zewnątrz. Chyba w tej komorze nie mamy nic do roboty. Tu są tylko śluzy wyjściowe i szafy ze skafandrami próżniowymi.

— Na to, Korot, mamy zawsze czas.

„Nor ma rację — pomyślała Emi — stracilibyśmy powietrze, to powietrze, którym jeszcze oddychamy”.

— Ale na zewnątrz moglibyśmy wystrzelić race, wzywać pomocy przez nadajniki naszych skafandrów. — Korot mówił coraz głośniej.

— Jesteśmy na niewidocznej z Ziemi stronie Księżyca. Tu ruchu rakiet praktycznie nie ma. — Nor podkreślał w charakterystyczny dla niego sposób końcówki wyrazów.

— Tak więc prawdopodobieństwo, by ktokolwiek odebrał nasze słabe sygnały z nadajników skafandrów, jest znikomo małe.

— Zaczynasz tak jak Emi. Prawdopodobieństwo. Cóż mnie obchodzi prawdopodobieństwo. Siedząc tutaj tracimy tylko tlen!

— A sygnały świetlne — Nor nie zmienił tonu — sygnały świetlne byłyby po prostu niedostrzegalne. Jesteśmy po oświetlonej stronie Księżyca. „Ma rację” — pomyślała Emi.

— Nor ma rację — powiedziała.

Korot zatrzymał się, siadł w fotelu i zapytał cicho:

— Więc co robimy? — A po chwili dodał: — W przyszłym tygodniu miałem być na seminarium w bazie centralnej.

— Może będziesz — powiedziała Emi. — Mamy pewne szanse. — Ale mamy równą szansę na zostanie tutaj. Słyszysz! „Rozkleił się — pomyślała. — Rozkleił się jak pierwszoroczniak w kabine ciszy”.

— Kosmonauci nie mówią bzdur — powiedziała. W Akademii Kosmonautycznej nie uczono cię takich rzeczy, Korot. Już od czasów Gagarina wiadomo, że najistotniejszą cechą kosmonauty jest opanowanie.

— Daj spokój, Emi. Przemawiasz jak stary Zodiak na wykładzie. Tu nie Akademia.

W tym rzecz, praktykancie Korot. To już nie Akademia i nie ma się co wygłupiać. Przedstawienie możesz urządzić na Ziemi w rodzinnym gronie. Jasne?

Mówię za głośno, stanowczo za głośno — pomyślała równocześnie. — A Korot nie będzie robił cyrku w rodzinnym gronie. Ma na to małe szanse. Ja także. Pewnie teraz na Ziemi jest wieczór i matka zmywa talerze po kolacji. Okno w kuchni wychodzi na rzekę, a nad rzeką wisi sierp księżyca. — Widzisz, Dei, tam jest twoja siostra Emi — mówi matka. A tu jest duszno. Ciekawe, jak z tlenem?

— Jak z tlenem?

Nor nie odpowiedział. Patrzył w ekran.

Patrzy zbyt uważnie, tak jakby rzeczywiście mógł tam zobaczyć coś jeszcze oprócz skał, gwiazd i czarnego, kosmicznego nieba.

— Chodźcie tutaj, szybko! — Nor patrzył nadal w ekran. Korot był pierwszy, a Emi stanęła za nimi.

— Wydaje mi się, że coś tam widzę, na tle tej wielkiej skały...

Porusza się. „Nic nie widzę — pomyślała Emi. — Tam jest tylko skała i jej cień”.

— O tam, z lewej strony... To chyba pojazd gaśnicowy. — Aha, widzę!... widzę!... — Korot krzyczał.

Teraz Emi widziała go także. Minął cień iglicy skalnej i pełził wśród z rzadka rozrzuconych głazów.

— Dokąd on jedzie? .

— Przypuszczam, że to automatyczny pojazd z obsługi sieci selenofizycznej — powiedział Nor.

— Zatrzymamy go. On się tu zbliża...

Patrzyli przez chwilę w milczeniu w ekran. Metalowy żuk wypełził teraz z cienia i sunął przez nasłonecznioną płytę skalną.

— Nie, mylisz się, Korot. On omija bazę szlakiem pod skałami. — Nor odwrócił się od ekranu i spojrzał na nich.

— Te automaty — Emi mówiła wolno — odpowiadają na wywołanie na fonii.

— Kto je tam wie — Korot wzruszył ramionami.

— Odpowiadają. Pamiętam. Ty pewnie latałeś wirolotem, zamiast siedzieć na zajęciach.

— Wszystko jedno. Lepiej chodźmy na zewnątrz. Trzeba jakoś zatrzymać ten automat. — Korot chwycił hełm i zacisnął uszczelniacze. „Pojazd odjedzie — pomyślała Emi — znajdzie się poza zasięgiem naszych nadajników i nie zatrzymamy go”.

— Chodźmy, Nor — powiedziała.

— Nie wszyscy. Ja idę, wy zostajecie.

— Dlaczego? Ja także idę! — Korot stał już przy wejściu do służby zewnętrznej.

— Zostajesz. Nie jesteś tam potrzebny.

— A ty?

— Ja przynajmniej wiem, jak działa ten automat. Zresztą zasadą jest, że jak najmniej ludzi powinno opuszczać bazę.

— Zostajesz, Korot. Nor ma rację — rzekła Emi i pomyślała, że mogłaby zostać sama w ciszy zniszczonej księżycowej bazy. Korot stanął niezdecydowany.

— Podaj mi przewód, Emi — powiedział Nor. — Zostawię na zewnątrz radiostację, po prostu jeszcze jeden hełm od skafandra, w który jest wbudowana, i będziemy się mogli porozumiewać... Pomóż mi włożyć skafander, Korot.

Nor w bazie nigdy nie wkładał skafandra, naśladując starych kosmonautów, wierzących w swe przeznaczenie i szczęście.

„Gdyby gazoszczelne grodzie nie wytrzymały, nie żyłby już” pomyślała Emi.

— Jeszcze hełm — Nor zacisnął uszczelniacze, podniósł hełm z radiostacją i wyszedł do służ. Trzasnęły grodzie wyjściowe, a potem słyszała jeszcze uderzenia ciężkich próżniowych butów o pancerną wykładzinę służ.

— Nie ma, w ekranie go nie ma — powiedział Korot. — Co on się tak guzdrze?

— Pewnie otwiera służy.

— Nie zdąży. Ten automat odjedzie i Nor nie dogoni go... No nareszcie, wyszedł.

Emi patrzyła na sylwetkę w skafandrze, sunącą wielometrowymi skokami naprzód, odrywającą się

za każdym razem od swego cienia czerniejącego wydłużoną, zdeformowaną projekcją na skałach. Nastroiła odbiornik i słyszała w nim świszczący oddech Nora.

— Stacja automatyczna... stacja automatyczna!... — wołał Nor.

„Woła, gdy jest w wierzchołku tej paraboli, którą zakreśla jego hełm przy każdym skoku — pomyślała Emi. — Wtedy między nim a odbiornikiem stacji nie ma skał”.

Stacja odezwała się po trzecim wywołaniu.

— Tu czwarta stacja południowe—wschodniego odcinka sieci selenofizycznej, na odbiorze. — Urządzenia głosotwórcze automatu były prymitywne i głos był zniekształcony, płaski.

— Wykonaj „Stop”, wykonaj „Stop”, wykonaj „Stop”... — Nor biegł i monotonicznie powtarzał wezwanie.

— Zatrzymał się?

— Nie wiem, automat jest dość daleko — odpowiedział Korot i nadal patrzył w ekran. — Tak, stanął. Stanął! Teraz widzę wyraźnie. Nor też to spostrzegł i teraz szedł już.

„Jest dość daleko i wygląda jak mała poruszająca się skałka pomyślała Emi. — Dojdzie do automatu, nada wezwanie pomocy”.

— Nada wezwanie pomocy i zabiorą nas stąd — powiedziała. — I po co były te wszystkie historie?

— Skąd mogliśmy wiedzieć, że zaraz zjawi się jakiś automat.

— Kosmonauci powinni byli wziąć tę możliwość pod uwagę.

— Tak, kosmonauta zawsze wszystko powinien. — Korot roześmiał się. — Zupełnie jakbym rozmawiał z Zodiakiem.

— Nie żartuj. Zodiak był łysy i wyższy ode mnie o głowę.

— Ale poza tym jesteście ładząco podobni.

— Lepiej zobacz, co z Norem — powiedziała Emi i była zła.

— Rzeczywiście, grzebie się coś długo przy tym automacie. Korot podszedł do mikrofonu. — Nor, czy mnie słyszysz? Jak tam u ciebie?

— Źle — Nor nie powiedział nic więcej.

— Co źle?

— Co się stało, Nor? — Emi wyrwała Korotowi mikrofon. — Główny nadajnik automatu uszkodzony.

— Ładna historia... Nie możesz nadawać?

— Nie.

— Naprawiasz?

— Sprawdzalem właśnie, ale wątpię, czy mi się to uda. Ten automat spadł gdzieś ze skał. Cały bok ma wgnieciony, uszkodzone zespoły nadawcze.

— A więc siedzimy i zdechniemy tutaj! — Korot rzucił się na fotel, aż gwizdnęły amortyzatory.

„I nic z tego. Automat zepsuty, baza rozbita i cisza, cisza w odbiorniku, cisza w próżni, księżycowa przeklęta fisza” pomyślała Emi i chciało jej się płakać. Ale przypomniała sobie, że jest kosmonautką, i zapytała tylko: — Więc co zrobisz? Co zrobimy, Nor? — Czekaj. Muszę go dokładnie obejrzeć. — Duszno mi — powiedział Korot.

— Sprawdź stężenie dwutlenku węgla... Albo nie, nie sprawdzaj. To i tak niczego nie zmieni.

— Nie, tu nic nie naprawię. — Nor odezwał się wreszcie.

— I co dalej?

Nor milczał chwilę, a potem powiedział:

— Myślę, że poprowadzę ten automat do najbliższej stacji automatycznej.



— Ależ to kilkanaście godzin drogi. Nie wystarczy na to tlenu ani tobie, ani nam. To nie jest rozwiązanie, Nor.

— Pojadę, Emi, na przełaj, a nie zwykłą drogą automatu.

— Zabłądzisz!

— Nie ma obawy. Jest księżycowy dzień, a ja mam mapy.

„Całe szczęście, że księżycowe mapy są tak dokładne — pomyślała Emi. — Na Ziemi nie przejechałby przez te wszystkie przełęcze, kierując się tylko podług mapy. Ale tu są i urwiska”.

— Urwisk nie ominiesz. To nie jest bezpieczne — powiedziała.

— A widzisz inne wyjście? — odezwał się z tyłu z fotela Korot.

— Ale dlaczego... dlaczego ty, Nor?

— Bo jestem już na zewnątrz. Wyjście każdego z was to nowa strata tlenu z bazy.

— Logiczne — mruknął Korot.

— Ale niesprawiedliwe! Chyba zdajesz sobie sprawę, na co on się naraża.

— Dajcie spokój dyskusjom. Będę się starał utrzymać z wami łączność, przynajmniej tak długo, dopóki się to uda.

— Życzymy ci więc powodzenia — powiedział Korot.

— Powiedziałbyś, jak w budzie: „złam kark”, ale boisz się, że mogę to potraktować zbyt dosłownie.

Emi słyszała obcy śmiech Nora, zniekształcony przez mikrofon. „A może on się rzeczywiście tak śmieje?” pomyślała. Korot wstał i podszedł do ekranu.

— Już odjechał. Pojechał wprost ku górą — powiedział.

— Widzisz go jeszcze?

— Zniknął już za skałami.

Nie patrzyła w ekran ani na mrugające czerwonym światłem alarmu wskaźniki stężenia dwutlenku węgla.

— No, słyszysz mnie? — zapytała.

— Słyszę cię doskonale — odpowiedź nadeszła natychmiast. Przede mną jeszcze kawałek równiny, a potem góry. Jeżeli mi się uda, za trzy godziny powinienem dotrzeć do automatycznej stacji. Wywołaj mnie za chwilę. Nie chcę wyczerpywać akumulatorów. — Trzy godziny i godzina, zanim nadejdzie pomoc — rzekł Korot. — Jeżeli w ogóle nadejdzie.

„Tak, on ma rację, jeżeli w ogóle nadejdzie. Te góry, białe płonące w słońcu szczyty i czerń dolin, której nie rozpraszają żółte światła pojazdu”.

— Boję się o niego — powiedziała. — Jesteś przecież selenistą. Chodziłeś w księżycowe góry. Pamiętasz te przepaście i wąskie półki skalne, głązy bezszelestnie spadające z góry, stręcane najlżejszym wstrząsem... On nie przejedzie przez te góry.

— No, to zostawi automat i pójdzie pieszo.

— Nie zostawi. Znam go. Będzie próbował przejechać. Pieszko nie osiągnie stacji za trzy godziny.

— Może spotka jakiś automat.

— Tam, w górach? Przecież w góry nawet automaty sieci selenofizycznej nie docierają.

Korot nie odpowiedział.

„On też nie wierzy, że się Norowi uda — pomyślała — a może po prostu nie zastanawiał się jeszcze nad tym”.

Odczekała jeszcze chwilę, a potem wywołała Nora.

— Słyszę cię. Wjeżdżam pod górę.

Odbiór był zniekształcony, tak że Emi z trudnością rozróżniała poszczególne słowa.

— Gdy wjadę wyżej i skały nie będą przesłaniały bazy, usłyszysz mnie wyraźniej. Muszę uważać, teren jest dość nierówny.

— Może zostaw automat i spróbuj przejść pieszo.

— Nie, Emi, nie jest tak źle. Zwykłe nierówności, trochę skał.

— A jak dalej?

— Nie wiem. Do przełęczki jeszcze daleko... — urwał nagle.

— Coś się stało?

— Tak. Widzę rakietę. Zbliża się.

Chciała coś odpowiedzieć, ale Korot odepchnął ją od mikrofonu.

— Wołaj ją! Wystrzel racę! Słyszysz! — krzyczał.

— Tu... — Nor urwał raptownie. Emi usłyszała jeszcze tylko przenikliwy chrobot.

„A więc stało się” — pomyślała Emi.

— Nadawaj! — ryczał Korot.

„Nie, on się nie odezwie” — teraz Emi była już pewna.

— Nor, odezwij się. Nor! Nor, słyszysz?! — powtarzał Korot.

— Co on tam robi? Chyba nic mu się nie stało?

— Automat. Wezwij automat na fonii — powiedziała Emi.

— Stacja automatyczna... Stacja automatyczna... Czy mnie słyszysz? — wołał teraz Korot.

Odpowiedź nadeszła po chwili, krótkiej chwili.

— ...tu czwart... stac... tu... czwart... stac... tu... czwart... stac...

Korot znieruchomiał pochylony nad mikrofonem.

„On też zrozumiał” — pomyślała. Automat powtarzał.

— ..au czwart... stac... tu... czwart... stac...

— Spadł w przepaść — powiedziała. — On zginął!

— Wycisz, wycisz ten automat.

Patrzyła bezmyślnie przed siebie.

— A może... może tylko stracił przytomność i nie możemy mu pomóc — odruchowo zmniejszyła wzmocnienie i automat umilkł.

— Nie wywołał rakiety a teraz nie mamy już żadnych szans... żadnych... Tlen się już kończy.

„Tak, muszę to zrobić. Zrobię to... Zresztą i tak wszystko jedno...”

— Emi wstała i sięgnęła po hełm.

— Dokąd idziesz? — Korot mówił teraz cicho.

— Po niego. Trafię śladami gąsienic.

— Proszę pozostać w bazie. Już dość tych nieprzemyślanych decyzji...

— To nie był głos Korota.

Fotele były miękkie, głębokie, takie jak w rakietach dalekiego zasięgu. Siedzący w nich mężczyźni nie mieli skafandrów, bo baza była wielka, bezpieczna, głęboko osadzona w skałach i bardziej przypominała małe miasto niż księżycową bazę. Obok nich na stoliku stał podręczny mnemotron i bliżej siedzący mężczyzna jednym ruchem wygasił jego ekran.

— To wszystko, Iv — powiedział.

— A co się dalej stało?

— Zabraliśmy ich.

— I to mają być kosmonauci... — Iv pokiwał głową i nadpił łyk kawy ze stojącej obok filiżanki.

— I pomysł tej dziewczyny...

— Trzeba ją zrozumieć. To był dla niej szok.

— Zgoda, ale gdyby to wszystko naprawdę im się przydarzyło?

— Zginęliby. Kosmonauci czasem giną.

Milczeli chwilę, a potem Iv znowu zapytał:

— A ten drugi, Korot. Dlaczego on nic nie wymyślił?

— To poczciwy chłopak, ale na Akademii nigdy nie błyszczał.

— To go nie tłumaczy. Aha, Got, przypominam sobie w tej chwili, czy ten Zodiak, którego wspominali, to ty?

— Mhm... Każdy u nas w Akademii ma jakieś przezwisko. Ja akurat takie. Uważasz, że złe?

— Nie, zupełnie gustowne. Bywają gorsze.

— No, ale wracając do rzeczy. Co z tym fantem zrobimy?

— Ich sprawa jest jasna. Ale co z Norem? Odważny chłopak.

— Odważny — Got wzruszył ramionami — ale odwaga to nie wszystko, przynajmniej nie u kosmonauty. Na szczęście nic poważnego mu się nie stało. Stracił przytomność, a teraz ma nogę w gipsie. Proponuję potraktować całą trójkę jednakowo.

— Zgoda.

Got nacisnął klawisz.

— Emi, Korot i Nor wzywani są przez komisję egzaminacyjną — ogłosił na korytarzu automat.

Weszli i siedli rzędem na przygotowanych krzesłach.

— Witajcie — powiedział Got. — Cieszę się, że was widzę. No cóż, jak z twoją nogą, Nor? Chodzisz jeszcze z trudnością. Pociesz się, że z automatem gorzej. Poszedł na złom. Tobie się udało... A wracając do waszego egzaminu, muszę wam powiedzieć, że wasi koledzy rozwiązywali tę sytuację na ogół lepiej... Mówię: na ogół... Chciałbym tutaj wspomnieć o najciekawszych rozwiązaniach sytuacji, którą dla was wyreżyserowaliśmy, rozwiązaniach waszych kolegów... Pierwsza grupa rozwiązań to próby dotarcia do wnętrza bazy do radiostacji awaryjnej. Grupa Roanda zrzuciła na pancerz bazy skałę ze stoku góry, o którą opiera się baza. Przez powstały otwór w pancierzu dotarli do środka. Grupa Toza natomiast odblokowała korytarz używając jako materiału wybuchowego ładunków rac świetlnych i płynnego tlenu z butli skafandrów.

— To nawet proste — Nor powiedział cicho.

— Proste, gdy już zostało wymyślone. Zaoszczędziliście nam, co prawda, naprawiania bazy, lecz nie przynosi wam to zaszczytu. Druga grupa rozwiązań dotyczy pojazdu automatycznego, który był zawsze wysyłany, oczywiście z zepsutą radiostacją.

— Nor go chyba wykorzystał — Emi powiedziała to głośno i spojrzała na Gota wyczekująco. Got uśmiechnął się samymi kącikami ust.

— Wykorzystał, ale nie w najwłaściwszy sposób. Jak słusznie zauważyłaś, Emi, jeszcze tam w bazie, prawdopodobieństwo, słyszysz, Korot — tu spojrzał na Korota — prawdopodobieństwo przedarcia się na nim przez góry praktycznie nie istniało.

— No, to co z nim robić? — zapytał Korot.

— Grupa Watary wyzyskała jego stos atomowy wywołując niewielki wybuch termojądrowy. Został on zresztą zarejestrowany na trzeciej części powierzchni Księżyca i oprócz naszych rakiet zleciała się tam cała chmara innych z różnych stron. Najczęstsze są jednak próby staranowania pancierza bazy pojazdem i dotarcia w ten sposób do jej wnętrza. To się nie zawsze udaje, ale takie rozwiązanie uznajemy za wystarczające. Pozostaje jeszcze jedna grupa, grupa zerowa rozwiązań. Do niej należą te rozwiązania, które nie zawierają w sobie nic konstruktywnego, wasze również. Przykro mi, ale komisja uznała, że wasza trójka nie zdała egzaminu.

— Gdyby się to wam naprawdę przytrafiło, nie wyszlibyście z tego z życiem — dodał Iv.

— Nie dostaniecie więc dyplomu Akademii Kosmonautycznej. Wyślemy was na dalszą praktykę na księżycy Jowisza.

— I tam zrobicie nam egzamin?

— Tak. I mam nadzieję, że tym razem wasze rozwiązanie nie będzie zerowe. Cóż, w przeciwnym razie nie będziecie kosmonautami, nigdy! W kosmosie nie można się w ogóle mylić. Każda pomyłka jest ostatnia. Na egzaminie można się mylić raz, jeden raz.

# CZŁOWIEK ZAUREOLĄ

— Tak, to ciekawe... Uważa więc pan, profesorze, że pana złota klatka jest tyle warta co dziurawy garnek, że po ogrodzie przy pana laboratorium, po ogrodzie, przeznaczonym do rozmyślań o przestrzeni zakrzywionej, w tę lub tamtą stronę snują się podejrzani osobnicy. — Pułkownik przerwał swój spacer po gabinecie i stanął przy oknie.

— Powiedziałem nieznani. — Zza swego biurka profesor widział jego sylwetkę na tle dalekich, fioletowych, oświetlonych wieczornym słońcem gór.

— Obojętne, nieznani znaczy podejrzani. — Pułkownik chwilę jeszcze stał nieruchomo, a potem podszedł do kontaktu i zapalił światło.

Dopiero teraz profesor spostrzegł rozpięty guzik munduru pod szyją pułkownika.

— W pierwszej chwili pomyślałem sobie, że to nowy pomocnik ogrodnika.

— Wykluczone. Moi pracownicy są zdyscyplinowani. Pilnują pana w sposób niedostrzegalny i nigdy nie pozwoliliby sobie na tego rodzaju nietakt, by swoim widokiem zakłócać pana twórcze rozważania.

W tej chwili znowu profesor Trot zdał sobie sprawę, jak bardzo nie cierpi pułkownika. Odpowiedział jednak spokojnie:

— Jak zwykle ma pan rację, pułkowniku. To nie był pomocnik ogrodnika ani ogrodnik, ani żaden z pana korpulentnych sprzątaczy. Nikt z personelu mego laboratorium.

— Przepraszam, profesorze — Trot spostrzegł, że pułkownik przygląda mu się badawczo. — Jeżeli dobrze pamiętam, był wtedy świt, szarawy świt. Wyszedł pan na taras, a on stał w odległości około piętnastu metrów pod krzakiem róży „Ramzes”.

— Podziwiam pana pamięć, pułkowniku Hogan.

— W każdym razie nie mógł pan widzieć jego twarzy. Personel laboratorium jest stale zmieniany, nie zna więc pan tych ludzi.

— Chce pan wiedzieć, dlaczego twierdzę, że to był człowiek z zewnątrz? Czy tak?

— To by mnie interesowało — pułkownik uśmiechnął się.

„Powiem mu, powiem mu, chociaż i tak zapewne mi nie uwierzy, ale wreszcie pójdzie do diabła i będę miał spokój” — pomyślał Trot i zrobiło mu się weselej, gdy wyobraził sobie minę pułkownika.

— Widzi pan — Trot mówił teraz cicho, tak cicho, że słyhać było szmer wentylatora wirującego na biurku. — Otóż ani moi asystenci, ani pana ludzie nie mają aureoli.

— Przepraszam, czego?

— Aureoli.

— Nie rozumiem. — Pułkownik był całkowicie zdezorientowany.

— Można to określić jako świetlisty krąg wokół głowy. Subtelna świetlista otoczka.

— Pan żartuje, profesorze.

„A teraz jest zły, naprawdę zły” — pomyślał Trot i sprawiło mu to wyraźną satysfakcję.

— Ja, pułkowniku, nie żartuję nigdy, prawie nigdy. — Nie patrzył już na pułkownika, lecz w okno na góry, które szarzały w przedwieczornym zmierzchu.

— To niemożliwe, profesorze. Ludzie nie mają aureoli.

— Przynajmniej większość ludzi — poprawił Trot i pomyślał, że teraz właśnie pułkownik wreszcie wyjdzie z gabinetu. Jednak Hogan nie wyszedł. Stał chwilę milcząc, a potem podszedł do biurka i patrząc z góry na profesora zapytał:

— I co pan wtedy zrobił?

Trot zawahał się przez moment.

— Krzyknąłem: „Niech pan chwilę zaczeka”, i wszedłem do laboratorium, by wziąć ze stołu aparat fotograficzny.

— Tak. Rzeczywiście. Usłyszał to jeden z moich... powiedzmy, z naszych pracowników. I co dalej?

— Niestety, nic. Gdy wróciłem z aparatem, w ogrodzie nikogo już nie było.

Dopiero teraz Trot spostrzegł, że Hogan poczerwieniał.

— Tam w ogóle nikogo nie było, profesorze. Pan sobie żartuje. Zamieszanie, raport do władz. — Głos jego stawał się coraz bardziej zduszony. — Laboratorium jest tak strzeżone, że to, co pan mówi, jest wykluczone, absolutnie niemożliwe. Tam nie mogło być nikogo! I jeszcze ta aureola...

— Próbuje mnie pan przekonać, pułkowniku?

„Jeszcze trochę i będę go mógł wyrzucić z gabinetu” — pomyślał Trot.

— Ależ, profesorze. Niech pan pomyśli: aureola! To przecież dziecinne. — Hogan siadł w fotelu i ujął głowę w dłonie.

„Gladiator, gladiator, któremu kazano myśleć”. Trot spojrzał na Hogana beznamiętnie jak na aktora w ekranie telewizora.

— To typowe — powiedział. — Pan jest typowym dwudziestowiecznym racjonalistą, pułkowniku Hogan. Jest pan przekonany, że wszystko, co na tym świecie było do wyjaśnienia, zostało wyjaśnione, a reszta to bajki.

— Ależ, profesorze.

— Tak. Dokładnie tak. Ale na takich ludziach jak pan opiera się nasza cywilizacja — dodał ciszej Trot, a potem siedział jeszcze nieruchomo za biurkiem, gdy kroki Hogana ucichły już na korytarzu. I wtedy zauważył, że w rogu pokoju, tuż koło biblioteki, stoi człowiek z aureolą.

Lizi przyszła jak zwykle w południe. Trot czekał na nią zawsze ze śladem niepewności. Wiedział, że kiedyś nie przyjdzie, przypuszczał jednak, że prawdopodobieństwo tego jest jeszcze znikomo małe. Pracował trochę rano i jego biurko zarzucone było papierami. Lizi pozbierała fragmenty obliczeń rozrzucone po dywanie i wtedy dopiero siadła naprzeciw niego. Nacisnęła klawisz radia, a gdy głośnik przekazywał już dźwięki skrzypiec z pełnym napięciem, powiedziała cicho:

— Porwano Topsis i Mulera.

— Skąd wiesz? — zapytał po chwili równie cicho.

— Od człowieka Hogana.

— Sądzisz, że teraz na mnie kolej?

— Niewykluczone — powiedziała zupełnie spokojnie i Trot miał jej to za złe.

Dźwięki skrzypiec stawały się coraz głośniejsze, nie do wytrzymania. Słuchał ich bawiąc się bezmyślnie ołówkiem.

— Zastanawiasz się, czy był sens zaczynać to wszystko? — zapytała.

— Nie, ta decyzja jest już poza mną. Podjąłem ją wtedy, gdy pierwszy raz rozmawiałem z tobą. Pamiętasz...

— Tak, tak sądzę. A co do nowej partii wzorów włożyłam je, jak zwykle, w drugi tom „Dzieł zebranych” Einsteina. Będiesz pamiętał?

— Tak, oczywiście.

— Musisz zdążyć. To najważniejsze. Te wzory prowadzą już bezpośrednio do syntezy antymaterii. Słyszysz?

— Tak.

— No, to świetnie — uśmiechnęła się. — Gdy je opracujesz, nasze dzieło zostanie zakończone.

— Nasze dzieło... Czy jesteś pewna, Lizi, że to jest właśnie... że o to nam chodziło?

— Nie rozumiem cię. Skąd nagle te wątpliwości? Przecież wiesz, mówiłam ci wielokrotnie, że antymateria to klucz do prawdziwie nowoczesnej techniki.

— Oczywiście, ale na przykład Hogan...

— Co Hogan?

— On i antymateria. Wyobrażasz to sobie?

— Niezupełnie ciebie rozumiem. Dobrze, niech będzie Hogan. W końcu taki jak wielu innych. Nawet dość przystojny.

— Och, Lizi. Żyjesz tu już tyle lat, a mimo to mam niekiedy wrażenie, jakbyś przyjechała dzisiaj...

— przerwał i zaczął słuchać uważnie komunikatu, który zastąpił w radiu skrzypce.

„A teraz podajemy komentarze prasy. Przekazana dzisiaj rano przez agencję wiadomość o zniknięciu w ciągu ostatniej doby pięciu fizyków atomowych wzbudziła niepokój opinii publicznej. Joachim Reed omawiając tę sprawę na łamach »Up and Down« stwierdza, że mimo starannych poszukiwań nie natrafiono na najmniejszy ślad zaginionych. Szczególnie sensacyjna wydaje się sprawa doktora Topsis. Tops zniknął w czasie pracy ze swego strzeżonego gabinetu. Funkcjonariusz Dowel, który pierwszy zauważył nieobecność doktora i przeszukał gabinet, twierdzi, że spostrzegł na biurku dymiącą jeszcze fajkę oraz rozrzucone notatki. Gdy wrócił do gabinetu z wezwanym szefem ochrony, fajki ani papierosów już nie było...”

— Wyłączę to — powiedziała Lizi i nacisnęła klawisz wyłącznika. — Pięciu, i to jednego dnia, to dużo. Musieli zdobyć jakieś nowe informacje. — Spojrzała na Trota. — Nie przejmuj się tym aż tak bardzo. W najgorszym wypadku na dorocznym zjeździe atomistów w Toropa brać będą udział sami emeryci. Pojadę tam jako... hm... wdowa po tobie.

— Bez głupich kawałów, Lizi.

— Nie lubisz prawdy w formie bezpośredniej. To dla twego wieku charakterystyczne.

— Nie żartuj. Wiesz o tym, że teraz już moja kolej.

— Dopiero, gdy przekażesz wzory. Pamiętaj o tym.

— A reszta nieważna. Co dalej będzie, to cię nie interesuje? — zapytał i wiedział, że to jej rzeczywiście nie interesuje.

Wzruszyła ramionami.

— Cóż chcesz, mój drogi. W ciągu dwu lat stałeś się jednym z najwybitniejszych uczonych na tym kontynencie. To chyba warte jest tej ceny. Nie sądzisz?

— Przestań!

— W każdym razie masz spakowaną walizeczkę w swoim gabinecie. Kilka koszul, sweter, skarpetki. Ostatnio dołożyłam ci spinki do mankietów. Staram się być dobrą żoną, a ty tego nie zauważasz. Nie wiem tylko, czy pozwolą ci to wszystko zabrać. Chociaż jeśli Topsisowi pozwolili zabrać fajkę...

Trot patrzył w jej twarz, wielkie szarawe oczy i wystające kości policzkowe. „Muszę być spokojny — powtarzał sobie. — Teraz i tak niczego już nie zmienię” — i w pewnej chwili poczuł, że jest już spokojny.

— Obawiam się — powiedział — że Tops będzie miał kłopot z tytoniem. Przepadał za dobrym tytoniem.

A gdy spostrzegł, że Lizi patrzy nań badawczo, dodał: — Wiesz, poproszę tu Hogana. Porozmawiamy sobie trochę na interesujące go tematy.

— Czy nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdyby te wzory...

— Daj mi spokój ze wzorami. Na to też przyjdzie czas. Jesteś niecierpliwa jak... zwyczajna

kobieta.

Trot wcisnął klawisz wizofonu.

— Z pułkownikiem Hoganem... — powiedział.

— Jestem, profesorze — twarz Hogana wypełniła cały ekran.

— I co pan na to?

— Jest pan zaniepokojony, profesorze?

— Zaniepokojony? Skądże. Chciałbym jednak zobaczyć się z panem, tu u mnie.

— Dobrze, profesorze. Już idę. — Ekran zszarzał.

— Zaraz tu będzie. Porozmawiamy sobie. — Trot powiedział to z pewną satysfakcją.

— Może przekaż przez niego wzory. To może być ostatnia szansa.

— Przesadzasz, Lizi. Oni nie są wszechwiedzący.

— Ale są systematyczni, śmiertelnie systematyczni. To chyba ich najbardziej charakterystyczna cecha.

W drzwiach stanął Hogan.

— Jestem, profesorze. O, pani Lizi?!

— Od kiedy odizolowaliście go w sposób niemal absolutny, muszę go tutaj odwiedzać.

— Przykro nam, lecz to konieczne dla bezpieczeństwa profesora.

— Tak, oczywiście. Obawiam się tylko, że za kilka dni przestaniecie mnie tu wpuszczać. Czy nigdy nie wydawałam się panu podejrzana?

Hogan uśmiechnął się i był to uśmiech przeznaczony dla Lizi. „Ma atawistycznie rozwinięte kły” — pomyślał profesor.

— Szczerze mówiąc — Hogan uśmiechał się dalej — pani przeszłość nie jest przejrzysta.

— Ależ, pułkowniku...

— Oczywiście. Źle się wyraziłem. Pani przeszłość jest po prostu nie do udokumentowania. Od urodzenia towarzyszy pani mniej dokumentów niż statystycznemu obywatelowi tego kraju. Ale w naszym demokratycznym państwie jest to dopuszczalne.

— Widzisz, mówiłam. Pewnego dnia nie wpuszczą mnie do ciebie.

— Oczywiście żartuję. Poznała pani profesora, zanim stał się dla nas tak niezwykle cenny. To w pewnym sensie stawia panią poza sferą naszych zainteresowań.

— A może — Lizi spojrzała na Trota — może dzięki mnie znalazł się on w tej pana sferze?

„Patrzy na mnie jak na tresowaną małpę” — pomyślał Trot i wtedy odczuł satysfakcję z tego, co się zdarzyło wieczorem, z drugiego spotkania z człowiekiem z aureolą.

— Oczywiście, była pani profesorowi natchnieniem w jego twórczości.

— W pewnym sensie. Prawda, profesorze?

Teraz wiedział już, że postąpił słusznie. „Ona nigdy, nigdy nie traktowała mnie poważnie. Byłem zawsze dla niej... zabytkiem” — pomyślał.

— Lizi — powiedział — mamy z pułkownikiem poważne sprawy do omówienia.

— Nie przeszkadzam. Mam nadzieję, że zobaczymy się jutro. Ja przyjdę na pewno. — Ostatnie zdanie zaakcentowała i Trot zrozumiał, że Lizi nie spodziewa się już jutro ujrzeć go w tym gabinecie.

Obejrzała się jeszcze przez ramię i wyszła.

— Zainteresowałem się aureolami — powiedział Hogan.

— Pan? Żartuje pan, pułkowniku.

— Mówię poważnie. Nie tylko pan, profesorze, widział człowieka z aureolą.

— A więc wierzy mi pan teraz?

— Czy to istotne? Ma pan rację. Miałem wątpliwości. Ale to już u mnie w pewnym stopniu



skrzywienie zawodowe.

— I pozbył się pan tych wątpliwości?

— Tak.

— No i...?

— Cóż, przestudiowałem zagadnienie. O aureoli nie napisano zbyt wiele. W sztuce chrześcijańskiej pojawiła się gdzieś w czwartym wieku. Sam pomysł pochodzi z buddyzmu. To chyba wszystko.

— Ma pan zadziwiające wiadomości.

— Staramy się być wszechstronni.

— Tak, ja też się nad tym zastanawiałem. Oczywiście po amatorsku, bez wiadomości źródłowych. Nad panem mam może tę przewagę, że ja widziałem człowieka z aureolą.

— I jakie pana wnioski?

— Na najstarszych obrazach aureola występuje w postaci krążka, bez względu na położenie głowy, obojętne, czy twarz jest z profilu, czy en face. Wniosek jest oczywisty.

Teraz Hogan spojrział na profesora badawczo. „Ten gladiator nie jest taki głupi” — pomyślał Trot.

— Ciekawe — Hogan mówił teraz powoli. — To fakt, że aureolę miewali ludzie co najmniej niezwykli, dlatego później kojarzono ją ze świętymi.

— Pan sprawnie myśli, Hogan — pochwalił go profesor. — Specjalnie pana w to wszystko wprowadziłem, żeby się pan mógł osobiście o wszystkim przekonać.

— Nie rozumiem. Czy chce pan przez to powiedzieć, że pan, profesorze, wie... — Hogan cofnął się ku drzwiom.

— Teraz przepadło. Pan wie i oni wiedzą o tym. Nie wyjdzie pan już stąd. Wciągnąłem w to pana i z tego nie ma wyjścia.

— Wolne żarty, profesorze — Hogan odwrócił się w kierunku drzwi, lecz w drzwiach stał człowiek, niski mały człowiek w szarym kombinezonie i z głową, która wyglądała na nieco zdeformowaną.

— Kto... kto pan jest? — Hogan wyszarpnął z kieszeni mały, czarny rewolwer. Wyszarpnięte z rewolwerem przedmioty: jakiś kalendarz i duża biała chustka, upadły na dywan.

— Schowaj, Hogan, tę spluwę — powiedział człowieczek. — Będę ją musiał rozwalić i przypadkiem mogę ci rękę uciąć. No!

— Ręce na kark, bo strzelam! — Hogan powiedział to spokojnie i Trot pomyślał o nim, że ma zdrowe nerwy. Mały człowieczek wysunął z rękawa bluzy coś, co nie było ręką. Jego ruch był szybki, zbyt szybki jak na człowieka. Hogan nie zdążył nawet nacisnąć spustu, gdy niewidoczna siła wytrąciła mu rewolwer z dłoni. Cios był tak silny, że Hogan zachwiał się.

— Spokojnie, Hogan. Tylko bez wygłupów. Widzisz, że są lepsi od ciebie.

— Ma pan świetnie opanowany język współczesny — powiedział Trot.

— Uczyłem się go z waszych książek. Powiedz temu Hoganowi, że nagły skok do drzwi nic mu nie da, tak samo jak próba zwalenia mnie z nóg. Niech zrozumie, że wsiąkł.

— On ma rację, pułkowniku — spojrział na Hogana, który spokojnie masował swoją prawą dłoń.

— Jesteś wściekle przedsiębiorczy facet — człowieczek mówił teraz do Hogana — ale nie masz się po co gimnastykować. Kapujesz?

— Jak ten kryminalista się tu dostał? Jak pan myśli, profesorze?

— Normalnie. Przez piąty wymiar — człowieczek odpowiedział natychmiast.

— O czym on mówi?

— Słuchaj, Trot, ten facet jest zupełnie zielony.

— On jest, pułkowniku, z przyszłości. Rzeczywiście nie przypuszczam, żeby mógł pan coś na to wszystko poradzić.

— Zawołam ludzi!

— Ta przestrzeń jest w poślizgu czasowym i stąd nie wypryśniesz — człowieczek mówił to z wyraźną satysfakcją.

— Przypuszczam, pułkowniku, że on mówi prawdę. Jednakże zastanawia mnie brak aureoli u tego osobnika.

— Nie ma pan większych zmartwień, profesorze?

— W każdym razie to zastanawiające.

— No, spływamy stąd — człowieczek przerwał profesorowi w pół zdania. — Uwaga, rozpinam pole. Nie ruszać się.

Coś brzęknęło jak tłuczona szklanka i wtedy Trot zobaczył Lizi. Stała przy drzwiach.

— Android, stop! Wymazuj pamięć — powiedziała Lizi i człowieczek znieruchomiał.

— Zgłaszam stały program zamknięty. Jestem specjalizowany.

— Polecam: wymazuj! — powtórzyła.

— Wykonuję — odpowiedział człowieczek i Trot usłyszał delikatny szum, szum podobny do szumu mrowiska.

— Coś ty mu zrobiła? — zapytał.

— Nic wielkiego. Wymazałam mu pamięć. To tylko automat.

— Jak... jak pani to zrobiła...? Pani... pani jest stamtąd...

— Teraz już pan wie, pułkowniku.

— Zaraz... ja... — Hogan podszedł do drzwi.

— Nie wyjdzie pan stąd. Jesteśmy dalej w poślizgu czasu. Nie przekazałeś mu jeszcze wzorów? — spojrzała na Trota uważnie.

— Nie — odpowiedział Trot po sekundzie wahania.

— To świetnie. Wyślę go w przyszłość za ciebie.

— Nie rozumiem.

— Przeprogramuję automat i on zabierze Hogana. Musisz zinterpretować te wzory.

— Nie... ja protestuję, nie chcę. Nie dam się stąd zabrać!

— Przeniesie się pan w przyszłość, bez względu na to, czy chce pan, czy nie. W dwudziesty piąty wiek. To zresztą pana obowiązek bronić profesora z narażeniem życia. A pan nie zginie, pan będzie żył. W przyszłości są specjalne rezerwy dla ludzi z wcześniejszych epok. Polowanie, jazda konna. Żadnych trosk. Te rezerwy są wspólne dla ludzi z pierwszych dwudziestu wieków.

— Ja z jaskiniowcami z pierwszych wieków?!

— Pochodzi pan z okresu, w którym ludzie atakowali swój gatunek. Nic na to nie poradzę. Zresztą tam nie jest tak źle. Automaty likwidują większość konfliktów. Pozostawia się ich tylko tyle, by nie zatracić atmosfery i kolorytu tamtych czasów. — Lizi uśmiechnęła się pogodnie.

Wtedy Hogan skoczył. Skoczył ku Lizi, ale android był szybszy. Uderzenie zbiło go z nóg i zwałił się twarzą w puszysty dywan.

— Słuchaj, Lizi, czy to wszystko ma sens? Przecież oni i tak w końcu mnie znajdą.

— Nie znajdą. Zrezygnujesz z wszelkiej działalności. A jeśli nawet... Wtedy antymateria będzie już własnością ludzkości. No i ja... ja zostanę z tobą w tych czasach.

Trot chciał coś powiedzieć, lecz Lizi przerwała mu:

— Potem. Teraz muszę przeprogramować androida — podeszła do automatu i mocnym szarpnięciem odsłoniła jego szarawy pancerz. Android jednym ruchem rąk usunął pancerz i zamarł w

nienaturalnej pozie.

– In-struk-cja sie-dem-dzie-siąt pięć – wysylabizował. Trans-tem-po-ry-za-cja czło-wie-ka dwu-dzies-to-wiecz-ne-go...

Trot patrzył na Lizi i androida. Nagle poczuł cios w głowę.

— Uważaj, Liz! — krzyknął, ale Hogan był szybszy. Znieruchomiały automat z otwartym pancierzem potoczył się pod ścianę...

— Nie ruszać się! — Hogan celował do nich ze swego małego rewolweru. Trot podniósł się wolno. „Działając pod wpływem strachu ten gladiator gotów jest nas zastrzelić” — pomyślał i nagle zdał sobie sprawę z tego, że jest mu to obojętne.

— Pod ścianę. Ty też, profesorze. Słuchaj, dziewczyno, ja nie żartuję. Nie mam nic do stracenia.

Lizi podeszła do Trota.

— Jak się nazywa ten andro...

— Milcz! — Hogan krzyczał prawie histerycznie.

Leżący pod ścianą android monotonnie sylabizował:

– I-den-ty-fi-kac-ja o-sob-ni-ka w pa-mię-ci do-dat-ko-wej. Lo-ka-li-zac-ja prze-strzen-na we-dług roz-po-zna-nia ko-or-dy-na-to-ra. Mo-je has-ło...

Wtedy Hogan strzelił do androida mierząc w czarny otwór wyjętego pancerza. Trot zauważył jeszcze małe błyszczące kryształki wypadające na zewnątrz, odłupane uderzeniem kul. Android zaczął bełkotać.

— Uszkodziłeś automat!

— Chciał podać swoje hasło, a to było ci potrzebne do czegoś, nieprawdaż? Nie ruszaj się!

— Prymityw — powiedziała Lizi.

Hogan, patrząc na nią uważnie, zaczął się wycofywać ku drzwiom. Nagle Trot spostrzegł, że noga Hogana została sprężyste odrzucona niewidzialną siłą. Hogan zachwiał się.

— Co to jest?! — zawołał i Trot zrozumiał, że Hogan boi się coraz bardziej.

— Poślizg czasowy, i co ty na to, pułkowniku?

— Zlikwiduj to!

— Ani myślę.

— Nie żartuj, bo...

— Zastrzelisz mnie?

Hogan zastanowił się przez moment.

— Nie, zabiję profesora.

„Zabije mnie” — pomyślał Trot.

— Liczę do pięciu. Raz... dwa...

— Czekał, muszę zobaczyć, co z automatem — Lizi zrobiła krok naprzód.

— Stój! Sam zobaczę. Powiedz, co mam robić.

Lizi chciała odpowiedzieć i wtedy Trot usłyszał wysoki dźwięk podobny do dźwięku pękającej szklanki. Hogan krzyknął i zaczął znikać w białym, owijającym go kokonie. Po chwili widoczne były je tylko jego nogi, potem i one zniknęły. Kokon drgnął dwa razy podrzucany skurczami swego wnętrza i znieruchomiał.

— I widzisz, Lizjocjo, do czego zdolni są ci osobnicy.

Człowiek, który wypowiedział te słowa, stał pośrodku gabinetu. Był wysoki, w szarym opiętym kombinezonie, a przezroczysty subtelny hełm wokół jego głowy świecił aureolą.

Lizi milczała chwilę, a potem zapytała:

— Co zrobisz z nami?

— Odpowiedz najpierw: dlaczego nie nosisz hełmu? Wiesz, że to niedozwolone. Chcesz umrzeć na jedną z chorób tych wieków?

— Nie martw się, nie umrę. Chcesz nas zabrać w XXV wiek?

— Tak. To nie będzie dla ciebie miłe.

— Przypuszczam, ale to nieważne. I tak ja mam rację.

— Twierdzisz to nadal, nawet po doświadczeniach z Hoganem?

— To jest jednostka. Zresztą przyspieszenie rozwoju cywilizacji zmieniłoby ich.

— Wątpię. Przekazanie im technologii wytwarzania antymaterii spowodowałoby znaczne komplikacje. Jesteś historykiem–utopistą.

— Chciałam spróbować w rezerwach. Nie pozwoliliście mi prowadzić tam eksperymentów.

— Ale to jeszcze nie powód, by przenosić się w przeszłość i podpowiadać dwudziestowiecznym fizykom wzory prowadzące do syntezy antymaterii. Trudno to nazwać głupotą. To zbrodnia, Lizjocjo! Na szczęście ci się to nie udało.

— Nieprawda. Wzory są już w tych czasach!

— Nie, Lizjocjo. Mam je tutaj. — Człowiek z aureolą wyjął z fałdów kombinezonu kilka kartek papieru i pokazał je Lizi. Trot wiedział, że to są te właśnie kartki.

— Skąd je masz? Skąd wiedziałeś, gdzie ich szukać?

— Po prostu niektórzy ludzie dwudziestowieczni podzielają nasz pogląd w sprawie antymaterii.

— Trot? Niemożliwe — Lizi spojrzała na profesora.

— Tak, Trot. Może bez ciebie nie byłby geniuszem, ale to prawdziwy naukowiec, odpowiedzialny za swoje odkrycia.

— Jak mogłeś? — teraz Lizi zwróciła się wprost do profesora.

— Przekonał mnie. Wierz mi, Lizi, to nie jest bezpieczne. Podał prosty sposób konstruowania pocisków zawierających antymaterię. Ty mówiłaś, że to nie jest możliwe.

— Nikt ich nigdy nie konstruował.

Trot chciał odpowiedzieć, lecz człowiek z aureolą przerwał mu:

— Na szczęście my wiemy, że mogłoby się zdarzyć inaczej.

— Nieprawda. Nie wierzę w to. Nie docenicie ludzi.

— Nie masz racji, Lizjocjo. Doceniamy ich pracę i możliwości. Wiemy, że za sto lat uzyskają antymaterię sami. Aha... a co do Hogana, zmieniłem decyzję. Zostanie umieszczony w rezerwacie ludzi przedhistorycznych. Myślę, że są tam warunki, w których z łatwością się zaaklimatyzuje.

# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	1
<a href="#">Poranek autorski.</a>	3
<a href="#">Witalizacja kosmogatora..</a>	5
<a href="#">Włókno Claperiusa..</a>	9
<a href="#">Konstruktor..</a>	15
<a href="#">Ten, który trwa nad granicą dwu czasów...</a>	20
<a href="#">Jego pierwsza twarz..</a>	25
<a href="#">Ploxis.</a>	34
<a href="#">Biohazard..</a>	39
<a href="#">Elektronowy Miś.</a>	48
<a href="#">Poprzez piąty wymiar..</a>	53
<a href="#">Gatunek homo sapiens.</a>	57
<a href="#">Zerowe rozwiązanie..</a>	62
<a href="#">Człowiek z aureolą..</a>	66